

Nowe tłumaczenie
kultowych przygód detektywa w sutannie

G.K. CHESTERTON

Niepublikowane
wcześniej
opowiadania



NIEWINNOŚĆ KSIĘDZA BROWNA

OPOWIADANIA NA PODSTAWIE KTÓRYCH POWSTAŁ
BIJĄCY REKORDY POPULARNOŚCI SERIAL BBC

G.K. CHESTERTON

**NIEWINNOŚĆ
KSIĘDZA BROWNA**

Tłumaczenie Magda Sobolewska

FRONDA

Przeliczenie angielskich miar występujących w tekście

cal 2,54 centymetra

stopa 30,48 centymetra

jard 0,9144 metra

mila 1,609344 kilometra

BŁĘKITNY KRZYŻ

Pomiędzy srebrną smugą poranka i zieloną, mieniącą się smugą morza do nabrzeża w Harwich przybił statek i uwolnił tłum ludzi podobny do roju much. Człowiek, za którym musimy podążyć, nie wyróżniał się wcale wśród nich – i wcale tego nie pragnął. Nic w jego wyglądzie nie rzucało się w oczy, może poza łagodnym kontrastem między wesołym, odświętnym ubraniem i oficjalną powagą na twarzy. Na jego ubiór składała się cienka jasnoszara marynarka, biała kamizelka i srebrzysty słomkowy kapelusz z szaroniebieską wstążką. Pociągłą, ciemną twarz mężczyzny przedłużała czarna hiszpańska bródka, która świetnie pasowałaby do elżbietańskiej kryzy. Palił papierosa z namaszczeniem prawdziwego próżniaka. Nic nie wskazywało na to, że szara marynarka skrywa naładowany rewolwer, biała kamizelka policyjną legitymację, a słomkowy kapelusz jeden z najpotężniejszych mózgow Europy. Był to bowiem sam Valentin, szef paryskiej policji i najsłynniejszy detektyw świata, a przybywał z Brukseli do Londynu, aby dokonać aresztowania stulecia.

W Anglii pojawił się Flambeau. Policja trzech państw wreszcie wpadła na trop wielkiego przestępcy wiodący z Gandawy do Brukseli i z Brukseli do portu Hoek van Holland; przypuszczano, że spróbuje on wykorzystać zamieszanie związane z odbywającym się w Londynie Kongresem Eucharystycznym. Prawdopodobnie będzie podróżował jako jakiś urzędnik czy sekretarz związany z tym wydarzeniem; rzecz jasna Valentin nie mógł być tego pewien; nikt niczego nie mógł być pewien co do Flambeau.

Dziś upłynęło już wiele lat od czasu, kiedy ten gigant zbrodni nagle przestał siać zamęt na świecie; a gdy przestał – jak powiadano po śmierci Rolanda – wielka cisza zapanowała na ziemi. W najlepszych swoich latach (mam oczywiście na myśli te najgorsze pod względem popełnianych przestępstw) Flambeau był postacią równie imponującą i światową, co sam cesarz Niemiec. Niemal co dnia gazety donosiły o tym, jak uniknął konsekwencji jednego niezwyklego przestępstwa przez popełnienie kolejnego. Był to Gaskończyk olbrzymiego wzrostu, wielkiej sprawności fizycznej i odwagi. O jego „atletycznych” wybrykach opowiadano najdziwniejsze historie – jak to odwrócił sędziego śledczego do góry nogami, aby „rozjaśniło mu się w głowie” albo jak uciekał ulicą Rivoli z dwoma policjantami, po jednym pod każdą pachą. Trzeba przyznać, że zazwyczaj używał swej niewiarygodnej siły do takich właśnie bezkrwawych, choć nieprzystojnych wyczynów; jego prawdziwymi przestępstwami były jednak głównie starannie przemyślane, gigantyczne kradzieże. Każdy z jego złodziejskich wyczynów stanowił niemal nową odmianę grzechu i mógł posłużyć za temat osobnej opowieści. To on prowadził wielką Tyrolską Kompanię Mleczarską w Londynie nie mając mleczarni, krów, wozów i mleka, a mimo to obsługując kilka tysięcy abonentów. Otóż osiągnął to przez prostą operację przenoszenia butelek z mlekiem spod drzwi spokojnych mieszkańców pod drzwi swoich klientów. To on prowadził niewytłumaczalną, zażyłą korespondencję z młodą damą, której wszystkie listy kontrolowała policja. Dokonał tego dzięki niezwyklej sztuczce fotografowania swoich nieskończone małych wiadomości na szkiełkach mikroskopowych. Jego spektakularne eksperymenty najczęściej cechowała jednak niezwykle prostota. Mówi się, że pewnego razu przemalował w środku nocy

wszystkie numery domów na któreś z ulic tylko po to, by wciągnąć jakiegoś przyjeźdnego w pułapkę. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie on wymyślił też przenośną skrzynkę pocztową, którą umieszczał na rogach ulic spokojnych przedmieść w nadziei, że przypadkowi przechodnie będą do niej wrzucali przekazy pieniężne. Znany był także jako zdumiewający akrobata – pomimo gigantycznej postury potrafił skakać jak konik polny i znikać jak mała w wierzchołkach drzew. Dlatego wielki Valentin, wyruszając na poszukiwanie Flambeau, miał pełną świadomość, że, gdy go znajdzie, jego przygody wcale się nie skończą.

Ale jak miał go znaleźć? Myśli wielkiego Valentina nadal krążyły niespokojnie wokół tego tematu.

Detektyw wiedział na pewno, że Flambeau, mimo całej swojej zręczności w przebierankach jednego nie mógł ukryć; tym czymś był jego wyjątkowy wzrost. Gdyby bystre oko Valentina dostrzegło wysoką handlarzkę jabłkami, wysokiego grenadiera albo nawet dość wysoką księżnę, być może z miejsca by ich aresztował. Ale w pociągu, którym jechał z Harwich do Londynu, nie było nikogo, kto mógłby być przebrany Flambeau, podobnie jak kot nie mógłby być przebraną żyrafą. Co do ludzi, którzy przyłączyli się z nim razem na statku, Valentin upewnił się już wcześniej, że liczba osób, które dosiadły się w Harwich albo w trakcie podróży z całą pewnością nie przekraczała sześciu. Był wśród nich niski urzędnik kolejowy jadący do stacji końcowej, trzech raczej niskich ogrodników, którzy dosiedli się dwie stacje dalej, jedna bardzo niska wdowa z małego miasteczka w hrabstwie Essex, jadąca do stolicy, i bardzo niski rzymskokatolicki ksiądz z wioski w tym samym hrabstwie. Doszedłszy do tego ostatniego Valentin dał za wygraną i niemal wybuchnął śmiechem. Niski ksiądz stanowił bowiem doskonałą kwintesencję wschodnioangielskich równin – twarz miał okrągłą i pozbawioną wyrazu, jak knedel będący specjalnością z okolic Norfolk, jego spojrzenie zaś było puste jak Morze Północne. Wiózł ze sobą kilka owiniętych w brązowy papier pakunków, z którymi w żaden sposób nie mógł sobie poradzić. Niewątpliwie Kongres Eucharystyczny wyciągnął z lokalnej stagnacji wiele podobnych stworzeń, ślepych i bezradnych jak wykopane spod ziemi krety. Valentin był sceptykiem w surowym francuskim stylu i księża raczej nie budzili w nim ciepłych uczuć. Jednak nad tym nieszczęśliwym ulitowałby się chyba każdy. Ksiądz miał duży, zniszczony parasol, który stale spadał mu na podłogę. Wyglądało też na to, że nie wie, którą część biletu zachować na powrotną podróż. Tłumaczył z ciętą prostotą wszystkim w wagonie, że musi uważać, bo w jednej ze swoich papierowych paczek ma coś z prawdziwego srebra „z niebieskimi kamieniami”. Dziwna mieszanka wiejskiej przyziemności ze świętą prostotą nie przestawała bawić Valentina, aż wreszcie ksiądz ze wszystkimi swoimi pakunkami wysiadł (jakimś cudem) na stacji Tottenham, po czym wrócił po parasol. Valentin życzliwie go wówczas ostrzegł, aby niekoniecznie troszczył się o swoje srebro opowiadając o nich wszystkim dookoła. Niezależnie jednak od tego, z kim rozmawiał, Valentin rozglądał się za kimś innym. Niestrudzenie szukał kogoś, biednego czy bogatego, mężczyzny czy kobiety, kto miałby dobrze ponad sześć stóp wzrostu, Flambeau mierzył bowiem o cztery cale więcej¹.

Kiedy detektyw wysiadł przy Liverpool Street, był absolutnie przekonany, że jak

dotąd nie przegapił przestępcy. Następnie udał się do Scotland Yardu, aby zgłosić swój pobyt i zapewnić sobie pomoc, gdyby miała się okazać potrzebna; potem zapalił kolejnego papierosa i wybrał się na długą przechadzkę ulicami Londynu. W trakcie spaceru po ulicach i placach na tyłach dworca Victoria zatrzymał się nagle i znieruchomiał. Trafił na cichy, typowo londyński plac, teraz akurat pogrążony w bezruchu. Okalające go wysokie domy o płaskich ścianach wyglądały równocześnie na zamożne i niezamieszkałe. Kwadratowy, porośnięty krzewami klomb pośrodku zdawał się opuszczony niczym wyspa na Pacyfiku. Jedna z czterech stron placu, położona o wiele wyżej niż pozostałe, przypominała podium; w monotonnym szeregu domów po tej stronie wzrok przyciągała restauracja wyglądająca zupełnie jakby przywędrowała tu z artystycznej dzielnicy Soho – takie zdumiewające przypadki zdarzają się często w Londynie. Był to przesadnie atrakcyjny lokal, z miniaturowymi roślinami w doniczkach i długimi roletami w cytrynowo-białe paski. Znajdował się wyjątkowo wysoko nad ulicą, a doklefony jakby przypadkowo, jak to w Londynie, ciąg schodów, biegnący z poziomu ulicy do drzwi wejściowych, wyglądał niemal jak drabina ewakuacyjna przystawiona do okien pierwszego piętra. Valentin stał przed biało-żółtymi roletami paląc papierosa i długo się im przyglądał.

W cudach najbardziej niewiarygodne jest właśnie to, że się zdarzają. Kilka chmur na niebie potrafi zbiec się razem w kształt ludzkiego oka, a drzewo w krajobrazie potrafi przybrać skomplikowany kształt znaku zapytania. Oba te zjawiska widziałem na własne oczy w ciągu kilku ostatnich dni. Nelson rzeczywiście umiera w chwili zwycięstwa, a człowiek o nazwisku Williams rzeczywiście dziwnym trafem morduje innego o nazwisku Williamson, co brzmi całkiem jak wypadek dzieciobójstwa. Jednym słowem, życie ma w sobie element czarodziejskiego zbiegu okoliczności, stale umykający ludziom zwracającym uwagę na to, co prozaiczne. Jak słusznie wyraził to w swym paradoksie Poe, mądrość powinna liczyć się z tym, co nieprzewidywalne.

Aristide Valentin był Francuzem do szpiku kości, a francuska inteligencja składa się wyłącznie i niepodzielnie właśnie z inteligencji. Nie był „myślącą maszyną”, bo jest to określenie bezmyślnie używane przez współczesnych fatalistów i materialistów. Maszyna jest maszyną właśnie dlatego, że nie potrafi myśleć. On był myślącym, a równocześnie całkiem zwyczajnym człowiekiem. Wszystkie jego spektakularne sukcesy, które wydawały się czarodziejskimi sztuczkami, zostały osiągnięte dzięki żmudnej logice, dzięki przejrzystemu, zwykłemu, typowemu dla Francuza rozumowaniu. Francuzi nie elektryzują świata przez to, że wymyślają paradoksy, elektryzują go raczej przez to, że wcielają w życie truizmy. W dodatku wcielają je aż do końca – jak podczas rewolucji francuskiej. Ale właśnie dlatego, że Valentin doskonale wiedział, jak działa rozum, znał też jego ograniczenia. Tylko ktoś, kto nie wie nic o jeździe samochodem, może mówić o jeździe samochodem bez benzyny; tylko ktoś, kto nie wie nic o rozumowaniu, może mówić o rozumowaniu bez silnych, niepodważalnych podstawowych założeń. Tym razem jednak Valentin nie miał żadnych podstawowych założeń. Flambeau nie został dostrzeżony w Harwich. Jeśli w ogóle przebywał w Londynie, mógł być każdym – od wysokiego trampa na błoniach Wimbledonu aż po wysokiego mistrza ceremonii w hotelu Metropole. Wobec tak całkowitego braku

informacji Valentin miał własną metodę działania.

Liczył na to, co nieprzewidziane. W przypadkach, kiedy nie mógł podążać za głosem rozsądku, na chłodno i sumiennie podążał za głosem nierozsądku. Zamiast odwiedzać miejsca zdawałoby się logicznie oczywiste – banki, posterunki policji, miejsca spotkań – systematycznie odwiedzał te zupełnie nieoczywiste. Pukał do każdego pustego domu, zaglądał w każdą ślepią uliczkę, wchodził w każdy zaśmiecony pasaż i przemierzał wszystkie okrzęzne zaułki, podążając nimi bezcelowo w niewłaściwym kierunku. Uzasadniał ten szalony sposób postępowania całkiem logicznie. Mówił, że jeśli istnieją jakieś wskazówki, obrany przez niego sposób jest najgorszy z możliwych. Jeśli jednak brakuje jakichkolwiek wskazówek, sposób ten jest najlepszy, bo istnieje szansa jedna na tysiąc, że jakaś osobliwość, która wpadnie w oko ścigającemu, wcześniej zwróciła uwagę osoby ściganej. Od czegoś człowiek musi przecież zacząć, a lepiej zacząć od tego, przy czym ktoś inny mógłby się zatrzymać. Strone schody wiodące do restauracji i ich niezwykłość były czymś, co wzbudziło rzadki u francuskiego detektywa poryw romantyzmu i skłoniło go do działania na chybił trafił. Wszedł po schodach i usiadłszy przy stoliku pod oknem, poprosił o filiżankę czarnej kawy.

Minęła już połowa poranka, a on nie jadł jeszcze śniadania; drobny nieporządek pozostały na stole po poprzednich gościach przypomniał mu o głodzie, więc dołożywszy do zamówienia jajko w koszulce, w zamyśleniu wsypał trochę białego cukru do kawy, rozmyślając cały czas o Flambeau. Przypomniał sobie, jak przestępcy udawało się wielokrotnie zbiec – raz dzięki nożyczkom do paznokci, raz dzięki pożarowi domu, raz dzięki konieczności opłacenia listu bez znaczka, a raz dzięki nakłonieniu ludzi, by popatrzeli w teleskop na kometę, która mogłaby zniszczyć świat. W mniemaniu Valentina jego umysł dorównywał umysłowi przestępcy, i w istocie tak właśnie było. Detektyw jednak doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej przegranej pozycji.

– Przestępca jest artystą, detektyw tylko krytykiem – powiedział do siebie z kwaśnym uśmiechem, wolno podniósł filiżankę do ust i bardzo szybko ją odstawił. Tym, co do niej wsypał, była sól.

Przyjrzał się naczyniu, z którego pochodził srebrzysty proszek; była to bez wątplenia cukiernica przeznaczona do przechowywania cukru, jak butelka do szampana przeznaczona jest do przechowywania szampana. Zastanawiał się, dlaczego trzymają w niej sól. Rozejrzał się. Tak, były tam dwie solniczki, pełne po brzegi. Może przyprawa umieszczona w solniczkach także odznaczała się czymś szczególnym? Spróbował jej – był to cukier. Wtedy rozejrzał się po restauracji z nowym zainteresowaniem, by przekonać się, czy nie znajdzie innych śladów osobliwego artystycznego smaku, który każe trzymać cukier w solniczkach, a sól w cukiernicy. Ale jeśli nie liczyć dziwnej plamy ciemnego płynu na jednej z wytapetowanych na biało ścian, lokal prezentował się porządnie, pogodnie i całkiem zwyczajnie. Valentin zadzwonił na kelnera.

Kiedy pracownik pojawił się w pośpiechu, z włosami w nieładzie i z nieco mętym wzrokiem z powodu wczesnej pory, detektyw (który umiał docenić mniej wyszukane żarty) poprosił go, by spróbował cukru i ocenił, czy odpowiada on świetnej reputacji hotelu. W efekcie kelner nagle ziewnął i ostatecznie się obudził.

– Czy ten subtelny kawał robicie swoim klientom co rano? – spytał Valentin. – Czy

nigdy się wam nie nudzi zamieniać dla żartu cukier i sól?

Kelner, kiedy dotarła do niego ironia tego pytania, wyjąkał, że firma z pewnością nie ma takich intencji i że musiała zajść jakaś dziwaczna pomyłka. Podniósł cukiernicę i przyglądał się jej z coraz bardziej zakłopotaną miną. Wreszcie przeprosił w pośpiechu, wybiegł i po kilku sekundach wrócił z właścicielem. Właściciel także obejrzał cukiernicę, a potem solniczkę; on także miał zakłopotaną minę.

Nagle kelnerowi natłok cisnących się słów jakby odebrał zdolność poprawnej wymowy.

– Miszlę – wykrztusił gorączkowo – miszlę, że to czy dwaj księża.

– Jacy dwaj księża?

– Czi dwaj – odparł kelner – co wylali zupę na ścianę.

– Wylali zupę na ścianę? – powtórzył Valentin, przekonany, że chodzi o jakąś zawiłą włoską metaforę.

– Tak, tak – potwierdził podekscytowany kelner i wskazał ciemną plamę na białej tapecie – wylali ją tu, na ścianę.

Valentin spojrzał pytająco na właściciela, a ten pospieszył z pełniejszym sprawozdaniem.

– Tak, proszę pana – powiedział – tak właśnie było, chociaż nie wydaje mi się, żeby miało to coś wspólnego z cukrem i solą. Dwóch księży przyszło na filiżankę bulionu bardzo wcześnie, jak tylko zdjęliśmy okiennice. Obaj bardzo spokojni i przyzwoici; jeden z nich zapłacił i wyszedł, a ten drugi, w ogóle raczej powolny, parę minut zbierał swoje rzeczy. Ale w końcu i on sobie poszedł. Tylko że w ostatniej chwili, zanim wyszedł na ulicę, z rozmysłem podniósł filiżankę, którą opróżnił tylko do połowy i chlusnął zupą na ścianę. Ja sam byłem wtedy na zapleczu, tak samo jak kelner; kiedy wpadłem na salę, zobaczyłem tylko rozbryzg na ścianie i pusty lokal. Zniszczenie co prawda niewielkie, ale co za bezczelność! Próbowałem ich dogonić na ulicy, ale byli już za daleko; zauważyłem tylko, jak znikali za następnym rogiem, na Carstairs Street.

Detektyw był już na nogach, w kapeluszu na głowie i z laską w ręku. Zdecydował przecież, że wobec panujących w jego głowie nieprzenikniętych ciemności może jedynie zdać się na pierwszą nadarzącą się dziwaczna wskazówkę, a ta wskazówka wyglądała wystarczająco dziwacznie. Zapłaciwszy rachunek i trzasnąwszy oszklonymi drzwiami, wkrótce skręcał już w sąsiednią ulicę.

Na szczęście, nawet w takich gorączkowych chwilach wzrok miał chłodny i bystry. Mignęło mu coś na wystawie mijanego sklepu i zawrócił, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Był to uczęszczany sklep warzywno-owocowy, na wystawionych pod gołym niebem skrzynkach widniały wyraźnie wypisane nazwy i ceny towarów. W dwóch najbardziej wyeksponowanych miejscach umieszczono dwie przyzmy: po jednej stronie mandarynki, po drugiej – orzechy. Na stosie orzechów leżał kawałek kartonu ze śmiałym napisem wykonanym niebieską kredą: „Najlepsze mandarynki, dwie sztuki za pensa”. Na mandarynkach zaś widniał tak samo jasny i dokładny opis: „Doskonałe orzechy brazylijskie, 1 funt – 4 pensy”. Monsieur Valentin przyjrzał się tym dwóm tabliczkom i pomyślał, że spotkał się z tym subtelnym poczuciem humoru już przedtem, i to całkiem niedawno. Zwrócił uwagę czerwoniczego sprzedawcy, rozglądającego się dość ponuro

w górę i w dół ulicy, na tę nieścisłość jego reklamy. Sprzedawca nic nie powiedział, tylko ze zniecierpliwieniem przełożył tabliczki na ich właściwe miejsce. Detektyw, wsparty elegancko na lasce, nie odrywał od sklepu uważnego spojrzenia. Wreszcie powiedział:

– Proszę wybaczyć pozorny brak związku, mój dobry człowieku, ale chciałbym zadać panu pytanie z dziedziny psychologii doświadczalnej i kojarzenia pojęć.

Czerwony na twarzy sprzedawca obrzucił go złowróżbnym spojrzeniem, ale Valentin ciągnął beztrąsko, wymachując laską:

– Otóż, w czym dwie pomyłone tabliczki w sklepie warzywnym przypominają kapelusz z szerokim rondem, który wybrał się na wycieczkę do Londynu? Albo, jeśli nie wyraziłem się dostatecznie jasno, jakie mistyczne skojarzenie łączy pojęcie orzechów podpisanych jako mandarynki z pojęciem dwóch duchownych, z których jeden jest wysoki, a drugi niski?

Oczy handlarza wyszły z orbit, jakby był ślimakiem; naprawdę przez chwilę zdawało się, że rzuci się na wścibskiego przybysza. Wreszcie wycedził z gniewem:

– Nie wiem, co pan do tego ma, ale jeżeli jest pan ich znajomkiem, to może im pan ode mnie powiedzieć, że, wielebni czy nie, łby im z karku postrącam, jak mi znowu jabłka porozrzucają.

– Doprawdy? – spytał detektyw z wielkim współczuciem. – Rozrzucili panu jabłka?

– Jeden z nich to zrobił – wyjaśnił rozgniewany sklepikarz. – Poturlały się po całej ulicy. Złapałbym drania, ale musiałem je pozbiierać.

– A którądy wielebni odeszli? – spytał Valentin.

– Drugą ulicą w lewo, a potem przecięli plac – odparł jego rozmówca bez zastanowienia.

– Dzięki – rzucił Valentin i znikł jak zaczarowany.

Po przeciwnej stronie drugiego placu natknął się na policjanta i powiedział:

– Panie posterunkowy, to pilne: czy widział pan dwóch duchownych w kapeluszach z szerokimi rondami?

– Ta jest, psze pana; a gdyby mnie kto pytał, to powiem, że jeden był chyba pijany. Zatrzymał się na środku ulicy, taki oszołomiony, że...

– Którędy poszli? – przerwał mu Valentin.

– Wsiedli do jednego z tych żółtych autobusów, o, tam – odparł policjant – tych, co to jadą do Hampstead.

Valentin wyciągnął legitymację służbową i powiedział bardzo szybko:

– Proszę przywołać dwóch pańskich ludzi, żeby ruszyli ze mną w pościg. – I przeszedł przez ulicę z tak zaraźliwą energią, że skłoniło to ociężałego policjanta do niemal żywiołowego posłuszeństwa. Półtorej minuty później do francuskiego detektywa na przeciwległym chodniku przyłączyli się inspektor policji i mężczyzna w cywilnym ubraniu.

– A zatem – zaczął ten pierwszy z uśmiechem wyższości – co szanowny pan...

Valentin wskazał coś nagle końcem laski.

– Wyjaśnię panu, kiedy wsiądziemy do tego autobusu – powiedział i skoczył naprzód, przemykając przez gąszcz jadących samochodów.

Kiedy wszyscy trzej opadli zasapani na siedzenia na górnym piętrze żółtego autobusu, inspektor zauważył:

– Taksówką dojechalibyśmy cztery razy szybciej.

– To prawda – odparł ich przywódca spokojnie – gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd jedziemy.

– To dokąd pan jedzie? – spytał tamten, wytrzeszczając oczy.

Valentin przez kilka sekund palił ze zmarszczonym czołem, a potem wyjął papierosa z ust i powiedział:

– Jeśli się wie, co człowiek robi, trzeba go wyprzedzić; ale jeśli próbuje się zgadnąć, co robi, trzeba iść za nim. Błądzić, kiedy on błądzi; zatrzymać się, kiedy on się zatrzymuje; podróżować równie wolno jak on. Wtedy można zobaczyć to, co on zobaczył i zadziałać tak, jak on zadziałał. Nie możemy zrobić nic więcej, jak tylko mieć oczy otwarte i wypatrywać czegoś dziwnego.

– Czego dziwnego? – spytał inspektor.

– Czegokolwiek – odparł Valentin i pogрузzył się na powrót w upartym milczeniu.

Wydawało się, że żółty autobus wlecze się na północ całymi godzinami; słynny detektyw odmówił dalszych wyjaśnień i być może jego pomocników ogarniały coraz większe niewyrażone wątpliwości co do jego zadania. Być może ogarniała ich także coraz większa niewyrażona tęsknota za obiadem, bo wlokące się godziny dawno minęły już zwyczajową porę posiłku, a długie ulice północnych przedmieść Londynu zdawały się wydłużać coraz bardziej niczym jakiś piekielny teleskop. Była to jedna z tych podróży, podczas których człowiek ma wrażenie, że na pewno dotarł już do granic wszechświata, a potem odkrywa, że jest dopiero na skraju Tufnell Park. Londyn zamierał wśród obskurnych knajp i ponurych zarośli, a potem w niewytłumaczalny sposób odradzał się znowu wśród połyskujących głównych ulic i krzykliwych hoteli. Przypominało to przejazd przez trzynaście osobnych, pozbawionych gustu miast, leżących o krok od siebie. Ale mimo że wczesny zmierzch zawisł już złowroźnie nad rozciągającą się przed nimi drogą, paryski detektyw nadal siedział milczący i czujny, obserwując pierzeje ulic przesuwające się po obu stronach za oknami. Gdy zostawili za sobą Camden Town, policjanci byli już niemal pogrążeni we śnie. W każdym razie podskoczyli z wrażenia, kiedy Valentin zerwał się na równe nogi, klepnął ich obu po ramionach i zawołał do kierowcy, żeby się zatrzymał.

Wytoczyli się po stopniach autobusu na ulicę, nie zdając sobie sprawy z przyczyn tej nagłej wyprowadzki; kiedy się rozglądali, szukając czegoś, co by ich oświeciło, zobaczyli Valentina triumfalnie wskazującego palcem okno po lewej stronie drogi. Duże okno, stanowiące element długiej połączonej fasady w pałacowym stylu; była to część zajazdu zarezerwowana dla szacownych stołowników i opatrzona napisem „Restauracja”. Okno to, podobnie jak wszystkie frontowe okna hotelu, miało szyby z mrożonego, pokrytego wzorami szkła, ale na jego środku widniał wielki czarny rozprysk, jak gwiazda na tafli lodu.

– Nareszcie nasza wskazówka – zawołał Valentin, wymachując laską – lokal z wybitą szybą.

– Jaką szybą? Jaka wskazówka? – spytał jego główny pomocnik. – Jaki możemy

mieć dowód, że to w ogóle ma z nimi coś wspólnego?

Valentin niemal złamał swoją bambusową łaskę w przypiływie wściekłości.

– Dowód! – wykrzyknął. – Dobry Boże! Ten człowiek szuka dowodu! No, oczywiście, jest szansa jedna na dwadzieścia, że nie ma to z nimi nic wspólnego. Ale co innego możemy zrobić? Nie rozumiecie, że musimy albo podążać za jedyną szaloną szansą, albo możemy iść do domu? – Z hukiem wpadł do restauracji, a jego towarzysze za nim i już wkrótce siedzieli przy małym stoliku nad spóźnionym obiadem, przyglądając się od środka gwiaździstemu pęknięciu na szybie. Nie można jednak powiedzieć, by nawet teraz był to dla nich wielce pouczający widok.

– Wybito wam okno, jak widzę – zagadnął Valentin kelnera przy płaceniu rachunku.

– Tak, proszę pana – odparł obsługujący ich człowiek, pochylając się z wielkim przejęciem nad resztą, do której Valentin po cichu dodał ogromny napiwek. Kelner wyprostował się z łagodnym, ale wyraźnym ożywieniem.

– O, tak proszę pana – powtórzył. – Bardzo dziwna sprawa z tym oknem.

– Doprawdy? Proszę nam o niej opowiedzieć – powiedział detektyw z niedbałym zaciekawieniem.

– No, weszło dwóch gości na czarno – mówił dalej kelner – dwóch z tych zagranicznych wielebnych, co to ich pełno na mieście. Zjedli spokojny, tani obiad i jeden z nich zapłacił, a potem wyszedł. Ten drugi właśnie miał się do niego przyłączyć, kiedy jeszcze raz sprawdziłem resztę i zauważyłem, że zapłacili mi ponad trzy razy za dużo. „Proszę – powiedziałem do gościa, który już był jedną nogą za drzwiami – zapłacili panowie za dużo”. A on na to całkiem spokojnie: „Ach, rzeczywiście?”. „Tak” – mówię i podnoszę rachunek, żeby mu pokazać. No, to mnie normalnie ścięło.

– O czym pan mówi? – spytał jego rozmówca.

– Ano, mógłbym przysiąc, że wystawiłem rachunek na 4 szylingi. A tu widzę czarno na białym napisane 14 szylingów.

– No? – wykrzyknął Valentin. Poruszał się powoli, ale jego oczy płonęły. – A potem?

– Ten wielebny pod drzwiami spokojniutko mi mówi: „Przykro mi, że pomieszałem panu rachunki, ale to pokryje koszt okna”. „Jakiego okna?” – pytam, a on na to: „Tego, które zaraz wybije” – i bach w sam środek szyby parasolem.

Wszyscy trzej wywiadowcy wydali okrzyk zgrozy, a inspektor zapytał po cichu:

– Czy jesteśmy na tropie zbiegłych szaleńców?

Kelner kontynuował absurdalną historię, najwyraźniej znajdując w niej pewne upodobanie:

– Na chwilę mnie zamurowało, nie mogłem się ruszyć. Gość wyszedł z lokalu i dołączył do przyjaciela na rogu ulicy. A potem poszli tak szybko w górę Bullock Street, że nie mogłem ich dogonić, chociaż ominąłem barierki, żeby było szybciej.

– Bullock Street – powtórzył detektyw i pognął tą arterią tak szybko, jak para uciekinierów przed nim.

Ich droga wiodła teraz pomiędzy nagimi, ceglanyścianami, niby w tunelu; szli ulicami, na których światła, a nawet okna należały do rzadkości; ulicami, które wydawały

się zbudowane wyłącznie ze ślepych, tylnych ścian. Zmrok zapadał coraz głębszy i nawet londyńskiemu policjantowi nie było łatwo się zorientować, w jakim kierunku zacierają. Inspektor był jednak całkiem pewien, że prędzej czy później dotrą do którejś części błonia Hampsted Heath. Nagle zapalone w wysuniętym oknie wystawowym światło lampy gazowej przecięło błękitny zmierzch jak reflektor i Valentin zatrzymał się na moment przed małym, tandetnym sklepikiem ze słodyczami. Po chwili wahania wszedł do środka; z całkowitą powagą stanął wśród jaskrawych cukierków i z namaszczeniem kupił trzynaście czekoladowych cygar. Najwyraźniej szukał pretekstu do rozmowy, ale wcale go nie potrzebował.

Koścista, starsza sprzedawczyni z odruchowym zaciekawieniem rzuciła okiem na jego elegancki strój, ale kiedy zobaczyła, że drzwi za jego plecami wypełnia błękitny mundur inspektora, jej spojrzenie nagle się ożywiło.

– Och – powiedziała – jeśli panowie w sprawie tej paczki, to już ją odesłałam.

– Paczki? – spytał Valentin; teraz to on z kolei wyglądał na zaciekawionego.

– Chodzi mi o tę paczkę, co ją zostawił ten jegomość... wielebny jegomość, chciałam powiedzieć.

– Na litość boską – rzucił Valentin, po raz pierwszy zdradzając pewne oznaki zniecierpliwienia – na litość boską, proszę powiedzieć dokładnie, co się stało.

– Ano – zaczęła kobieta z pewnym powątpiewaniem – jakieś pół godziny temu zjawili się u mnie dwóch duchownych, kupili miętówki i rozmawiali chwilę, a potem poszli sobie w stronę wrzosowiska. Ale sekundę później jeden z nich wrócił i mówi: „Czy nie zostawiłem tu paczki?”. Szukałam wszędzie, ale żadnej paczki nie znalazłam, a on na to: „Nie szkodzi, ale gdyby się znalazła, proszę odesłać ją pod ten adres” i zostawił mi adres i szylinga za fatygę. No i faktycznie, chociaż wydawało mi się, że szukałam wszędzie, po jego wyjściu znalazłam paczkę zawiniętą w brązowy papier, więc wysłałam ją tam, gdzie mi powiedział. Nie pamiętam teraz tego adresu, to było gdzieś w Westminsterze. Ale wyglądało na to, że to coś ważnego, więc pomyślałam, że policja przysłała w tej sprawie.

– Zgadza się – odparł krótko Valentin. – Czy daleko stąd na błonie?

– Piętnaście minut prosto – odparła kobieta – i będziecie na otwartym terenie.

Valentin wyskoczył ze sklepu i puścił się biegiem. Detektywi ruszyli za nim niespiesznym truchtem.

Ulica, którą biegli, była tak wąska i zaciéniona, że kiedy niespodziewanie znaleźli się pod otwartym niebem, zdumieni się, że wieczór jest nadal tak jasny i pogodny. Nieskazitelna kopuła w zielonkawym kolorze pawich piór przechodziła w złoto za zasłoną czerniejących drzew i ciemnofioletowej oddali. Połyskliwa zieleń była wystarczająco ciemna, by podkreślić kryształowe punkciki pierwszych gwiazd. Resztki dnia mieniły się złotem nad krańcem błonia i owej popularnej kotlinki znanej jako Dolina Zdrowia. Nawiedzający te okolice wycieczkowicze jeszcze się nie rozproszyli; na ławkach siedziało kilka par, a w oddali dziewczyna piszcziała na jednej z huśtawek. Chwała niebios ciemniała i pogłębiała się nad subtelną trywialnością człowieka; i wreszcie, stojąc na zboczu i patrząc na wskroś kotliny Valentin ujrzał to, czego poszukiwał.

Między ciemnymi, rozdzielającymi się z wolna grupkami w oddali, jedna, szczególnie ciemna, nie rozdzielała się – była to grupka złożona z dwóch ludzi w stroju duchownych. Mimo że wydawali się nie więksi od owadów, Valentin widział, że jeden jest o wiele mniejszy od drugiego. I mimo że ten drugi garbił się jak uczeń i zachowywał tak, by nie rzucić się w oczy, Valentin widział wyraźnie, że jest to mężczyzna mający ponad sześć stóp wzrostu. Detektyw zacisnął zęby i ruszył naprzód, niecierpliwie wymachując laską. Kiedy dzieląca ich odległość znacząco się zmniejszyła, a dwie czarne postacie urosły jakby pod wielkim mikroskopem, zauważył coś jeszcze; coś, co go zaskoczyło, choć właściwie się tego spodziewał. Niezależnie od tego, kim był wyższy z księży, co do tożsamości niższego z nich nie mogło być wątpliwości. Był to dobry znajomy Valentina z pociągu z Harwich – pękaty, niski proboszcz z Essexu, którego ostrzegł w sprawie papierowych pakunków.

Jak do tej pory, wszystko układało się w dość spójną i racjonalną całość. Valentin dowiedział się rano, gdy zasięgał informacji, że niejaki ksiądz Brown z hrabstwa Essex przywozi do Londynu srebrny krzyż z szafirami, relikwię znacznej wartości, aby pokazać go przebywającym na kongresie księżom z zagranicy. Tym niewątpliwie było owo „srebro z niebieskimi kamieniami”, a księdzem Brownem niewątpliwie był niski naiwniak z pociągu. Otóż nie było nic niezwykłego w fakcie, że Flambeau dowiedział się tego samego, co Valentin; Flambeau zawsze wiedział o wszystkim. Nie było też nic niezwykłego w fakcie, że dowiedziawszy się o krzyżu z szafirami, Flambeau próbował go ukraść; był to najnaturalniejszy fakt całej historii naturalnej. A już z pewnością nie było nic niezwykłego w fakcie, że Flambeau mógł zrobić, co chciał z taką nierozgarniętą owieczką, jaką był ów ksiądz z parasolem i paczkami. Duchowny ten należał do ludzi, których każdy mógłby zaprowadzić na sznurku na biegun północny; nic zatem dziwnego, że tak wielki aktor jak Flambeau, przebrany za drugiego księdza, potrafił zaprowadzić go na błonie Hampstead Heath. Dotąd przestępstwo wydawało się przejrzyste; detektyw litował się co prawda nad księdzem z powodu jego bezradności, ale czuł niemal pogardę do Flambeau za zniesienie się do wykorzystania tak łatwowiernej ofiary. Ale kiedy Valentin pomyślał o wszystkim, co zaszło w międzyczasie, o wszystkim, co doprowadziło go do tego sukcesu, łamał sobie głowę, próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Jaki związek ze zrabowaniem księdzu z Essexu błękitno-srebrnego krzyża miało chlustanie zupą na tapetę? Jaki miało z tym związek nazywanie orzechów mandarynkami albo płacenie za szybę najpierw i rozbijanie jej dopiero potem? Valentin znalazł się u kresu swojego pościgu, ale środek tej przygody jakoś mu się wymykał. Kiedy słynny detektyw przegrywał (co zdarzało się rzadko), najczęściej trafiał na właściwy trop, ale mimo to nie mógł schwytać przestępcy. Teraz zaś schwytał przestępcę, a mimo to nie mógł odnaleźć tropu.

Dwie śledzone przez niego postacie pełzły niczym dwie czarne muchy po wielkiej, zielonej połaci wzgórze. Najwyraźniej duchowni pochłonięci byli rozmową i chyba nie widzieli, dokąd idą; zmierzali jednak niewątpliwie w kierunku dzikszych i bardziej odludnych pagórków Hampstead Heath. Zbliżywszy się do nich, ścigający musieli przyjąć niegodny sposób zachowania myśliwych; czaili się za kępami drzew, a nawet czołgali w trawie. Tym przemyślnym, niezgrabnym sposobem myśliwi podeszli

zwierzyńę na tyle blisko, że mogli nawet usłyszeć szmer rozmowy, choć nie rozróżniali żadnego wyrazu poza słowem „rozum”, które powtarzało się często, wypowiedane wysokim, niemal dziecięcym głosem. Raz, w niespodziewanym obniżeniu terenu porośniętym gęstymi, splątanymi zaroślami, detektywi praktycznie zgubili obie śledzone postacie. Nie mogli trafić na ich ślad przez męczące dziesięć minut, a kiedy znów go znaleźli, wiódł on grzbietem wielkiego, kopulastego wzgórza wznoszącego się amfiteatralnie nad przebogatą i bezludną scenerią zachodu słońca. W tym podniosłym, choć opuszczonym miejscu stała pod drzewem stara, drewniana, rozpadająca się ławka. Tam właśnie przysiedli obaj księża, nadal pogrążeni w poważnej rozmowie. Olsniewająca zieleń i złoto trwały jeszcze nad ciemniejącym horyzontem, ale kopuła nieba powoli zmieniała barwę z pawiej zieleni na pawi błękit, od którego gwiazdy odcinały się coraz wyraźniej, niczym prawdziwe klejnoty. Dając milczące znaki swoim podwładnym, Valentin przemyślnie podkraść się do wielkiego, rozłożystego drzewa i znieruchomiły w śmiertelnej ciszy nareszcie po raz pierwszy usłyszał słowa nieznanego księdza.

Po półtorej minuty przysłuchiwania się ogarnęło go diabelskie zwątpienie. A może zaciągnął dwóch angielskich policjantów na opustoszałe nocne błonie w celu równie rozsądnym jak szukanie fig na rosnących wokół ostach? Bowiem dwaj księża rozmawiali dokładnie jak księża, niespiesznie i ze znawstwem, o najsubtelniejszych tajnikach teologii. Mały ksiądz z hrabstwa Essex wyrażał się prościej, z twarzą zwróconą ku coraz mocniej jaśniejącym gwiazdom; drugi przemawiał ze spuszczoną głową, jakby nie był nawet godzien na nie patrzeć. Niewinniejszej rozmowy duchownych nie usłyszałoby się ani w białym włoskim klasztorze, ani w czarnej hiszpańskiej katedrze.

Pierwszym, co Valentin usłyszał, był urywek zdania księdza Browna, który kończył się słowami:

– ...co tak naprawdę rozumiano w średniowieczu, mówiąc o niebie, że nie ulega zepsuciu.

Wyższy ksiądz pokiwał pochyloną głową i powiedział:

– O, tak, współcześni niewierni odwołują się do swojego rozumu, ale któż, patrząc na te miliony światów, nie odczułby, że nad nami może istnieć wiele cudownych wszechświatów, gdzie rozum jest całkowicie bezrozumny?

– Nie – odparł drugi ksiądz – rozum jest zawsze rozumny, nawet w czyścicu, na zagubionych peryferiach rzeczywistości. Wiem, że ludzie zarzucają Kościołowi poniżanie rozumu, ale jest całkiem przeciwnie. Jedyne Kościół, sam na całym świecie, naprawdę wywyższa rozum. Jedyne Kościół, sam na całym świecie, stwierdza, że samego Boga obowiązują prawa rozumu.

Jego rozmówca podniósł twarz ku rozgwieżdżonemu niebu i powiedział:

– Ale kto wie, czy w tym nieskończonym wszechświecie...

– Nieskończonym tylko w sensie fizycznym – przerwał mu mały ksiądz, obracając się nagle na siedzeniu – a nie nieskończonym w sensie niepodlegania zasadom prawdy.

Valentin za drzewem szarpał paznokcie w bezgłośnej wściekłości. Niemal już słyszał szyderyczy śmiech angielskich detektywów, których przywiódł aż tutaj, kierując się fantastycznym domysłem, tylko po to, by posłuchali metafizycznej pogawędki dwóch łagodnych, starych proboszczów. W zniecierpliwieniu nie dosłyszał

równie wyszukanej odpowiedzi wysokiego duchownego, a gdy ponownie zaczął słuchać, znowu przemawiał ksiądz Brown:

– Rozum i sprawiedliwość panują nad najdalszą i najsamotniejszą z gwiazd. Spójrzmy na te gwiazdy. Czyż nie wyglądają jak pojedyncze brylanty i szafiry? Cóż, można sobie wyobrazić najbardziej szaloną botanikę albo geologię. Można pomyśleć o diamentowych lasach z liśćmi z brylantów. Można pomyśleć, że księżyc jest błękitnym księżycem, jednym gigantycznym szafirem. Ale proszę nie wyobrażać sobie, że cała ta obłąkana astronomia będzie miała jakikolwiek wpływ na rozumność i sprawiedliwość postępowania. Na opalowych równinach, pod perłowym urwiskiem i tak natknęlibyśmy się na tablicę z ostrzeżeniem: „Nie kradnij”.

Valentin właśnie podnosił się z niewygodnej, przykurczonej pozycji i już miał usunąć się jak najciszej, pokonany przez jeden wielki kaprys swojego życia. Ale coś w milczeniu wysokiego księdza kazało mu zaczekać, aż tamten przemówi. A kiedy wreszcie przemówił, powiedział po prostu, z pochyloną głową i rękami na kolanach:

– No cóż, wydaje mi się, że inne światy mogą przewyższać nasz rozum. Tajemnice nieba są niezgłębione i przynajmniej ja mogę jedynie pochylić przed nimi głowę.

A potem, nadal z pochylonym czołem i nie zmieniając ani na jotę swojej postawy ani tonu głosu, dodał:

– Proszę mi oddać ten krzyż z szafirami, dobrze? Jesteśmy tu sami i mógłbym księdza rozerwać na strzępy jak słomianą kukłę.

Zupełnie niezmieniony głos i postawa mówiącego sprawiły, że ta wstrząsająca zmiana tematu zabrzmiała dziwnie groźnie. Ale strażnik relikwii najwyraźniej obrócił głowę jedynie odrobinę, jakby o najmniejszą podziałkę kompasu. Zdawało się, że nadal siedzi zastygły z nieco głupekowatym wyrazem twarzy zwróconej ku gwiazdom. Może nie zrozumiał. A może zrozumiał i siedział sparaliżowany strachem.

– Tak – powiedział wysoki ksiądz tym samym cichym głosem i nie ruszając się z miejsca – tak, jestem Flambeau. – A potem, po chwili milczenia, dodał: – To jak, da mi ksiądz ten krzyż?

– Nie – odparł tamten, a monosylaba ta zabrzmiała jakoś osobliwie.

Flambeau nagle pozbył się swojej klerykalnej pozy. Wielki złodziej odchylił się do tyłu na ławce i śmiał się cicho, lecz długo.

– Nie – zawołał – nie da mi go ten pyszałkowaty prałat! Nie da mi go ten bezzenny bałwan! Mam księdzu powiedzieć, dlaczego mi go ksiądz nie da? Bo mam go już we własnej kieszeni na piersiach.

Niski człowieczek z Essexu odwrócił w półmroku jakby oszołomioną twarz i zapytał z nieśmiałą gorliwością osobistego sekretarza z farsy o tym samym tytule²:

– Czy... czy jest pan pewien?

Flambeau ryknął z radości.

– Naprawdę, jest ksiądz godzien trzyaktowej farsy – zawołał. – Tak, kapuściana głowo! Jestem tego zupełnie pewien. Miałem dość rozumu, żeby przygotować duplikat właściwej paczki i teraz, mój przyjacielu, ty masz duplikat, a ja mam klejnoty. To stary trik, proszę księdza, bardzo stary trik.

– Tak – powiedział ksiądz Brown i przeczesał włosy palcami wciąż jakby

nieobecny – tak, słyszałem o nim.

Gigant zbrodni nachylił się w stronę małego, wiejskiego księdza z nagłym zainteresowaniem.

– Słyszał ksiądz o nim? – spytał. – Od kogo, jeśli wolno wiedzieć?

– No, cóż, nie mogę oczywiście zdradzić jego imienia – powiedział mały ksiądz z prostotą. – Był penitentem, rozumie pan. Żył dostatnio jakieś dwadzieścia lat wyłącznie z podrabiania papierowych paczek. I dlatego, widzi pan, kiedy zacząłem pana podejrzewać, od razu pomyślałem sobie o sposobie, w jaki ten biedak to robił.

– Zaczął mnie ksiądz podejrzewać? – powtórzył złoczyńca z rosnącym napięciem w głosie. – Miał ksiądz dość sprytu na to, by zacząć mnie podejrzewać tylko dlatego, że przeprowadziłem księdza na to odludzie?

– Nie, nie – odparł ksiądz Brown przepraszającym tonem. – Widzi pan, zacząłem pana podejrzewać już przy pierwszym spotkaniu. To przez to wybrzuszenie na rękawie, tam, gdzie zwykle nosicie te kolczaste bransolety.

– Gdzie u diabła – wykrzyknął Flambeau – słyszał ksiądz o kolczastych bransoletach?

– Ach, wie pan, ma się tę małą trzódkę – wyjaśnił ksiądz Brown, dość obojętnie unosząc brwi. – Kiedy byłem wikarym w Hartlepool, było tam trzech takich z kolczastymi bransoletami. Więc rozumie pan chyba, że skoro podejrzewałem pana od początku, przynajmniej zatroszczyłem się o to, żeby krzyż był bezpieczny. Obawiam się, że pana obserwowałem. Dlatego w końcu zauważyłem, kiedy zamienił pan pakunki. A potem, rozumie pan, zamieniłem je znowu. No i zostawiłem ten właściwy po drodze.

– Zostawił go ksiądz po drodze? – powtórzył Flambeau i po raz pierwszy w jego głosie pojawił się inny ton poza nutą triumfu.

– No cóż, to było tak – tłumaczył mały ksiądz, wciąż tak samo beznamytnie. – Wróciłem do sklepu ze słodyczami i zapytałem, czy nie zostawiłem tam paczki i dałem im adres, na który mieli ją odesłać, gdyby się znalazła. Otóż ja sam wiedziałem dobrze, że jej nie zostawiłem; ale wychodząc za drugim razem, zostawiłem ją rzeczywiście. I dlatego, zamiast biec za mną z drogocenną paczką, wysłali ją prędiutko do mojego przyjaciela w Westminsterze. – A potem dodał ze smutkiem: – Tego też nauczyłem się od jednego biedaka z Hartlepool. Robił tak z torebkami, które kradł na stacjach kolejowych, ale teraz jest już w klasztorze. Wielu rzeczy się człowiek dowiaduje, rozumie pan – dodał, znów rozpaczliwie przepraszająco pocierając czoło. – Nic na to nie poradzimy, że jesteśmy księżmi. Ludzie przychodzą i mówią nam takie rzeczy.

Flambeau wyszarpnął owiniętą w brązowy papier paczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozerwał ją na strzępy. Nie było w niej nic poza papierem i sztabkami ołowiu. Zerwał się na nogi z olbrzymim rozmachem i wykrzyknął:

– Nie wierzę w to! Nie wierzę, że taki kmiotek mógł sobie z tym wszystkim poradzić! Myślę, że nadal ma go ksiądz przy sobie i jeśli nie dostanę go po dobrej woli to... cóż, jesteśmy sami i odbiorę go siłą!

– Nie – odpowiedział po prostu ksiądz Brown i także podniósł się z ławki. – Nie odbierze mi go pan siłą. Po pierwsze dlatego, że naprawdę nie mam go już przy sobie. A po drugie dlatego, że nie jesteśmy tu sami.

Flambeau zatrzymał się w pół kroku.

– Za tym drzewem – mówił ksiądz Brown, wskazując palcem – jest dwóch silnych policjantów i najlepszy detektyw świata. Jak tu się znaleźli, zapyta pan? No cóż, oczywiście, to ja ich sprowadziłem! Jak to zrobiłem? Hm, chętnie to panu opowiem! Ach, na Boga, my, księża musimy znać dwadzieścia takich sztuczek, gdy pracujemy w świecie przestępców! Otóż nie byłem pewien, czy jest pan złodziejem, a nie byłoby dobrze wszczynać skandal przeciw przedstawicielowi własnego Kościoła. Próbowałem więc pana, żeby przekonać się, czy się pan czymś nie zdradzi. Człowiek zwykle trochę się awanturuje, gdy odkryje, że wsypał sól do kawy; jeśli tego nie robi, to widocznie ma jakiś powód, żeby siedzieć cicho. Zamieniłem cukier na sól, a pan się nie awanturował. Człowiek zwykle protestuje, jeśli dadzą mu trzy razy za wysoki rachunek. Jeśli go płaci, to widocznie ma powód, by nie zwracać na siebie uwagi. Zmieniłem pański rachunek, a pan go zapłacił.

Cały świat jakby zamarł w oczekiwaniu na tygrysi skok Flambeau. On jednak trwał w bezruchu jak zaczarowany; obojętna do bezgraniczna ciekawość.

– No cóż – ciągnął ksiądz Brown z mozolną klarownością – skoro pan nie chciał zostawiać policji żadnych śladów, oczywiście musiał to zrobić ktoś inny. Wszędzie, gdzie się zjawialiśmy, troszczyłem się o to, żeby zrobić coś, dzięki czemu będzie się o nas mówiło przez resztę dnia. Szkody nie były wielkie – ochlapana ściana, rozsypane jabłka, wybita szyba; ale ocaliłem krzyż, jako że krzyż zawsze będzie ocalony. Teraz jest już zapewne w Westminsterze. Trochę się dziwiłem, że nie zatrzymał go pan przy użyciu „ośle gwizdka”.

– Czego? – spytał Flambeau.

– Cieszę się, że nigdy pan o nim nie słyszał – powiedział ksiądz, krzywiąc się przy tym. – To okropna rzecz. Jestem pewien, że za dobry z pana człowiek, żeby używać „ośle gwizdka”. Nie mógłbym na to nic poradzić, nawet gdybym zastosował „oczko”; nie jestem na to dość szybki w nogach.

– O czym u licha ksiądz mówi? – spytał tamten.

– Myślałem, że przynajmniej ten trik pan zna – wyznał ksiądz Brown, mile zaskoczony. – Ach, nie mógł pan jeszcze zejść za daleko na tej złej drodze!

– Jak do stu tysięcy diabłów poznał ksiądz te wszystkie okropieństwa? – wykrzyknął Flambeau.

Po okrągłej, prostodusznej twarzy jego przeciwnika przemknął cień uśmiechu.

– Ach, myślę, że to za sprawą bycia bezzennym bałwanem – powiedział. – Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że człowiek, który nie robi prawie nic poza wysłuchiowaniem prawdziwych ludzkich grzechów, nie może być całkiem nieświadomy ludzkiego zła? Ale, prawdę mówiąc, w tym, że nie jest pan księdzem, upewniła mnie inna strona mojego zawodu.

– Co takiego? – spytał złodziej, niemal rozdziawiając usta ze zdumienia.

– Atakował pan rozum – wyjaśnił ksiądz Brown. – A to kiepska teologia.

I właśnie w chwili, gdy odwrócił się, by zebrać swoje bagaże, z półmroku pod drzewem wychynęło trzech policjantów. Flambeau był prawdziwym artystą i uczciwym zawodnikiem. Cofnął się o krok i uklonił nisko Valentinowi.

– Nie mnie się kłaniaj, *mon ami* – odezwał się Valentin srebrzyście dźwięcznym głosem. – Pokłońmy się obaj naszemu mistrzowi.

I obaj stali przez chwilę z obnażonymi głowami, podczas gdy mały ksiądz z hrabstwa Essex rozglądał się, mrugając, za swoim parasolem.

TAJEMNICZY OGRÓD

Aristide Valentin, szef paryskiej policji, spóźniał się na własne przyjęcie i niektórzy goście zaczęli się zjeżdżać wcześniej niż on. Uspokajał ich jednak zaufany służący Valentina, Ivan, starszy człowiek z blizną, o twarzy niemal tak samo szarej jak jego siwe włosy, siedzący zawsze przy stoliku w sieni obwieszanej bronią. Dom Valentina był chyba równie osobliwy i sławny jak jego właściciel. Był to stary budynek na samym brzegu Sekwany, otaczał go wysoki mur i strzeliste topole; jednakże osobliwość – i być może wartość policyjną – jego architektury stanowiło to, że nie było z niego innego wyjścia na ulicę poza frontowymi drzwiami strzeżonymi przez Ivana i kolekcję broni. Ogród był duży i wymyślnie zaprojektowany, a prowadziły do niego liczne drzwi. Żadna furtka nie wiodła jednak z ogrodu na zewnątrz; ze wszystkich stron otaczał go wysoki, gładki, nieprzebyty mur opatrzonego specjalnymi kolcami na szczycie; niegorsze miejsce rozmyślań dla człowieka, któremu około stu przestępców poprzysięgło śmierć.

Jak wyjaśnił Ivan przybyłym gościom, ich gospodarz dzwonił, że został na dziesięć minut zatrzymany w pracy. W rzeczywistości musiał poczynić ostatnie przygotowania do egzekucji i temu podobnych okropieństw; a choć obowiązki te budziły w nim głęboką odrazę, zawsze wypełniał je jak najdokładniej. Bezwzględny w ściganiu przestępców, okazywał wielką łagodność w ich karaniu. Jako że nadzorował francuskie – i w ogóle europejskie – metody działania policji, robił ze swoich wielkich wpływów dobry użytek, dążąc do łagodzenia wyroków i porządkowania więzień. Należał do wielkich francuskich wolnomyślicieli-humanitarystów, których jedyna wada polega na tym, że ich miłosierdzie jest zimniejsze od sprawiedliwości.

Kiedy Valentin pojawił się wreszcie, miał już na sobie czarny wieczorowy strój z czerwoną rozetą w klapie – prezentował się elegancko, a jego ciemna broda była tu i ówdzie naznaczona siwizną. Przeszedł przez dom wprost do swojego gabinetu na tyłach budynku. Drzwi do ogrodu stały otworem i kiedy sumiennie odłożył na miejsce i zarygłował swój kuferek, na kilka sekund zatrzymał się w nich, by popatrzeć na ogród. Ostry sierp księżycy walczył z sunącymi szybko, porwanymi strzępami burzowych chmur i Valentin przyglądał się mu w niezwykłej jak na człowieka nauki zadumie. Być może ludzie tego rodzaju mają jakieś wewnętrzne przeczucie najpoważniejszego problemu ich życia. W każdym razie Valentin szybko otrząsnął się z tej atmosfery nadprzyrodzoności, bo wiedział, że jest spóźniony, i że goście zaczęli się już schodzić. Rzut oka na salon, gdy do niego wszedł, wystarczył jednak, by przekonać się, że przynajmniej główny zaproszony jeszcze się nie zjawił. Dostrzegł wszystkie pozostałe filary przyjęcia – był tam lord Galloway, angielski ambasador, stary choleryk o twarzy przypominającej rumiane jabłko, przystrojony błękitną wstęgą Orderu Podwiązki. Zobaczył lady Galloway, szczupłą jak niteczka, z siwymi włosami i wrażliwą, wyniosłą twarzą. Zauważył jej córkę, lady Margaret Graham – bladą, ładną dziewczynę o twarzy wróżki i włosach koloru miedzi. Ujrzał księżnę Mont St. Michel, o czarnych oczach i obfitych kształtach, z dwiema córkami, równie czarnookimi i krągłymi jak ona. Dostrzegł doktora Simona, typowego francuskiego naukowca w okularach, ze szpiczastą brązową bródką i czołem pobrużdżonym poziomymi zmarszczkami, które są ceną zarozumiałości, bowiem biorą

się z ciągłego unoszenia brwi. Zobaczył księdza Browna z miejscowości Cobhole w hrabstwie Essex, niedawno poznanego w Anglii. Spostrzegł – z większym być może zainteresowaniem niż pozostałych gości – wysokiego umundurowanego mężczyznę, który skłonił się państwu Galloway, a nie doznawszy serdecznego przyjęcia, właśnie zbliżał się w pojedynkę, by złożyć wyrazy uszanowania gospodarzowi. Był to komendant O'Brien z francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Oficer miał szczupłą sylwetkę i nieco arogancki wygląd, gładko wygoloną twarz, ciemne włosy i niebieskie oczy, a przy tym – jak przystało na oficera pułku słynącego ze zwycięskich porażek i udanych samobójstw – robił wrażenie zarazem buńczuczne i melancholijne. Z urodzenia był irlandzkim arystokratą i we wczesnej młodości znał Gallowayów, a zwłaszcza Margaret. Opuścił kraj z powodu jakiejś katastrofy finansowej i teraz manifestował całkowitą niezależność od angielskiej etykiety, przechadzając się swobodnie w pełnym umundurowaniu, z szablą i ostrogami. Kiedy ukłonił się rodzinie ambasadora, lord i lady Galloway odклонili się sztywno, a lady Margaret odwróciła wzrok.

Bez względu na to, z jakich dawnych powodów ludzie ci mogli się sobą interesować, ich znamienity gospodarz nie interesował się nimi wcale. W każdym razie żadna z tych osób nie była w jego oczach najważniejszym gościem wieczoru. Valentin oczekiwał, ze szczególnych powodów, człowieka światowej sławy, którego przyjaźń zaskarbił sobie w czasie jednego ze swoich triumfalnych detektywistycznych tournée po Stanach Zjednoczonych. Spodziewanym gościem był multimilioner Julius K. Brayne, którego kolosalne, a nawet katastrofalne dotacje na rzecz pomniejszych religii dostarczały tylu okazji do łatwych żartów i jeszcze łatwiejszych peanów na łamach angielskich i amerykańskich gazet. Nikt nie mógł się do końca zorientować, czy pan Brayne jest ateistą, wyznawcą Chrześcijańskiej Nauki czy mormonem. Nie wahał się on jednak przelewać strumienia gotówki do jakiegokolwiek kielicha intelektu, pod warunkiem, że kielicha tego jeszcze nikt nie wypróbował. Do jego zamiłowań należało wyczekiwanie na amerykańskiego Szekspira – było to hobby wymagające większej cierpliwości niż wędkarstwo. Podziwiał Walta Whitmana, ale uważał, że niejaki Luke P. Tanner z miasteczka Paris w Pensylwanii jest o wiele bardziej „postępowy” niż Whitman. Podobało mu się wszystko, co uznawał za „postępowe”. Valentina także uważał za „postępowego”, przez co wyrządzał mu wielką niesprawiedliwość.

Fizyczne pojawienie się Juliusa K. Brayne'a w salonie było równie znaczące jak dźwięk dzwonka na obiad. Miał on tę wspaniałą cechę, którą niewielu z nas może się poszczycić, że jego obecność dorównywała jego nieobecności. Był to olbrzymi mężczyzna, równie gruby, co wysoki, ubrany w wieczorową czerń, której nie rozjaśniał nawet błysk dewizki ani sygnetu. Białe włosy miał z niemiecka zaczesane do tyłu; jego twarz była rumiana, zacięta i pucołowata jak u cherubina, a pojedyncza czarna kępka włosów pod dolną wargą nadawała tej dość dziecinnej fizjonomii wygląd teatralny, a nawet diaboliczny. Salon niedługo jednak mierzył słynnego Amerykanina wzrokiem; jego spóźnienie przysporzyło już kłopotów służbie, więc jak najszybciej odesłano go do jadalni z lady Galloway wspartą na jego ramieniu.

Państwo Galloway byli całkiem sympatyczni i towarzyscy, jeśli nie liczyć drobnego wyjątku. Dopóki lady Margaret nie szła na obiad pod ramię z tym

awanturnikiem O'Brienem, jej ojciec był całkiem zadowolony; ona zaś poszła bardzo stosownie w towarzystwie doktora Simona. Mimo to stary lord Galloway zachowywał się niespokojnie i niemal opryskliwe. Podczas obiadu wykazywał się jeszcze pewną dyplomacją, ale kiedy podano cygara i trzech młodzi ludzie – doktor Simon, ksiądz Brown i ten szkodnik O'Brien, banita w obcym mundurze – odeszli, by dotrzymać towarzystwa damom albo zapalić w oranżerii cygara, resztki dyplomacji opuściły angielskiego dyplomatę. Co sześćdziesiąt sekund atakowała go myśl, że ten łobuz O'Brien może wysyłać jakieś sygnały Margaret; nie próbował sobie nawet wyobrazić, jak mógłby to zrobić. Lord Galloway pił kawę w towarzystwie Brayne'a, siwego Jankesa wierzącego we wszystkie religie i Valentina, szpakowatego Francuza niewierzącego w żadną z nich. Tamci mogli się spierać ze sobą, ale argumenty żadnego z nich nie przemawiały do ambasadora. Po jakimś czasie arsenał tej „postępowej” bitwy na słowa wyczerpał się; lord Galloway również wstał od stołu i ruszył do salonu. Sześć czy osiem minut błąkał się długimi korytarzami, aż wreszcie usłyszał wysoki, mentorski głos doktora, potem monotony głos księdza, a po nim ogólny wybuch śmiechu. Zaklął w myślach; oni także zapewne spierali się o „naukę i religię”. Jednakże otworzywszy drzwi do salonu, zobaczył tylko jedno – to, czego w nim nie było. Zauważył brak komendanta O'Briena oraz brak lady Margaret.

Opuściwszy w zniecierpliwieniu salon, podobnie jak wcześniej opuścił jadalnię, lord Galloway znów ruszył długim korytarzem. Myśl o obronie córki przed irlandzko-algierskim nicponiem pochłaniała go, a nawet przyprawiała o szaleństwo. Zmierzając na tyły domu, gdzie mieścił się gabinet Valentina, ze zdumieniem natknął się na swoją córkę, która minęła go blada, z pogardliwą miną, co było dla niego kolejną zagadką. Jeśli była z O'Brienem, to gdzie się podział O'Brien? Jeśli nie była z O'Brienem, to gdzie właściwie była? Z jakąś starczą, gwałtowną podejrzliwością lord Galloway brnął po omacku przez ciemne tyły domu, aż wreszcie natrafił na wiodące do ogrodu drzwi dla służby. Księżyc swoim zakrzywionym ostrzem zdążył już porozrywać i rozgonić ostatnie pozostałości burzy. Srebrzysty blask rozlewał się po wszystkich zakątkach ogrodu. Ktoś wysoki, ubrany na niebiesko, szedł przez trawnik ku drzwiom gabinetu; księżyc zalśnił na srebrnych wyłogach munduru zdradzając tożsamość komendanta O'Briena.

Oficer zniknął w otwartych drzwiach i wszedł do domu, zostawiając lorda Gallowaya w trudnym do opisania, nieuchwytnym nastroju. Srebrzysto-błękitny ogród, niczym scena w teatrze, zdawał się prowokować go całą tą przemożną uczuciowością, z którą walczył jego ziemski autorytet. Długi, lekki krok Irlandczyka rozsierdzał go jak rywala, a nie jak ojca; światło księżyca doprowadzało go do szaleństwa. Jakiś czar uwięził go jakby w ogrodzie trubadurów, w zaklętej krainie z obrazów Watteau, i lord Galloway, chcąc rozproszyć dźwiękiem słów te sentymentalne głupoty, ruszył żwawo za swoim przeciwnikiem. Ledwie to uczynił, potknął się o jakąś leżącą w trawie kłodę czy też głaz; przyjrzał się tej przeszkodzie najpierw z irytacją, a potem z ciekawością. W następnej chwili księżyc i wysokie topole stały się świadkami niezwykłego widoku – oto angielski dyplomata w podeszłym wieku pędził ile sił w nogach, nawołując czy raczej wrzeszcząc w biegu.

Jego schrypięte okrzyki przyciągnęły do drzwi gabinetu bladą twarz, lśniące

okulary i zmarszczone czoło doktora Simona, który usłyszał pierwsze artykułowane słowa arystokraty. Lord Galloway krzychał:

– W trawie jest trup, krwawy trup!

O'Brien ostatecznie wywietrzył mu z głowy.

– Musimy natychmiast zawiadomić Valentina – powiedział doktor, gdy tamten opisał mu urywanymi zdaniami wszystko, co odważył się zbadać. – To szczęście, że jest na miejscu. – Jeszcze to mówił, gdy wielki detektyw wszedł do gabinetu zaalarmowany krzykiem. Niemal zabawnie było obserwować jego typową przemianę: przyszedł jako zaniepokojony gospodarz przyjęcia i gentleman, obawiając się, że któryś z gości lub służących jest chory. Ale kiedy powiedziano mu o krwawym wydarzeniu, zmienił się – nie tracąc dotychczasowej powagi – w pogodnego profesjonalistę; bowiem właśnie takie sprawy, choćby najbardziej niespodziewane i przerażające, należały do jego profesji.

– To dziwne, panowie – powiedział, gdy spieszyli razem do ogrodu – że gonilem za zagadkami po całym świecie, a teraz jedna postanowiła się zatrzymać na moim podwórku. Ale gdzie to jest?

Szli przez trawnik tym razem z pewną trudnością, bowiem znad rzeki zaczęła podnosić się lekka mgła; ale idąc za przewodem rozrzuconego Gallowaya znaleźli zapadnięte w wysoką trawę ciało bardzo wysokiego, barczystego mężczyzny. Leżał twarzą w dół, widzieli więc tylko tyle, że ramiona ma opięte czarnym materiałem, a głowę całkiem łysą, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch kosmyków brązowych włosów, które przyłgnęły do czaszki jak mokre wodorosty. Od strony niewidocznej twarzy sączyła się czerwona strużka krwi.

– Przynajmniej – powiedział Simon głębokim, szczególnym tonem – nie jest to nikt z naszego towarzystwa.

– Proszę go zbadać, doktorze – zawołał raczej ostro Valentin – może jeszcze żyje! Doktor pochylił się nad ciałem.

– Jeszcze całkiem nie ostygł, ale obawiam się, że raczej nie żyje – odpowiedział. – Pomóżcie mi go podnieść, panowie.

Unieśli go ostrożnie o cal nad ziemię i wszystkie wątpliwości co do tego, czy mężczyzna żyje czy umarł, rozwiały się natychmiast i to w przerażający sposób. Głowa odpadła od ciała. Była całkowicie odrąbana; ktokolwiek poderzwał nieszczęśnikowi gardło, zdołał także przeciąć mu kark. Nawet Valentin był lekko wstrząśnięty.

– Musiał być silny jak goryl – wymamrotał.

Nie bez drżenia, choć nawykły do anatomicznych aberracji, doktor Simon podniósł odciętą głowę. Kilka nacięć widniało na szyi i brodzie, ale twarz pozostała stosunkowo nietknięta. Była to żółtawa twarz, równocześnie zapadnięta i nabrzmiała, z orlim nosem i ciężkimi powiekami – twarz złego rzymskiego cesarza, nasuwająca być może również nikłe skojarzenie z cesarzem Chin. Wszyscy obecni najwyraźniej przyglądali się jej z osłupieniem. Niczego więcej nie udało się im stwierdzić poza tym, że po podniesieniu ciała ukazała się ich oczom biała plama wieczorowej koszuli oszpecona czerwoną plamą krwi. Jak zauważył doktor Simon, człowiek ten nie brał udziału w przyjęciu. Ale być może próbował do niego dołączyć, bo ubrany był stosownie na taką okazję.

Valentin ukląkł i z największą zawodową uwagą badał na czworakach trawę

i ziemię wokół ciała w promieniu może dwudziestu jardów, w czym asystowali mu mniej zręczny doktor i całkiem roztargniony angielski arystokrata. Nic nie wynagrodziło ich uniżenia poza kilkoma gałązkami, połamanymi czy też pociętymi na bardzo drobne kawałki, które Valentin podniósł, poddał szybkim oględzinom, a potem wyrzucił.

– Gałązki – stwierdził z powagą. – Parę gałązek i całkiem obcy człowiek z odciętą głową; to wszystko, co jest na tym trawniku.

Zapadła niemal upiorna cisza, gdy nagle wciąż roztrzęsiony Galloway krzyknął przeraźliwie:

– Kto to? Kto tam stoi pod murem ogrodu?

Niewielka postać z absurdalnie dużą głową zbliżyła się do nich niepewnie w prześwietlonej księżycem mgle; przez chwilę wyglądała jak goblin, ale w końcu okazała się nieszkodliwym małym księdzem, którego zostawili w salonie.

– I co wy na to? – przemówił cicho duchowny. – Ten ogród w ogóle nie ma furtki.

Czarne brwi Valentina ściągnęły się z pewnym rozdrażnieniem, jak zwykle na widok sutanny. Był jednak zbyt uczciwy, by odmówić tej uwadze słuszności.

– To prawda – powiedział. – Zanim ustalimy, w jaki sposób ten człowiek stracił życie, może powinniśmy ustalić, jak tu się znalazł. Posłuchajcie, panowie. Jeśli nie spowoduje to uszczerbku dla mojego stanowiska i pozycji służbowej, możemy się chyba zgodzić, że pewne wybitne nazwiska nie powinny być wiązane z tą sprawą. Są wśród nas damy, jest też ambasador obcego państwa. Jeśli dojdziemy do wniosku, że popełniono zbrodnię, trzeba ją będzie zbadać jak zbrodnię. Ale póki co, mogę działać na własną rękę. Jestem szefem policji; jestem osobą tak bardzo publiczną, że mogę sobie pozwolić na odrobinę prywatności. Za wolą nieba oczyszczę wszystkich moich gości z podejrzeń, zanim wezwę swoich ludzi, aby szukali kogoś innego. Panowie, żaden z was pod słowem honoru nie opuści tego domu do jutra w południe; dla wszystkich znajdą się pokoje. Doktorze Simon, chyba wie pan, gdzie znaleźć mojego służącego Ivana; to zaufany człowiek. Proszę mu powiedzieć, żeby zostawił na straży innego służącego, a sam natychmiast przyszedł do mnie. Lordzie Galloway, jest pan z pewnością najlepszą osobą, by powiadomić damy o tym, co zaszło i zapobiec panice. One także muszą pozostać. Książd Brown i ja zostaniemy z ciałem.

Kiedy przez Valetina przemawiał duch przywódcy, jego głos działał na wszystkich jak sygnał trąbki wzywającej do boju. Doktor Simon udał się do domowego arsenału i wprawił w ruch Ivana, który był prywatnym detektywem urzędowego detektywa. Galloway wrócił do salonu i przekazał straszną nowinę w sposób wystarczająco taktowny, tak że gdy zebrano się tam ponownie, nieco wystraszone damy zdążyły się już uspokoić. Tymczasem poczciwy książd i poczciwy ateista stali jeden u stóp, drugi u głowy nieboszczyka leżącego bez ruchu w trawie, jak dwa posągi symbolizujące dwie przeciwstawne teorie śmierci.

Ivan, zaufany człowiek z blizną i wąsami, wypadł z domu jak kula armatnia i pognał przez trawnik do Valentina niczym pies do swego pana. Domowa zagadka kryminalna ożywiła i zarumieniła jego pobladałą twarz, a gorliwość, z jaką poprosił swego pana o pozwolenie zbadania zwłok, miała w sobie coś nieprzyjemnego.

– Tak, Ivanie, obejrzyj je, jeśli chcesz – powiedział Valentin. – Ale pospiesz się.

Musimy wejść do środka i rozpracować to w domu.

Ivan podniósł odciętą głowę nieboszczyka i o mało znów jej nie upuścił.

– Ależ – wykrztusił – przecież to... nie, nie, to niemożliwe. Czy zna pan tego człowieka, proszę pana?

– Nie – odparł obojętnie Valentin – lepiej wejdźmy do środka.

Wspólnymi siłami przenieśli ciało na sofę w gabinecie, a potem razem przeszli do salonu.

Detektyw nawet się nie zawahał. Usiadł cicho przy stole, ale jego stalowy wzrok przypominał spojrzenie sędziego zasiadającego w trybunale. Zrobił kilka szybkich notatek na leżącej przed nim kartce papieru, a potem zapytał krótko:

– Czy wszyscy już są?

– Brakuje pana Brayne'a – zauważyła księżna Mont St. Michel, rozglądając się dookoła.

– Tak – potwierdził lord Galloway nieprzyjemnym, ochryplym głosem. – I zdaje się, że pana Neila O'Briena także nie ma. Widziałem tego gentlemana, jak przechadzał się w ogrodzie, gdy trup był jeszcze ciepły.

– Iwanie – polecił detektyw – idź i sprowadź tu komendanta O'Briena i pana Brayne'a. Wiem, że pan Brayne kończy cygaro w jadalni, a komendant O'Brien chodzi zdaje się tam i z powrotem po oranżerii. Nie jestem tego pewien.

Wierny sługa znikł z pokoju i zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć albo odezwać, Valentin kontynuował swoje wyjaśnienia w żołnierskim skrócie...

– Jak wszystkim wiadomo, w ogrodzie znaleziono ludzkie zwłoki z głową całkowicie oddzieloną od ciała. Doktorze Simon, zbadał pan ciało. Czy pańskim zdaniem przecięcie ludzkiej szyi w ten sposób wymagałoby wielkiej siły? Czy tylko bardzo ostrego noża?

– Powiedziałbym, że w ogóle nie dałoby się tego zrobić nożem – odparł poblady doktor.

– Czy przychodzi panu na myśl – pytał dalej Valentin – jakieś narzędzie, którym można by tego dokonać?

– Jeśli mówimy o współczesnych narzędziach, to raczej nie – powiedział doktor, marszcząc zbolale czoło. – Niełatwo ściąć głowę nawet w bardzo toporny sposób, a to cięcie było bardzo czyste. Można by to zrobić toporem wojennym albo dawnym toporem katowskim, albo starym dwuręcznym mieczem.

– Ależ, wielkie nieba! – wykrzyknęła niemal histerycznie księżna. – Przecież nie ma tu nigdzie w pobliżu żadnych dwuręcznych mieczy ani toporów wojennych!

Valentin nadal notował coś z przejęciem na leżącej przed nim kartce.

– Proszę mi powiedzieć – spytał nie przerywając pospiesznego pisania – czy dałoby się to zrobić długą, francuską kawaleryjską szablą?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które, nie wiedzieć czemu, ściąło wszystkim krew w żyłach jak pukanie w „Makbecie”. W śmiertelnej ciszy doktor Simon zdołał powiedzieć:

– Szablą... tak, chyba byłoby to możliwe.

– Dziękuję – powiedział Valentin. – Proszę wejść!

Wierny Ivan otworzył drzwi i zaprosił do środka komendanta O'Briena, którego ostatecznie znalazł błąkającego się znowu po ogrodzie.

Irlandzki oficer, rozchełstany i zuchwały, stanął w progu.

– Czego ode mnie chcecie? – wykrzyknął.

– Proszę usiąść – odezwał się Valentin miłym, spokojnym głosem. – O, nie ma pan szabli. Gdzie się podziała?

– Zostawiłem ją na stole w bibliotece – odparł O'Brien; ze wzburzenia mówił teraz z wyraźniejszym irlandzkim akcentem. – Zawadzała mi tylko, nie mogłem z nią...

– Iwanie – znów przemówił Valentin – idź proszę i przynieś szablę pana komendanta z biblioteki. – A potem, gdy służący wyszedł, dodał: – Lord Galloway widział pana opuszczającego ogród na chwilę przed tym, jak znalazł ciało. Co pan robił w ogrodzie?

Komendant opadł niedbale na krzesło.

– Och – zawołał już całkiem z irlandzka – podziwiałem księżyc. Obcowałem z naturą, *me bhoy*.

Przytłaczająca cisza przeciągała się, aż wreszcie rozległo się znowu przerażające pukanie do drzwi. Ivan wrócił z pustą stalową pochwą.

– Nie znalazłem nic więcej – oznajmił.

– Połóż to na stole – powiedział Valentin nie podnosząc wzroku.

W pokoju zapadła nieludzka cisza, jaka zwykle panuje wokół ławy oskarżonych, na której zasiada morderca. Słabe okrzyki księżnej już dawno umilkły. Nabrzmiała nienawiść lorda Gallowaya została zaspokojona, a raczej zmiytygowana. Głos, który rozległ się potem, zaskoczył wszystkich.

– Może ja potrafię wyjaśnić – odezwała się lady Margaret czystym, drżącym głosem, jakim publicznie przemawia odważna kobieta – co pan O'Brien robił w ogrodzie, jako że on zobowiązany jest do milczenia. Prosił mnie o rękę. Odmówiłam mu. Powiedziałam, że w mojej sytuacji rodzinnej mogę go tylko obdarzyć szacunkiem. Trochę go to rozzłościło, chyba mój szacunek niezbyt go zadowolił. Ciekawe – dodała z bladym uśmiechem – czy teraz go zadowoli. Bo nawet teraz darzę go szacunkiem. Mogę przysiąc przed każdym, że ten człowiek nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Lord Galloway ukradkiem przysunął się do córki i próbował ją powstrzymać, przemawiając, jak mu się zdawało, dyskretnym szeptem.

– Trzymaj język za zębami, Maggie – huknął półgłosem. – Dlaczego miałabyś kryć tego człowieka? Gdzie jest jego szabla? Gdzie jego cholerna kawaleryjska...

Przerwał uciszony niezwykłym spojrzeniem, które utkwiła w nim córka i które swą niesamowitością przykuło uwagę wszystkich zebranych.

– Ty stary głupcze – powiedziała cicho, nie siląc się na zachowanie pozorów dobrego wychowania – co próbujesz w ten sposób udowodnić? Mówię ci, że ten człowiek był niewinny, kiedy był ze mną. A jeśli nie był niewinny, to i tak był ze mną. Jeśli zamordował kogoś w ogrodzie, to kto musiałby to widzieć... kto musiałby przynajmniej o tym wiedzieć? Czy tak bardzo nienawidzisz Neila, że gotów jesteś poświęcić własną córkę...

Lady Galloway wrzasnęła. Wszystkich przeniknął dreszcz bliskości piekielnych tragedii, jakie od wieków rozgrywają się między kochankami. Patrzyli na dumną, bladą twarz szkockiej arystokratki i jej ukochanego, irlandzkiego awanturnika, jak na stare portrety wiszące w mrocznym pokoju. Długie milczenie wypełniały niejasne wspomnienia dawnych dziejów, historii o zamordowanych mężach i kochankach-trucicielkach.

Wśród tej ponurej ciszy zabrzmiał niewinny głos:

– Czy to cygaro było bardzo długie?

Zmiana tematu była tak niespodziewana, że wszyscy obejrżeli się, żeby zobaczyć, kto mówi.

– Chodzi mi o to – wyjaśnił ksiądz Brown, siedzący w kącie pokoju – chodzi mi o to, czy to cygaro, które kończył pan Brayne, było bardzo długie? Musiało chyba być długości laski.

Mimo niestosowności pytania, na twarzy Valentina, gdy podniósł głowę, prócz irytacji malowała się też aprobata.

– Racja – rzucił zdecydowanie. – Ivane, idź, poszukaj jeszcze raz pana Brayne'a i sprowadź go tu natychmiast.

Gdy tylko totumfacki zamknął za sobą drzwi, Valentin z nowym zapałem zwrócił się do dziewczyny.

– Lady Margaret – powiedział – jestem pewien, że wszyscy odczuwamy równocześnie wdzięczność i podziw za to, że wzniosła się pani ponad przyziemniejsze poczucie godności i wyjaśniła zachowanie komendanta. Ale nadal pozostaje pewna luka. Jak rozumiem, lord Galloway spotkał panią idącą z gabinetu do salonu, a dopiero kilka minut później zobaczył ogród i nadal przechadzającego się w nim komendanta.

– Musi pan pamiętać – odparła Margaret z lekką ironią w głosie – że dopiero co odrzuciłam jego oświadczenia, więc trudno, żebyśmy wracali pod rękę. On w każdym razie jest gentlemanem, więc pozwolił mi odejść, a sam zamarudził nieco... i przez to oskarżono go o morderstwo.

– W ciągu tych kilku chwil – zauważył z powagą Valentin – mógł w istocie...

Znów rozległo się pukanie i do pokoju wsunęła się naznaczona blizną twarz Ivana.

– Przepraszam pana – powiedział służący – ale pan Brayne wyszedł z domu.

– Wszedł! – krzyknął Valentin i po raz pierwszy zerwał się na nogi.

– Znikł. Zwiął. Rozpłynął się – potwierdził Ivan żartobliwą francuszczyzną. – Po kapeluszu i płaszczu też nie ma śladu, ale powiem panu coś lepszego. Wybiegłem z domu, szukając jakichś śladów, no i znalazłem jeden, i to spory.

– Co masz na myśli? – spytał Valentin.

– Pokażę panu – powiedział służący i po chwili zjawił się z lśniąca, obnażoną kawaleryjską szablą, na której ostrzu widniały ślady krwi. Wszyscy obecni patrzyli na nią jak rażeni piorunem, ale doświadczony Ivan mówił dalej całkiem spokojnie.

– Znalazłem to – powiedział – rzucone w krzaki, jakieś pięćdziesiąt jardów stąd, przy drodze do Paryża. Czyli, krótko mówiąc, znalazłem ją tam, gdzie wyrzucił ją w trakcie ucieczki szanowny pan Brayne.

Znów zapadła cisza, ale jakby innego rodzaju. Valentin wziął szablę, obejrzał ją,

chwilę zastanawiał się mocno skupiony, a potem zwrócił się z szacunkiem do O'Briena.

– Panie komendancie – powiedział – ufam, że okaże pan tę broń, gdyby musiała zostać zbadana przez policję. Tymczasem – dodał, z brzękiem chowając stalowe ostrze do pochwy – niech pan pozwoli, że zwrócę mu jego szablę.

Żołnierska symbolika tego czynu sprawiła, że publiczność ledwie mogła powstrzymać się od wiwatów.

Rzeczywiście, dla Neila O'Briena ten gest był punktem zwrotnym całej jego egzystencji. Zwykła poza tragicznej bezcelowości zdążyła z niego opaść, zanim w świetle następnego poranka znów błakał się po tajemniczym ogrodzie. Był teraz człowiekiem, który ma wiele powodów, aby czuć się szczęśliwy. Lord Galloway okazał się prawdziwym gentlemanem i szczerze go przeprosił. Lady Margaret okazała się kimś więcej niż prawdziwą lady, a w każdym razie okazała się kobietą i być może obdarzyła go czymś lepszym niż przeprosiny, gdy przed śniadaniem krążyli wśród starych klombów ogrodu. Całe towarzystwo obudziło się z lżejszym sercem i bardziej wyrozumiale nastawione do świata, bo choć zabójstwo nadal było zagadką, ciężar podejrzenia został zdjęty z ich barków i umknął do Paryża wraz z ekscentrycznym milionerem – człowiekiem, którego prawie nie znali. Diabeł został wyrzucony z domu – właściwie wyrzucił się sam.

Zagadka jednak pozostała i kiedy O'Brien opadł na siedzenie ogrodowej huśtawki obok doktora Simona, bystry naukowiec od razu wrócił do tego tematu. Nie udało się mu jednak wydusić wiele z O'Briena, którego myśli zajęte były przyjemniejszymi sprawami.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie interesowało – powiedział Irlandczyk szczerze – zwłaszcza że teraz wszystko wydaje się dość jasne. Najwyraźniej Brayne nienawidził z jakiegoś powodu tego nieznanego; zwabił go do ogrodu i zabił moją szablą. Potem uciekł do miasta i wyrzucił szablę po drodze. A propos, Ivan mówi, że ten zabity miał w kieszeni jankeskiego dolara. A zatem był ziomkiem Brayne'a, i to zdaje się przypieczętowanie tej historii. Nie widzę w tej sprawie nic trudnego.

– Jest pięć ogromnych trudności – powiedział cicho doktor – jak pięć wewnętrznych murów, jeden wewnątrz drugiego. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie wątpię, że Brayne to zrobił; sądzę, że jego ucieczka jest wystarczającym na to dowodem. Ale jak tego dokonał? Pierwsza trudność: dlaczego człowiek zabija drugiego człowieka wielką, nieporęczną szablą, jeśli może zabić go niemal scyzorykiem, który zmieści mu się w kieszeni? Druga trudność: dlaczego nie było żadnego hałasu ani krzyku? Czy człowiek, widząc drugiego wymachującego szablą, zwykle powstrzymuje się od komentarzy? Trzecia trudność: służący cały wieczór pilnował drzwi wejściowych; a do ogrodu Valentina z zewnątrz nawet szczer się nie wśliźnie. W jaki sposób nieboszczyk dostał się do ogrodu? Czwarta trudność: biorąc pod uwagę te same warunki, w jaki sposób Brayne wydostał się z ogrodu?

– Jeszcze piąta – podpowiedział Neil, gapiąc się na angielskiego księdza, zbliżającego się do nich wolno ogrodową ścieżką.

– To tylko drobiazg – wyjaśnił doktor – ale wydaje mi się dziwaczny. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, w jaki sposób odcięto głowę, wydawało mi się, że morderca uderzył więcej niż raz. Ale po dokładniejszym badaniu stwierdziłem, że wiele śladów

uderzeń znajduje się w miejscu przecięcia; innymi słowy, zadano je potem, już po odcięciu głowy. Czy Brayne tak piekielnie nienawidził swojego wroga, że zadawał razy jego martwemu ciału w świetle księżyca?

– Okropność! – powiedział wzdrygając się O'Brien.

Mały ksiądz o nazwisku Brown zbliżył się do nich, gdy jeszcze rozmawiali i z charakterystyczną dla siebie nieśmiałością czekał, aż skończą. Potem odezwał się z zakłopotaniem:

– Naprawdę nie chciałbym przeszkadzać. Ale wysłano mnie, żebym panom przekazał nowinę!

– Nowinę? – powtórzył Simon i popatrzył na niego zza okularów nieco zboliałym wzrokiem.

– Tak, przykro mi – powiedział ksiądz Brown łagodnie. – Chodzi o to, że popełniono kolejne morderstwo.

Obaj siedzący poderwali się, aż huśtawka się zakołysała.

– A co jeszcze dziwniejsze – ciągnął ksiądz, wpatrując się tępo w krzewy różaneczników – to znów ten sam odrażający rodzaj morderstwa: kolejne ścięcie. Znalaziono drugą głowę, praktycznie wykrwawiającą się do rzeki, parę jardów dalej przy drodze, którą Brayne uciekł do Paryża, więc podejrzewają...

– Wielkie nieba! – wykrzyknął O'Brien. – Czy ten Brayne to monoman?

– W Ameryce zdarzają się wendety – powiedział beznamiętnie ksiądz. – Proszę, żeby panowie przyszli do biblioteki i obejrzeliznalezisko.

Komendant O'Brien zmierzał na oględziny ostatni, czując wyraźne mdłości. Jako żołnierz, pogardzał wszelkim skrytobójstwem; kiedyż wreszcie skończą się te ekstrawaganckie amputacje? Najpierw jedna odrąbana głowa, teraz druga; w tym wypadku (mówił sobie gorzko) nie było prawdą, że co dwie głowy, to nie jedna. Przechodząc przez gabinet pana domu niemal zatoczył się na widok szokującego zbiegu okoliczności. Na biurku Valentina widniała barwna ilustracja przedstawiająca trzecią skrwawioną głowę, a była to głowa samego Valentina. Drugi rzut oka przekonał komendanta, że to jedynie numer nacjonalistycznej gazety „Gilotyna”, która co tydzień ukazywała jednego ze swych politycznych przeciwników z wywróconymi oczami i wykrzywioną twarzą człowieka tuż po egzekucji; Valentin był dość znanym antyklerykałem. O'Brien był jednak Irlandczykiem i nawet jego grzechy odznaczały się swego rodzaju czystością; zetknięcie z tą brutalnością intelektu, jaką można znaleźć jedynie we Francji, sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła. Ujrzał Paryż jako jedną całość – od groteskowych maskaronów na gotyckich kościołach aż po wulgarne karykatury w gazetach. Przypomniawsobie monstrualne żarty rewolucji. Widział całe miasto jako jeden strumień ohydnej energii, od krwawego szkicu na biurku Valentina aż po wyżyny, gdzie nad spiętrzoną gęstwiną gargulców wielki diabeł szczyrzy się w uśmiechu na szczycie Notre Dame.

Biblioteka była długim, niskim, ciemnym pomieszczeniem; rozjaśniało ją jedynie różowawe światło poranka, sączące się pod nisko opuszczonymi roletami. Valentin i jego służący Ivan czekali na nich u końca długiego, pochyłego blatu, na którym leżały doczesne szczątki zamordowanego, wydawały się olbrzymie w panującym półmroku.

Wielka czarna postać i żółta twarz człowieka znalezionego w ogrodzie przedstawiały się im zasadniczo niezmiennie. Druga głowa, którą wyłowiono tego ranka spośród rzecznych wodorostów, leżała ociekając wodą przy zwłokach; ludzie Valentina nadal poszukiwali drugiego ciała, które, jak przypuszczano, dryfowało gdzieś w rzece. Ksiądz Brown, który najwyraźniej zupełnie nie podzielał wrażliwości O'Briena, podszedł do drugiej głowy i obejrzał ją uważnie, jak zwykle mrugając oczami. Niewiele można w niej było rozeznac poza wiechciem siwych włosów, które lśniły srebrzyście w czerwonych, poziomych promieniach rannego słońca; twarz, robiąca wrażenie zaczerwienionej, brzydkiej i należącej być może do przestępcy, ucierpiała bardzo w zderzeniu z drzewami i kamieniami, unoszona przez wodę.

– Dzień dobry, panie komendancie – odezwał się Valentin z tłumioną serdecznością. – Zdaje się, że już pan słyszał o najnowszym rzeźnickim wyczynie Brayne'a?

Ksiądz Brown, nadal pochylony nad siwą głową, nie podniósłszy nawet wzroku, zapytał:

– Jest całkiem pewne, że Brayne uciął także i tę głowę, tak?

– No cóż, tak podpowiada zdrowy rozsądek – odparł Valentin z rękami w kieszeniach. – Zabity tak samo jak tamten. Miejsce znalezienia oddalone zaledwie o parę jardów od pierwszego. I cięcie dokonane tą samą bronią, którą, jak wiemy, Brayne porwał ze sobą.

– Tak, tak, wiem – przytaknęła pokornie ksiądz Brown. – A jednak, wie pan, wątpię, czy Brayne mógłby uciąć tę głowę.

– Dlaczego nie? – spytał doktor Simon z racjonalnym błyskiem w oku.

– Hm, panie doktorze – powiedział duchowny i wciąż mrugając, podniósł wzrok na lekarza – czy można samemu uciąć sobie głowę? Nie jestem pewien.

O'Brien poczuł, że zwariowany wszechświat wali mu się na głowę; doktor jednak, w szale praktyczności, skoczył naprzód i odgarnął kłęb mokrych, siwych włosów.

– Och, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to Brayne – powiedział cicho ksiądz Brown. – Miał dokładnie takie nacięcie na lewym uchu.

Detektyw, który wpatrywał się w duchownego błyszczącymi oczami, otworzył zaciśnięte usta i powiedział ostro:

– Wygląda na to, że ksiądz sporo o nim wie.

– To prawda – odparł z prostotą niski człowieczek. – Spotykałem się z nim od kilku tygodni. Zastanawiał się, czy nie przyłączyć się do naszego Kościoła.

W oczach Valentina rozbłysła gwiazda fanatyzmu; ruszył w stronę księdza z zaciśniętymi pięściami.

– I może – zawołał z niepohamowanym szyderstwem w głosie – może zastanawiał się także, czy nie zostawić waszemu Kościołowi całej swojej fortuny?!

– Być może – potwierdził beznamiętnie ksiądz Brown. – To niewykluczone.

– W takim razie – krzyknął Valentin z szatańskim uśmiechem – rzeczywiście może ksiądz sporo o nim wiedzieć. O jego życiu i o jego...

Komendant O'Brien położył rękę na ramieniu Valentina.

– Albo daruje pan sobie te bzdurne oszczerstwa, Valentin – powiedział – albo

szable znów pójdą w ruch.

Ale Valentin (pod spokojnym, pełnym pokory spojrzeniem księdza) zdążył już dojsć do siebie.

– Dobrze – powiedział krótko – nie czas na prywatne opinie. Jesteście, panowie, nadal związani słowem, że zostanieie w tym domu; pod tym względem musicie pilnować samych siebie – i siebie nawzajem. Ivan poinformuje was o wszystkim, co chcielibyście wiedzieć; ja muszę brać się do roboty i napisać do władz. Nie możemy dłużej unikać rozgłosu. Gdyby zdarzyło się coś nowego, jestem w swoim gabinecie.

– Czy są jakieś nowe ustalenia, Iwanie? – spytał doktor Simon, kiedy szef policji wyszedł z biblioteki.

– Tylko jedno, proszę pana – powiedział Ivan, marszcząc swoją wyblakłą, starą twarz – ale na swój sposób ważne. Ten stary ramol, coście go znaleźli na trawniku – i wskazał, nie siląc się na szacunek, wielkie czarne ciało z żółtawą głową – przynajmniej udało się ustalić, kto to taki.

– Doprawdy! – wykrzyknął zdumiony doktor. – I kto to jest?

– Nazywał się Arnold Becker – odparł pomocnik detektywa. – Chociaż pseudonimów miał wiele. Taki wędrowny zabijaka. Wiadomo, że był w Ameryce; to tam Brayne musiał go wziąć na cel. Nie mieliśmy z nim za wiele do czynienia, bo działał głównie w Niemczech. Oczywiście, porozumieliśmy się z niemiecką policją. Trochę to dziwne, ale był jeszcze jego brat bliźniak, Louis Becker, który przysporzył nam całkiem sporo roboty. Właściwie uznaliśmy, że trzeba go zgilotynować, i zrobiliśmy to nie dalej jak wczoraj. Wiedzą panowie, dziwna rzecz, ale kiedy zobaczyłem tego gościa rozciągniętego na trawie, aż mną zatelepało. Gdybym nie widział na własne oczy Louisa Beckera pod gilotyną, przysięgłbym, że to on leży w tej trawie. Potem, oczywiście, przypomniałem sobie o jego bracie bliźniaku w Niemczech i idąc za tą wskazówką...

Ivan przerwał wyjaśnienia spostrzegłszy, że nikt go nie słucha. Komendant i doktor wpatrywali się w księdza Browna, który zerwał się na równe nogi i ścisnął skronie jak ktoś, kto poczuł gwałtowny ból.

– Dość, dość! – zawołał. – Bądźcie przez chwilę cicho, bo ogarniam tylko połowę. Czy Bóg da mi siłę? Czy moja myśl wykona ten jeden skok, by pojąć to do końca? Boże, dopomóż! Byłem kiedyś niezły w myśleniu, bywało, że umiałem sparafrazować każdą stronę ze św. Tomasza. Czy głowa mi pęknie – czy wreszcie to zrozumie? Ogarniam tylko połowę – tylko połowę!

Ukrył twarz w dłoniach i stał bez ruchu, jakby w udręce myśli czy modlitwy, podczas gdy pozostała trójka mogła jedynie gapić się dalej na ostatnie niezwykle zjawisko tych szalonych dwunastu godzin.

Gdy ręce księdza Browna opadły, ukazały twarz rześką i poważną jak u dziecka. Duchowny westchnął głęboko i oznajmił:

– Lepiej niech już raz zostanie to powiedziane i skończy się jak najszybciej. Słuchajcie, oto najszybszy sposób przekonania was wszystkich o prawdzie. – Tu zwrócił się do doktora Simona: – Panie doktorze, pan ma głowę nie od parady, a dziś rano słyszałem, jak zadawał pan pięć najtrudniejszych pytań w tej sprawie. Jeśli je pan powtórzy, odpowiem na wszystkie.

Doktorowi, ze zdziwienia i niedowierzania, spadło z nosa pince-nez, ale usłuchał natychmiast.

– No cóż, pierwsze pytanie brzmiało: dlaczego ktoś miałby zabijać drugiego nieporęczną szablą, jeśli może go zadźgać sztyletem?

– Sztyletem nie utnie się głowy – odparł ksiądz Brown ze spokojem – a do tego morderstwa konieczne było ścięcie.

– Dlaczego? – spytał z zainteresowaniem O'Brien.

– A drugie pytanie? – spytał ksiądz Brown.

– Hm, dlaczego ten człowiek nie krzyczał ani nic podobnego? – spytał doktor. – Szable w ogrodzie to dość niezwykły widok.

– Gałązki – powiedział ksiądz Brown ponuro i odwrócił się do okna wychodzącego na miejsce zbrodni. – Nikt nie rozumiał znaczenia gałązek. Dlaczego miałyby leżeć na trawniku (proszę spojrzeć) tak daleko od drzew? Nie zostały ułamane, zostały ścięte. Morderca pokazywał swojemu wrogowi jakieś sztuczki z użyciem szabli, na przykład chwalać się, że potrafi przeciąć gałązkę w locie czy coś w tym rodzaju. Potem, kiedy wróg się schylił, by zobaczyć efekt sztuczki, wystarczyło jedno bezgłośnie uderzenie i głowa spadła na ziemię.

– Hm – mruknął doktor – to brzmi dość przekonująco. Ale moje dwa kolejne pytania każdego zapędzą w kozi róg.

Duchowny nadal przyglądał się krytycznie widokowi za oknem i czekał.

– Wiedzą panowie, że cały ogród zamknięty jest jak hermetyczna komora – ciągnął doktor. – A zatem, w jaki sposób obcy człowiek dostał się do ogrodu?

Bez odwracania się mały ksiądz odpowiedział:

– Nie było żadnego obcego człowieka w ogrodzie.

Zapadła cisza, a potem głośny wybuch niemal chłopięcego śmiechu rozładował napięcie. Absurdalność tego stwierdzenia wywołała głośnie docinki Ivana.

– Aha! To pewnie i my wczoraj wieczorem nie taszczyliśmy do gabinetu tego tłustego cielska? Pewnie w ogóle nie dostał się do ogrodu, co?

– Dostał się do ogrodu? – powtórzył z namysłem ksiądz Brown. – Nie, niezupełnie tak było.

– Do diaska! – zawołał Simon. – Albo człowiek dostał się do ogrodu, albo nie dostał!

– Niekoniecznie – odparł ksiądz Brown z nikłym uśmiechem. – Następne pytanie, doktorze?

– Podejrzewam, że ksiądz jest chory – wykrzyknął ostro doktor Simon – ale proszę bardzo, zadam kolejne pytanie. W jaki sposób Brayne opuścił ogród?

– Brayne nie opuścił ogrodu – odpowiedział duchowny i dalej wyglądał przez okno.

– Nie opuścił ogrodu? – wybuchnął Simon.

– Nie całkiem – wyjaśnił ksiądz Brown.

Doktor wymachiwał pięściami ogarnięty szałem francuskiej logiki.

– Człowiek albo opuszcza ogród, albo go nie opuszcza! – wrzeszczał.

– Nie zawsze – powiedział ksiądz Brown.

Doktor Simon zerwał się zniecierpliwiony na równe nogi.

– Nie mam czasu słuchać tych bzdur! – zawołał gniewnie. – Jeśli nie rozumie ksiądz, że człowiek musi być po jednej albo po drugiej stronie muru, to nie będę księdza fatygował pytaniami.

– Panie doktorze – przemówił ksiądz Brown z wielką łagodnością – zawsze dobrze się nam rozmawiało. Choćby przez wzgląd na dawną przyjaźń proszę zostać i zadać mi pańskie piąte pytanie.

Zniecierpliwiony Simon opadł na krzesło przy drzwiach i powiedział krótko:

– Głowa i ramiona nosiły ślady dziwnych razów. Jakby zadanych po śmierci.

– Tak – odparł nieporuszony ksiądz Brown – zrobiono to, żeby doszedł pan do jedyne go fałszywego wniosku, jaki wyciągnął pan w tej sprawie, doktorze. Chodziło o to, żeby uznał pan za oczywistość, że ucięta głowa należy do reszty ciała.

Obrzeża umysłu, na których rodzą się potwory, przebudziły się niepokojąco w celtyckiej naturze O'Briena. Poczł chaotyczną obecność wszystkich mężczyzn-koni i kobiet-ryb, jakie stworzyła wynaturzona fantazja człowieka. Zdawało mu się, że głos starszy od głosu pierwszych praocjów szepcze mu do ucha: „Nie wchodź do straszliwego ogrodu, gdzie rośnie drzewo o dwóch owocach. Unikaj złego ogrodu, gdzie zginął dwugłowy człowiek”. Ale mimo że skandaliczne, symboliczne kształty nawiedzały odwieczne zwierciadło jego irlandzkiej duszy, jego sfrancuziały intelekt, wciąż czujny, śledził dziwnego księdza tak samo uważnie i z takim samym niedowierzaniem jak reszta zebranych.

Ksiądz Brown odwrócił się nareszcie i stanął na tle okna z twarzą w głębokim cieniu; ale nawet w tym cieniu widzieli, że jest blady jak śmierć. Mimo to przemówił całkiem sensownie, jakby na ziemi nie było w ogóle celtyckich dusz.

– Panowie – powiedział – nie znaleźliście w ogrodzie ciała obcego Beckera. Nie znaleźliście w ogrodzie żadnego obcego ciała. Wbrew racjonalizmowi doktora Simona nadal twierdzą, że Becker był w ogrodzie tylko częściowo. Proszę popatrzeć! – zawołał, wskazując na czarną bryłę tajemniczego ciała. – Nigdy nie widzieli panowie tego człowieka. A czy kiedykolwiek widzieliście tego?

Nagłym ruchem odtoczył łysą, żółtą głowę nieznajomego i na jej miejsce położył leżącą obok głowę o siwych włosach. I oto niezaprzeczenie leżał przed nimi cały, ponownie zjednoczony Julius K. Brayne.

– Morderca – ciągnął cicho ksiądz Brown – odrąbał głowę swojego wroga i wyrzucił szablę daleko za mur. Ale był za sprytny, by wyrzucić tylko szablę. Wyrzucił za mur także głowę. Potem wystarczyło przyłożyć do ciała inną głowę i (ponieważ należał na prywatne śledztwo) wszyscy wyobraziliście sobie całkiem nowego człowieka.

– Przyłożyć inną głowę! – powiedział O'Brien wytrzeszczając oczy. – Jaką inną głowę? Głowy chyba nie rosną na drzewach?

– Nie – odparł ochryple ksiądz Brown i patrząc na swoje buty, dodał – głowy rosną tylko w jednym miejscu: w koszu pod gilotyną, przy którym szef policji Aristide Valentin stał niecałą godzinę wcześniej. Drodzy przyjaciele, posłuchajcie mnie jeszcze chwilę zanim rozerwiecie mnie na strzępy. Valentin to uczciwy człowiek, jeśli obłąd z powodu wątpliwej sprawy można nazwać uczciwością. Ale czy nigdy nie dostrzeżliście w jego zimnych, szarych oczach błysku szaleństwa? Ten człowiek zrobiłby wszystko, **wszystko**,

byle pokonać to, co nazywał przesądem krzyża. Dla tej sprawy walczył i głodował, a teraz popełnił dla niej morderstwo. Do tej pory Brayne rzucał swoje wariackie miliony między tyle sekt, że nie naruszały one specjalnie równowagi świata. Valentin posłyszał jednak, że Brayne, jak wielu postrzelonych sceptyków, dryfuje w naszym kierunku; a to było już całkiem co innego. Brayne wyposażyłby biedny i wojowniczy francuski Kościół w niezbędne środki; sfinansowałby sześć nacjonalistycznych gazet takich jak „Gilotyna”. Losy bitwy już wcześniej ważyły się na ostrzu noża i to ryzyko obudziło w szefie policji fanatyka. Postanowił zgładzić milionera i zrobił to tak, jak można by się spodziewać po największym detektywie świata popełniającym swoją jedyną zbrodnię. Wyniósł uciętą głowę Beckera pod jakimś kryminologicznym pretekstem i zabrał ją do domu w swoim służbowym kufierku. Wdał się w tę ostatnią dyskusję z Braynem, której końca nie słyszał lord Galloway, a ponieważ nie przyniosła skutku, zaprowadził go do ogrodu i rozprawiając o szermierce, użył gałązek i szabli jako przykładu i...

Człowiek z blizną, Ivan, skoczył na równe nogi.

– Wariat! – wykrzyknął. – Pójdiesz zaraz do mojego pana, nawet gdybym miał cię zaprowadzić, ty...

– Ależ właśnie się do niego wybieram – przerwał mu ze smutkiem ksiądz Brown.

– Muszę go poprosić, żeby się wypowiedział i tak dalej.

Prowadząc przed sobą nieszczęsnego Browna jak zakładnika albo ofiarę, wszyscy razem pospieszyli do zaskakująco cichego gabinetu Valentina.

Wielki detektyw siedział przy biurku, jakby zbyt zajęty, by słyszeć ich hałaśliwe wejście. Zatrzymali się na chwilę, a potem coś w wyglądzie jego wyprostowanej, eleganckiej, odwróconej tyłem sylwetki sprawiło, że doktor nagle skoczył naprzód. Jedno dotknięcie i spojrzenie wystarczyły, by stwierdzić, że przy łokciu Valentina spoczywa małe pudełeczko pigułek i że Valentin siedzi martwy w swoim fotelu. Na zastygłym obliczu samobójcy malowało się coś więcej niż pycha Katona.

DZIWNE KROKI

Gdybyście spotkali członka tego elitarnego klubu, jakim jest klub Dwunastu Prawdziwych Rybaków, wchodzącego do hotelu Vernon na doroczne przyjęcie, to przekonalibyście się, gdy będzie on zdejmował płaszcz, że jego frak jest zielony, a nie czarny. Gdybyście (o ile starczy wam bezczelności, by zagadnąć tę podniebną istotę) zapytali dlaczego, prawdopodobnie powiedziałby wam, że chodzi o to, by nie wzięto go za kelnera. Wówczas wycofalielibyście się zdruzgotani. Ale zostawilibyście za sobą nierozwiązaną zagadkę i wartą opowiedzenia historię.

Gdybyście jednak (idąc dalej tropem tych nieprawdopodobnych przypuszczeń) spotkali cichego, pracowitego, niskiego księdza o nazwisku Brown i zapytali go, kiedy jego zdaniem miał najbardziej wyjątkowe szczęście, prawdopodobnie odpowiedziałby wam, że ogólnie rzecz biorąc najszcześniejszy traf spotkał go w hotelu Vernon, gdzie udało mu się zapobiec pewnej zbrodni i być może ocalić pewną duszę tylko dzięki temu, że przysłuchiwał się krokom na korytarzu. Być może owo szalone, fantastyczne rozwiązanie zagadki jest dla niego powodem do dumy i może coś by o tym napomknął. Jako że jest jednak niezmiernie mało prawdopodobne, byście kiedykolwiek osiągnęli takie wyżyny życia towarzyskiego, by spotkać Dwunastu Prawdziwych Rybaków, albo byście kiedykolwiek spadli tak nisko, do świata slumsów i kryminalistów, by spotkać księdza Browna, obawiam się, że nigdy nie poznalibyście tej historii, gdybym wam jej nie opowiedział.

Instytucja taka jak Vernon Hotel, w którym Dwunastu Prawdziwych Rybaków urządzało swoje doroczne przyjęcia, mogła istnieć jedynie w oligarchicznym społeczeństwie niemal znikowanym na punkcie manier. Było to zjawisko postawione na głowie – „elitarny” biznes, a zatem miejsce, które przynosi zyski nie dlatego, że ludzi przyciąga, ale właśnie dlatego, że ich odpycha. W samym sercu plutokracji kupcy zyskują na przebiegłości i stają się wybredniejsi od swoich klientów. Tworzą faktyczne przeszkody, tak by ich bogaci i znudzeni klienci musieli je pokonywać, pomagając sobie pieniędzmi i dyplomacją. Gdyby w Londynie istniał modny hotel, do którego nie mógłby wejść nikt mierzący mniej niż sześć stóp wzrostu, pokornie dobierano by się w grupy odpowiednio wysokich osób, by móc tam jadać. Gdyby istniała droga restauracja, która jedynie z powodu widzimisię jej właściciela byłaby otwarta jedynie w czwartki po południu, to w czwartki po południu pękałaby w szwach. Hotel Vernon położony był, jakby przypadkiem, w narożniku placu w dzielnicy Belgravia. Był to mały i bardzo niewygodny hotel. Ale właśnie jego niewygody uznawane były za coś w rodzaju murów chroniących szczególną klasę ludzi. Zwłaszcza jedna niewygodna uważana była za rzecz niezwyklej wagi: fakt, że mogły tam biesiadować praktycznie tylko dwadzieścia cztery osoby naraz. Jedynym dużym stołem był słynny stół tarasowy, który stał na czymś w rodzaju werandy wychodzącej na jeden z najpiękniejszych starych ogrodów w Londynie. A zatem nawet z dwudziestu czterech miejsc przy tym stole można było czerpać przyjemność jedynie przy cieplej pogodzie; a ponieważ przyjemność ta była przez to jeszcze trudniejsza do osiągnięcia, czyniło ją to tym bardziej pożądaną. Obecny właściciel hotelu, Żyd o nazwisku Lever, dzięki niedostępności lokalu dorobił się na nim

niemal miliona funtów. Oczywiście, ograniczoną skalę swego przedsiębiorstwa łączył z drobiazgową doskonałością jego działania. Wina i kuchnia były tu nie gorsze niż gdzie indziej w Europie, a zachowanie obsługi doskonale odzwierciedlało sztywne zasady angielskich klas wyższych. Właściciel znał swoich kelnerów jak palce własnej ręki; było ich wszystkich razem zaledwie piętnastu. O wiele łatwiej było zostać członkiem parlamentu niż kelnerem w jego hotelu. Każdego kelnera szkolono w straszliwej sztuce bezszelestnej, gładkiej obsługi, jakby był osobistym służącym gentlemiana. I rzeczywiście, na każdego posilającego się gentlemiana zazwyczaj przypadał przynajmniej jeden kelner.

Klub Dwunastu Prawdziwych Rybaków nie zgodziłby się na obiad w żadnym innym miejscu, jego członkowie kładli bowiem nacisk na luksusową dyskrecję; nawet myśl, że w tym samym budynku mógłby się odbywać obiad jakiegoś innego klubu, wytraciłaby ich z równowagi. Z okazji dorocznego przyjęcia Rybacy mieli zwyczaj prezentować wszystkie swoje skarby, a zwłaszcza stanowiący niejako insygnia tego towarzystwa słynny komplet noży i widelców do ryb, kunsztownie wykonany ze srebra; każdy sztuciec miał kształt ryby, a jego ozdobą była umieszczona na rękojeści jedna wielka perła. Komplet ten zawsze podawano do dania z ryb, a danie z ryb było ukoronowaniem całej królewskiej uczy. Stowarzyszenie miało wiele ceremonii i zwyczajów, nie miało jednak historii ani celu; dlatego właśnie było tak bardzo arystokratyczne. Nie trzeba było być nikim szczególnym, by stać się jednym z Dwunastu Rybaków; ktoś, kto nie należał już wcześniej do pewnego szczególnego rodzaju osób, nigdy nawet o nich nie słyszał. Klub istniał od dwunastu lat. Przewodniczącym był pan Audley, a wiceprzewodniczącym ksiądz Chester.

Jeśli choć w niewielkim stopniu udało mi się oddać atmosferę tego budzącego grozę hotelu, czytelnik może odczuwać naturalną ciekawość, w jaki sposób dowiedziałem się o nim czegokolwiek. Może nawet zastanawiać się, w jaki sposób w tej złotej klatce mógł znaleźć się ktoś tak zwyczajny jak mój przyjaciel, ksiądz Brown. Jeśli o to chodzi, to sprawa jest całkiem prosta, a nawet pospolita. Jest na tym świecie odwieczny awanturnik i demagog, który wdziera się do najwytworniejszych ustroni z przerażającą wiadomością, że wszyscy ludzie są braćmi, a gdziekolwiek zjawiał się ten radykał na bladym koniu, do obowiązków księdza Browna należało pójście za nim. Jeden z kelnerów, Włoch, doznał tego popołudnia paraliżującego wylewu, a jego żydowski pracodawca, nieco zdziwiony takimi przesadami, zgodził się posłać po najbliższego księdza-papistę. To, z czego kelner wypowiedział się księdzu Brownowi, nie należy do naszej opowieści z tej przyczyny, że duchowny zachował to dla siebie; najwyraźniej jednak jego wyznania wiązały się z koniecznością sporządzenia przez księdza pewnego pisma czy też oświadczenia w celu przekazania jakiejś wiadomości czy też naprawienia jakiejś szkody. Dlatego ksiądz Brown z pokorną bezczelnością, którą wykazałby się nawet w pałacu Buckingham, poprosił o udostępnienie mu pokoju i przyborów do pisania. Pan Lever był rozdarty na dwoje. Był on dobrym człowiekiem, choć odznaczał się także tą kiepską imitacją dobroci, jaką jest niechęć do wszelkich problemów i scen. Równocześnie obecność tak niezwykłego gościa tego wieczoru w jego hotelu przypominała ślad brudu na jakimś dopiero co wyczyszczonym przedmiocie. W hotelu

Vernon nie było nigdy żadnej strefy buforowej – żadnej poczekalni, ludzi oczekujących w holu czy przypadkowych interesantów. Było piętnastu kelnerów. Było dwunastu gości. Odkrycie dodatkowego gościa w hotelu tego wieczoru byłoby czymś równie zaskakującym, jak odkrycie nowego brata przy śniadaniu lub kolacji we własnej rodzinie. Ponadto aparycja duchownego pozostawiała wiele do życzenia, a ubranie miał zabłocone; wystarczyłoby, że ktoś dostrzegłby go przelotnie z daleka i kryzys gotowy. Pan Lever wpadł wreszcie na pomysł ukrycia tej kompromitacji, skoro usunąć jej nie mógł. Wszedłszy do hotelu Vernon (co nigdy wam się nie zdarzy), musielibyście pokonać krótki korytarz ozdobiony kilkoma zniszczonymi, ale ważnymi obrazami, by znaleźć się w głównym westybulu czy też holu, z którego na prawo przechodzi się korytarzem do sal restauracyjnych, a na lewo podobnym korytarzem do kuchni i biur hotelowych. Zaraz po lewej mielibyście narożnik przylegającego do westybulu przeszklonego biura – przypominającego dom wewnątrz domu albo staromodny bar hotelowy, który prawdopodobnie kiedyś zajmował to miejsce.

W biurze tym siedział przedstawiciel właściciela (nikt w tym lokalu nigdy nie pojawiał się osobiście, jeśli mógł tego uniknąć), a tuż za biurem w kierunku pomieszczeń służbowych mieściła się męska szatnia, ostatnie rubieże królestwa gentlemanów. Pomiędzy biurem a szatnią był jednak mały, pozbawiony osobnego wejścia dyskretny pokój, którego właściciel używał czasem do załatwiania delikatnych spraw, takich jak udzielenie księciu pożyczki w wysokości tysiąca funtów albo odmowa udzielenia mu pożyczki w wysokości sześciu pensów. Niezwykłej tolerancji pana Levera dowodzi fakt, że zgodził się, by przez około pół godziny przybytek ten bezcześciła obecność księdza skrobiącego coś na kartce papieru. Historia, którą spisywał ksiądz Brown, była zapewne o wiele lepsza od niniejszego opowiadania, tylko że nikt nigdy jej nie przeczytał. Mogę powiedzieć o niej tylko tyle, że była bardzo podobnej długości, a dwa czy trzy ostatnie akapity stanowiły jej najmniej ciekawą i absorbującą część.

Dotarłszy do nich, ksiądz Brown pozwolił sobie bowiem na pewne rozproszenie i na to, by jego zwierzęce zmysły, zwykle bardzo wyostrzone, zbudziły się z uśpienia. Zbliżała się pora zmierzchu i posiłku. Zapomniany pokój, w którym siedział, nie miał lampy i być może, jak to czasem bywa, zapadający zmrok wyostrzył jego wrażliwość na dźwięki. Pisząc ostatnią i najmniej ważną część dokumentu, ksiądz Brown przyłapał się na tym, że pisze w rytm monotonnego dźwięku za drzwiami, podobnie jak czasem podróżnemu zdarza się myśleć w rytm stukotu pociągu. Kiedy uświadomił sobie ten fakt, zrozumiał, co to było – zwykły odgłos przechodzących za drzwiami kroków, rzecz w hotelu zgoła nienadzwyczajna. Mimo to ksiądz Brown zagapił się na ciemniejący sufit i zaczął nasłuchiwać. Kilka chwil słuchał w roztargnieniu, a potem wstał i zaczął wsłuchiwać się uważnie, z przechyloną na bok głową. Potem znów usiadł i ukrył twarz w dłoniach; teraz już nie tylko nasłuchiwał, ale także myślał.

Kroki za drzwiami w dowolnie wybranym momencie nie różniły się od tych, jakie zwykle słyszy się w hotelu; jednak w całości miały w sobie coś bardzo dziwnego. Nie było innych kroków. W hotelu panowała zawsze cisza, bo nieliczni stali goście szli od razu do swoich pokoi, a dobrze wyszkolona obsługa wiedziała, że ma być niemal niewidzialna, dopóki nie będzie potrzebna. Trudno wyobrazić sobie miejsce, w którym

byłoby mniej powodów do zaobserwowania czegoś niezwykłego. Powtarzające się kroki były jednak tak dziwne, że nie wiadomo było, czy uznać je za normalne, czy też nie. Ksiądz Brown wystukiwał ich rytm palcem na brzegu stołu jak ktoś, kto próbuje nauczyć się melodii na pianinie.

Najpierw przez dłuższą chwilę słychać było szybkie, lekkie kroki, jakie mógłby stawiać szczupły zawodnik wygrywający wyścig chodźarzy. W pewnej chwili kroki te milkły i zmieniały się w powolne, posuwiste stąpania, których było ponad cztery razy mniej niż wcześniejszych kroków, choć trwały mniej więcej tak samo długo. W chwili, gdy cichło ostatnie rozbrzmiewające echem stąpanie, ponownie rozlegał się szmer pośpiesznych, lekkich kroków, a potem znów dudnienie cięższych stóp. Para butów była z pewnością ta sama, jako że (jak już powiedziano) żadnej innej nie było słychać w pobliżu, a poza tym buty te cicho, ale wyraźnie skrzypiały. Ksiądz Brown należał do tego rodzaju ludzi, którzy nie umieją powstrzymać się od zadawania pytań; a to na pozór błahe pytanie wręcz rozsadzało mu głowę. Widywał ludzi biorących rozbieg przed skokiem. Widywał ludzi biorących rozbieg przed ślizgiem. Ale czemu na litość Boską ktoś miałby brać rozbieg przed spacerem? Albo czemu miałby służyć spacer przed rozbiegiem? A jednak nie można było inaczej opisać wybryków tej niewidzialnej pary nóg. Ktoś albo pokonywał bardzo szybko jedną część korytarza, by drugą przebyć bardzo powoli; albo też szedł bardzo powoli z jednego końca, by niespodziewanie przyspieszyć przed drugim. Żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się specjalnie sensowne. Umysł księdza Browna, podobnie jak jego pokój, spowijały coraz gęstsze ciemności.

Jednak w miarę jak zaczynał racjonalnie myśleć, mrok panujący w jego celi niejako dodawał jego myślom wyrazistości. Ukazała się mu jakby wizja owych fantastycznych stóp wycinających na korytarzu jakieś nieludzkie, symboliczne hołubce. Czy był to pogański taniec religijny? A może zupełnie nowa odmiana naukowych ćwiczeń? Ksiądz Brown zaczął pytać sam siebie, z czym dokładnie kojarzą mu się te dziwne kroki. Najpierw powolne stąpanie: to na pewno nie był chód właściciela hotelu. Tacy ludzie albo drepczą pospiesznie, albo nie ruszają się z miejsca. Nie mógł to być także żaden kelner ani posłaniec czekający na wskazanie mu drogi. Brzmiało to inaczej. Co prawda przedstawiciele uboższych kręgów (w ramach oligarchii) czasem na lekkim rauszu błądzą po lokalu, ale zazwyczaj, zwłaszcza w tak olśniewającym otoczeniu, zastygają na stojąco lub siedząco w wymuszonych pozach. Nie; to ciężkie, ale sprężyste stąpanie, jakby z nonszalancką emfazą, niezbyt głośne, a jednak bez dbałości o to, czy narobi hałasu, mogło należeć tylko do jednego zwierzęcia na tej ziemi. Był nim zachodnioeuropejski gentleman i to prawdopodobnie taki, który nigdy nie musiał pracować na swoje utrzymanie.

Gdy tylko ksiądz Brown doszedł do tej niezachwianej pewności, odgłos kroków znów stał się szybszy i minął drzwi biegiem, przypominającym dreptanie rozgorączkowanego szczura. Słuchacz zauważył przy tym, że kroki są nie tylko szybsze, ale też znacznie cichsze, prawie tak, jakby ktoś starał się biec na palcach. Nie kojarzyło mu się to jednak z ukradkowością, ale z czymś innym – czymś, czego nie mógł sobie przypomnieć. Do szału doprowadzała go ta połowiczna niepamięć, która sprawia, że człowiek czuje się jak półgłówek. Przecież gdzieś już słyszał ten dziwny, szybki chód.

Nagle zerwał się na nogi z nową myślą i ruszył do drzwi. Jego pokój nie miał wyjścia bezpośrednio na korytarz, połączony był z jednej strony z przeszklonym biurem, a z drugiej – z mieszczącą się w głębi szatnią. Spróbował otworzyć drzwi do biura i stwierdził, że są zamknięte na klucz. Potem wyrzwał przez okno, za którego kwadratową szybą tłoczyły się fioletowe chmury przecięte bladą smugą zachodu i nagle, jak pies wyczuwający szczura, zwietrzył zło.

Racjonalna strona jego charakteru (mądrzejsza czy nie) odzyskała przewagę. Przypomniał sobie, jak właściciel mówił, że zamyka drzwi na klucz, a potem sam go wypuści. Mówił sobie, że ekscentryczne dźwięki za drzwiami można wyjaśnić na dwadzieścia sposobów, które nie przyszły mu do głowy. Napominał sam siebie, że zostało akurat jeszcze tyle światła, by mógł dokończyć swoje właściwe zadanie. Przeniósłszy papier bliżej okna, by wykorzystać resztkę światła tego burzliwego wieczoru, rozsądnie zabrał się znów do swego niemal ukończonego sprawozdania. Pisał może dwadzieścia minut, nachylając się nad kartką coraz to niżej w słabnącym świetle, aż nagle wyprostował się na krześle. Znów usłyszał dziwaczne kroki.

Tym razem miały w sobie jeszcze jedną osobliwość. Przedtem nieznajomy chodził, co prawda z wielką lekkością i prędko jak błyskawica, ale chodził. Tym razem biegł. Słysząc było zbliżające się korytarzem szybkie, ciche, sprężyste kroki jak stąpania uciekającej pantery. Ktokolwiek się zbliżał, musiał być silnym, wysportowanym człowiekiem, którego ogarnęło bezgłośnie, lecz gwałtowne podniecenie. Gdy jednak cichy tupot niczym szemrzące tornado dotarł na wysokość biura, nagle zmienił się znowu w powolny, pewny siebie krok.

Ksiądz Brown rzucił swój dokument i wiedząc, że drzwi biura są zaryglowane, natychmiast wyszedł do szatni naprzeciwko. Człowieka obsługującego szatnię chwilowo nie było, prawdopodobnie dlatego, że goście siedzieli przy obiedzie, a jego posada była rodzajem synekury. Przedarłszy się przez szary las płaszczy, ksiądz Brown stwierdził, że mroczną szatnię oddziela od oświetlonego korytarza coś w rodzaju lady czy też niskiej bramki, nad jaką wszystkim nam zdarzało się oddawać parasole i odbierać numerki. Tuż nad półkolistym sklepieniem tego otworu umieszczona była lampa. Rzucała ona niewiele światła na samego księdza Browna, który w głębi szatni rysował się zaledwie jako czarna sylwetka na tle okna rozjaśnionego słabym blaskiem zachodu. Lampa oświetlała jednak niemal teatralnym blaskiem postać człowieka stojącego na korytarzu przed szatnią.

Był to elegancki mężczyzna w zupełnie pozbawionym ozdób wieczorowym stroju; wysoki, ale robił wrażenie, jakby nie zajmował zbyt wiele miejsca; czuło się, że mógłby przemknąć jak cień tam, gdzie wielu mniejszych ludzi rzucałoby się w oczy i zagradzało drogę. Jego twarz, odchylona do tyłu pod lampą, była ogorzałą i pełną życia twarzą obcokrajowca. Miał nienaganną sylwetkę, pogodne i pewne siebie zachowanie; krytyk mógłby powiedzieć jedynie, że jego czarny strój nie dorównywał elegancją jego posturze i manierom, a nawet, że miejscami w dziwny sposób wybrzuszał się i zwisał. Gdy tylko mężczyzna zobaczył czarną sylwetkę księdza Browna na tle zachodu słońca, rzucił na ladę kartonik z numerem i zawołał dobrodusznie władcym tonem:

– Proszę o płaszcz i kapelusz; właśnie się dowiedziałem, że muszę wyjść.

Ksiądz Brown bez słowa wziął kartonik i posłusznie ruszył na poszukiwanie

płaszcz; nie była to pierwsza praca fizyczna, jaką wykonywał w życiu. Przyniósł okrycie i położył je na ladzie, a tymczasem dziwny gentleman, pogrzebawszy w kieszeniach kamizelki, powiedział ze śmiechem:

– Nie mam srebra; proszę zatrzymać to! – Rzucił pół suwerena i chwycił swój płaszcz.

Postać księdza Browna nadal tkwiła nieruchomo w ciemności; ale w tym jednym momencie duchowny stracił głowę. Zawsze wtedy, kiedy ją tracił, jego głowa warta była najwięcej. W takich chwilach dodawał dwa do dwóch, a otrzymywał cztery miliony. Kościół katolicki (oblubienica zdrowego rozsądku) często nie pochwalał tego zjawiska. Ksiądz Brown też często go nie pochwalał. Ale prawdziwą inspiracją – ważną w rzadkich chwilach kryzysu – była dla niego nadzieja, że ktokolwiek straci swoją głowę, ten ją zachowa.

– Wydaje mi się, proszę pana – odezwał się uprzejmie – że ma pan jednak trochę srebra w kieszeni.

Wysoki gentleman wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– A niech to, człowieku – zawołał – jeśli wolę obdarować cię złotem, to czemu narzekasz?

– Bo srebro bywa czasem cenniejsze od złota – odparł łagodnie ksiądz. – To znaczy, jeśli jest go dość dużo.

Nieznajomy spojrział na niego z zaciekawieniem. Potem spojrział z jeszcze większym zaciekawieniem na korytarz wiodący do głównego wejścia. Potem znów popatrzył na Browna, a potem z wielką uwagą przyjrzał się oknu za jego głową, nadal rozjaśnionemu burzowym światłem. Potem nagle się zdecydował. Wsparł się jedną ręką o ladę, przesadził ją lekko jak akrobata i stanął nad księdzem, łapiąc go wielką ręką za klapy.

– Spokojnie – wyszeptał ostro. – Nie chcę panu grozić, ale...

– Ja natomiast chcę panu grozić – odezwał się ksiądz Brown głosem dźwięcznym jak werbel – chcę panu grozić robakiem, który nie umiera i ogniem, który nie gaśnie.

– Dziwny z pana szatniarz – rzucił nieznajomy.

– Jestem księdzem, Monsieur Flambeau – odparł ksiądz Brown – i jestem gotów wysłuchać pańskiej spowiedzi.

Jego rozmówca stał chwilę łapiąc powietrze, a potem zatoczył się w tył i opadł na krzesło.

Dwa pierwsze dania obiadu Dwunastu Prawdziwych Rybaków minęły gładko i spokojnie. Nie mam menu, a nawet gdybym je miał, i tak nikt by się z niego niczego nie dowiedział. Było ono napisane tą unikatową superfrancuszczyzną używaną przez kucharzy, ale całkiem niezrozumiałą dla Francuzów. Tradycją klubu były przystawki – rozmaite i różnorodne aż do szaleństwa. Traktowano je z powagą, ponieważ były jawnie bezużytecznymi dodatkami, podobnie jak całe przyjęcie i cały klub. Do tradycji należało także spożywanie lekkiej, bezpretensjonalnej zupy – stanowiącej coś w rodzaju prostej, surowej wigilii w oczekiwaniu na rybną ucztę, która miała po niej nastąpić. Rozmowy należały do tych dziwnych, powierzchownych rozmów, które rządzą Imperium Brytyjskim; rządzą nim w tajemnicy, choć dla zwykłego Anglika, gdyby nawet udało mu

się je podsłuchać, nie byłyby specjalnie rozumiały. Ministrów gabinetu z obu stron wymieniano z imienia z czymś w rodzaju znudzonej życzliwości. Radykalny minister finansów, którego wszyscy torysi powinni by przeklinać za to, że zdierał z nich skórę, był chwalony za drobne utwory poetyckie albo za to, jak trzyma się w siodle na polowaniu. Przywódca torysów, którego wszyscy liberałowie powinni byli nienawidzić jako tyrana, był poddawany ocenie i ogólnie chwalony – jako liberał. Zdawało się, że politycy z jakiegoś względu są bardzo ważni. Ale ważne było wszystko, co ich dotyczyło, oprócz polityki. Pan Audley, przewodniczący klubu, był miłym, starszym panem, wciąż jeszcze noszącym sztywne kołnierzyki w stylu premiera Gladstone'a; był on niejako symbolem całej tej widmowej, a równocześnie niewzruszonej społeczności. Nie zdarzyło się, by zrobił cokolwiek – choćby coś złego. Nie był hulaką, nie był nawet szczególnie bogaty. Po prostu był wtajemniczony i to wystarczyło. Żadna partia nie mogła go lekceważyć, a gdyby miał życzenie zostać członkiem gabinetu, z pewnością by nim został. Księżę Chester, wiceprzewodniczący, był młodym, dobrze zapowiadającym się politykiem. Oznacza to, że był miłym młodzieńcem o prostych, jasnych włosach i piegowatej twarzy, umiarkowanej inteligencji i wielkich posiadłościach. Jego wystąpienia publiczne zawsze kończyły się sukcesem i opierały na dość prostej zasadzie. Ilekroć przychodził mu do głowy żart, opowiadał go, a wtedy nazywano go błyskotliwym. A kiedy nie przychodziło mu do głowy nic dowcipnego, mówił, że nie czas na żarty; wówczas nazywano go kompetentnym. Prywatnie, w klubie, wśród równych sobie, był po prostu zabawnie szczery i dokazywał jak uczeń. Pan Audley, który nigdy nie zajmował się polityką, traktował ją nieco poważniej. Czasem nawet wprawiał zebranych w zakłopotanie, przemawiając tak, jakby między liberałem a konserwatystą rzeczywiście istniała jakaś różnica. On sam, nawet w życiu prywatnym, zaliczał się do konserwatystów. Pukiel siwych włosów, jak u dawnych mężów stanu, opadał mu na kołnierzyk; z tyłu pan Audley wyglądał na człowieka, którego potrzebuje imperium. Z przodu wyglądał na łagodnego, lubiącego sobie dogadzać kawalera z mieszkaniem w eleganckiej dzielnicy Albany – i tym był w istocie.

Jak już było powiedziane, przy stole na tarasie były dwadzieścia cztery miejsca i tylko dwunastu członków klubu. Dzięki temu mogli oni zajmować taras w najwygodniejszy możliwy sposób: siedząc po jednej stronie stołu i nie mając nikogo naprzeciw siebie, cieszyli się niezakłóconym widokiem na ogród, którego barwy były wciąż żywe, choć wieczór zapadał dość ponury jak na tę porę roku. Przewodniczący siedział w środku, a wiceprzewodniczący po prawej, na końcu zgromadzenia. Gdy goście wchodzili, by zająć miejsca za stołem, piętnastu kelnerów miało w zwyczaju (z nieznanego powodu) stać rzędem pod ścianą jak wojsko prezentujące broń przed królem, podczas gdy gruby właściciel kłaniał się członkom klubu z rozpromienionym i zdumionym obliczem, jakby nigdy przedtem o nich nie słyszał. Przed pierwszym szcęknięciem noża i widelca cała ta armia służących zniknęła i tylko jeden czy dwóch kelnerów potrzebnych do zbierania i rozdawania talerzy przemykało po tarasie w śmiertelnej ciszy. Pan Lever, właściciel, rzecz jasna zniknął w uprzejmych lansadach dużo wcześniej. Byłoby przesadą, a nawet brakiem szacunku twierdzić, że w trakcie obiadu w ogóle pojawiał się osobiście na tarasie. Ale kiedy wnoszono najważniejsze

danie, danie z ryb, miało się wrażenie – jakby to ująć? – żywego cienia, jakby projekcji jego osobowości, która dawała do zrozumienia, że właściciel jest blisko. Uświęcone tradycją danie wyglądało (dla oczu prostaczków) jak coś w rodzaju monstrualnego puddingu, kształtem i rozmiarami przypominającego tort weselny, w którym pokaźna liczba ciekawych ryb straciła ostatecznie kształty, jakimi Bóg je obdarzył. Dwunastu Prawdziwych Rybaków unosiło swoje słynne widelce i noże do ryb i zabierało się do dania z taką powagą, jakby każdy cal tego puddingu wart był tyle samo, co srebrny widelec, na który go nabierano. I, o ile mi wiadomo, tak właśnie było. Z daniem tym rozprawiano się w pełnej namaszczenia, dostojnej ciszy; dopiero, gdy jego talerz był już niemal pusty, młody książę wygłosił rytualną uwagę:

– Czegoś takiego nie potrafią przygotować nigdzie indziej.

– Nigdzie – potwierdził pan Audley głębokim basem, zwracając się do przedmówcy i kilkakrotnie potakując swoją czcigodną głową. – Z pewnością nigdzie indziej. Podobno w Café Anglais...

Tu rozproszyło go, a nawet chwilowo wytrąciło z równowagi usunięcie talerza, ale na szczęście nie stracił cennego wątku.

– Podobno w Café Anglais podają to samo. Nic podobnego – powiedział, bezlitośnie potrząsając głową, jak sędzia skazujący kogoś na szubienicę. – Nic podobnego.

– Przerklamowane miejsce – zauważył niejaki pułkownik Pound, który (jeśli sądzić po jego wyglądzie) odezwał się pierwszy raz od kilku miesięcy.

– Hm, nie wydaje mi się – odezwał się książę Chester, który był optymistą. – Niektóre rzeczy są tam bombowe. Nic nie przebije ich...

Kelner przeszedł szybkim krokiem wzdłuż stołu, a potem stanął jak wryty. Jego zatrzymanie się było tak samo bezgłośnie jak jego chód; ale wszyscy ci swobodni, łagodni gentlemani byli tak przyzwyczajeni do gładkiego działania niewidzialnej maszyny otaczającej i podtrzymującej ich życie, że nieoczekiwane zachowanie kelnera było dla nich nieprzyjemnym zgrzytem. Poczuli się tak, jak czulibyśmy się ty albo ja, gdyby świat nieożywiony przestał być nam posłuszny – gdyby na przykład uciekło nam krzesło.

Kelner stał chwilę z wytrzeszczonymi oczami, podczas gdy na wszystkich twarzach przy stole coraz wyraźniej malowało się dziwne zawstydzenie, będące nieomylnym wytworem naszych czasów. Jest to połączenie współczesnego humanitaryzmu i okropnego współczesnego rozdźwięku między duszami bogatych i biednych. Prawdziwy dawny arystokrata prawdopodobnie zacząłby rzucać w kelnera czym popadnie, począwszy od pustych butelek, a na pieniądzech skończywszy. Prawdziwy demokracja, przemawiając z prostotą towarzysza, spytałby, co mu się u diabła stało. Ale ci nowocześni plutokracy nie mogli znieść bliskości kogoś ubogiego ani jako niewolnika, ani jako przyjaciela. To, że coś się stało ze służbą, stanowiło jedynie męczącą, wstydliwą komplikację. Gentlemani nie chcieli być brutalni, a równocześnie obawiali się, że będą musieli okazać wielkoduszność. Chcieli, by cała rzecz, czymkolwiek była, dobiegła końca. I wreszcie dobiegła końca. Kelner, który przez kilka sekund stał zeszywniały jak kataleptyk, odwrócił się na pięcie i pędem wybiegł z tarasu.

Kiedy znów się pojawił na tarasie, a raczej w drzwiach, towarzyszył mu drugi

kelner, z którym szeptał, gestykulując z zapalem Południowca. Potem pierwszy kelner znikł, zostawiwszy drugiego kelnera samego i zaraz pojawił się z trzecim. Kiedy do tego zwołanego naprędce synodu przyłączył się czwarty kelner, pan Audley poczuł, że w obronie Taktu należy przerwać milczenie. Zamiast młotka przewodniczącego użył bardzo głośnego kaszlnięcia i powiedział:

– Doskonałą robotę robi ten młody Moocher w Birmie. Otóż żaden inny naród na świecie nie mógłby...

Piąty kelner popędził ku niemu jak strzała i szepnął mu do ucha:

– Tak mi przykro. Ważna sprawa! Czy właściciel mógłby z panem pomówić?

Przewodniczący klubu odwrócił się zmieszany i nieprzytomnym wzrokiem obrzucił pana Levera, który zbliżał się ku nim z ociężałym pośpiechem. Chód właściciela był w istocie jego zwyczajnym chodem, ale jego twarz wcale nie wyglądała zwyczajnie. Najczęściej miała pogodny, miedziano-brązowy odcień; teraz natomiast była chorobliwie żółta.

– Pan mi wybaczy, panie Audley – odezwał się właściciel zdyszany, astmatycznym głosem. – Mam wielkie obawy. Talerze od ryby! Wyniesione razem ze sztućcami!

– No, mam nadzieję, że tak – powiedział przewodniczący nieco zapalczywie.

– Panowie widzieli? – wysapał zaaferowany hotelarz. – Kelnera, który wynosił? Panowie go rozpoznali?

– Czy rozpoznaliśmy kelnera? – spytał oburzony pan Audley. – Oczywiście, że nie! Pan Lever rozłożył ręce gestem rozpaczy.

– Ja jego nie posłałem – powiedział. – Nie wiem, kiedy ani dlaczego on przyszedł. Posłałem swojego kelnera po talerze, a kiedy przyszedł, już ich nie było.

Pan Audley miał chyba zbyt oszołomioną minę, by rzeczywiście być człowiekiem, którego potrzebuje imperium; nikt z towarzystwa nie mógł wykszusić słowa poza drewnianym pułkownikiem Poundem, którego to zajście pobudziło do nienaturalnej aktywności. Podniósł się sztywno z krzesła, podczas gdy pozostali siedzieli nadal, założył monokl i przemówił ochryplym półgłosem, jakby na wpół zapomniał już, jak się mówi:

– Czy chce pan powiedzieć, że ktoś ukradł nasze srebrne sztućce do ryb?

Właściciel powtórnie rozłożył ręce gestem jeszcze większej bezradności i w okamgnieniu wszyscy siedzący przy stole zerwali się na równe nogi.

– Czy wszyscy pana kelnerzy są tutaj? – pytał dalej pułkownik swoim cichym, nieprzyjemnym głosem.

– Tak, są wszyscy. Sam to zauważyłem – zawołał młody książę, wścibiając młodzieńczą twarz w krąg wtajemniczonych. – Zawsze ich liczę wchodząc; wyglądają tak dziwacznie, kiedy stoją pod ścianą.

– Ale przecież nie można mieć całkowitej pewności – zaczął pan Audley niepewnie.

– Pamiętam dokładnie, mówię wam – zawołał podniecony książę. – Nigdy nie było tu więcej niż piętnastu kelnerów i nie było ich więcej niż piętnastu dziś wieczór, mógłbym przysiąc; ani więcej, ani mniej.

Właściciel odwrócił się do niego, trzęsąc się ze zdziwienia jak w febrze.

– Pan mówi... pan mówi – wyjąkał – że pan widział wszystkich piętnastu kelnerów?

– Jak zawsze – potwierdził książę. – A co w tym dziwnego?

– Nic – odparł Lever, a jego obcy akcent stał się jeszcze wyraźniejszy – tylko że pan ich nie mogłeś widzieć. Bo jeden leży martwy na górze.

Na chwilę na werandzie zapadła okropna cisza. Być może (tak nadprzyrodzoną moc ma wzmianka o śmierci) każdy z tych próżniaków wejrzał na mgnienie w swoją duszę i zobaczył ją jako małe, wyschnięte ziarnko grochu. Jeden z nich – zdaje się książę – powiedział nawet z głupkowatą życzliwością bogatego człowieka:

– Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić?

– Miał księdza – odparł Żyd nie bez wzruszenia.

Potem, jak na dźwięk dzwonu wieszczący koniec świata, zdali sobie sprawę ze swojego położenia. Przez kilka zwariowanych sekund naprawdę wydawało się im, że piętnasty kelner mógłby być duchem leżącego na piętze martwego kelnera. Zamilkli pod presją tego obrazu, bowiem duchy, podobnie jak żebracy, wprawiały ich w zakłopotanie. Ale wspomnienie srebra przełamało urok tego, co nadprzyrodzone; przełamało go nagle i brutalnie. Pułkownik, wywracając po drodze swoje krzesło, ruszył do drzwi.

– Moi drodzy, jeśli było tu piętnastu ludzi – powiedział – to ten piętnasty był złodziejem. Biegiem do drzwi frontowych i kuchennych! Zabezpieczymy wszystko, a potem będziemy rozmawiali. Dwadzieścia cztery klubowe perły są warte tego, aby je odzyskać.

Pan Audley z początku nieco się wahał, czy gentlemanowi przystoi z jakiegokolwiek powodu tak bardzo się spieszyć; ale widząc, jak książę z młodzieńczą energią pędzi po schodach w dół, poszedł w jego ślady, tyle że nieco dojrzałszym krokiem.

Tłum gości i służby, który na łeb na szyję pędził korytarzami, rozdzielił się na dwie grupy. Większość Rybaków pospieszyła za właścicielem do frontowego holu, aby dowiedzieć się, czy ktoś nie wychodził z budynku. Pułkownik Pound wraz z przewodniczącym, wiceprzewodniczącym i jeszcze paroma osobami popędził korytarzem do pomieszczeń służbowych, uznając go za bardziej prawdopodobną drogę ucieczki. W biegu minęli ciemną wnękę czy też jaskinię szatni i dostrzegli niską, ubraną na czarno postać, zapewne szatniarza, stojącego nieco w głębi, w mroku pomieszczenia.

– Halo! – zawołał książę. – Nie widział pan, żeby ktoś tędy przechodził?

Niski człowieczek nie odpowiedział wprost na jego pytanie, ale oznajmił po prostu:

– Być może, panowie, mam to, czego szukacie.

Zdumieni zatrzymali się z wahaniem, podczas gdy tamten cicho cofnął się w głąb szatni i wrócił z rękami pełnymi lśniącego srebra, które spokojnie niczym sprzedawca położył na ladzie. Srebro przybrało kształt tuzina oryginalnie rzeźbionych noży i widelców.

– Ty... ty... – zaczął pułkownik, ostatecznie wytrącony z równowagi. Następnie zajrzał do mrocznej wnęki i spostrzegł dwie rzeczy: po pierwsze, że niski człowieczek w czerni ma na sobie strój duchownego, a po drugie, że okno za nim zostało wybite, jakby

ktoś przez nie wyskoczył.

– Trochę za cenne przedmioty, żeby je zostawiać w szatni, nieprawdaż? – zauważył duchowny pogodnie, nie tracąc zimnej krwi.

– Czy... czy ksiądz ukradł te srebra? – wyjąkał pan Audley z wytrzeszczonymi oczami.

– Jeśli nawet – rzekł przyjaźnie sługa ołtarza – to przynajmniej oddaję je z powrotem.

– Ale ksiądz tego nie zrobił – zauważył pułkownik Pound, nadal wpatrując się w wybite okno.

– Jeśli mam być całkiem szczery, to nie – odparł tamten nieco żartobliwie. Potem z powagą zasiadł na stołku.

– Ale wie ksiądz, kto to zrobił – odezwał się znów pułkownik.

– Nie znam jego prawdziwego nazwiska – wyjaśnił ksiądz ze spokojem – wiem jednak co nieco o jego wadze bokserskiej i całkiem sporo o jego duchowych problemach. Dokonałem oceny jego kondycji fizycznej, gdy próbował mnie udusić, a kondycji duchowej, gdy okazał skruchę.

– A niech mnie... okazał skruchę! – wykrzyknął młody Chester i jakby zapał ze śmiechu.

Ksiądz Brown wstał i założył ręce na plecy.

– Dziwne, nieprawdaż – powiedział – że złodziej i włóczęga okazuje skruchę, podczas gdy tyłu bogatych i zabezpieczonych okazuje wciąż lekkomyślność i zatwardziałość, i nie przynosi owocu Bogu ani człowiekowi? Ale proszę wybaczyć, wkraczają panowie nieco na moje podwórko. Jeśli wątpią panowie w skruchę jako realny fakt, oto wasze noże i widelce. Jesteście, panowie, Dwunastoma Prawdziwymi Rybakami, a oto wszystkie wasze srebrne ryby. Ale On uczynił mnie rybakiem ludzi.

– Złapał ksiądz tego człowieka? – spytał pułkownik, marszcząc brwi.

Ksiądz Brown spojrział wprost w jego chmurną twarz i powiedział:

– Tak, złapałem go na niewidzialny haczyk i niewidzialną żyłkę, która jest tak długa, żeby pozwolić mu zawędrować na krańce świata, ale przyciągnie go z powrotem przy pierwszym szarpnięciu.

Zapanowało długie milczenie. Wszyscy poza ponurym pułkownikiem odeszli niespiesznie, by zanieść odzyskane srebra swoim towarzyszom albo porozumieć się z właścicielem co do dziwnego obrotu sprawy. Pułkownik jednak wciąż siedział bokiem na ladzie szatni, wymachując długimi, chudymi nogami i przygryzając ciemnego wąsa.

W końcu odezwał się cicho do księdza Browna:

– To musiał być sprytny facet, ale zdaje się, że znam sprytniejszego.

– To rzeczywiście był sprytny facet – potwierdził tamten – ale nie jestem pewien, o jakim drugim człowieku pan mówi.

– O księdzu, oczywiście – wyjaśnił pułkownik i zaśmiał się krótko. – Nie mam zamiaru wsadzać tego gościa do więzienia, może ksiądz być spokojny. Ale dałbym wiele srebrnych widelców za to, żeby się dowiedzieć, jak ksiądz wpadł na jego trop i jak udało się księdzu wydobyć od niego to wszystko. Zdaje się, że jest ksiądz najlepiej

poinformowanym diabłem w dzisiejszym towarzystwie.

Ponura szczerłość wojskowego najwyraźniej przypadła księdzu Brownowi do gustu.

– Hm – zaczął z uśmiechem – nie mogę oczywiście zdradzić panu tożsamości tego człowieka ani jego historii; nie ma jednak szczególnego powodu, bym nie mógł przedstawić panu zewnętrznych faktów, które sam ustaliłem.

Z niespodziewaną zręcznością przeskoczył przez ladę i usadowił się obok pułkownika, wymachując krótkimi nóżkami jak mały chłopiec siedzący na płocie. Zaczął opowiadać swoją historię tak swobodnie, jakby opowiadał ją staremu znajomemu w Boże Narodzenie przy kominku.

– Widzi pan, pułkowniku – powiedział – siedziałem zamknięty w tym małym pokoiku, zajęty pisaniem, kiedy usłyszałem na korytarzu odgłosy stóp wykonujących taniec równie dziwaczny jak taniec śmierci. Najpierw usłyszałem szybkie, zabawne, drobne kroczki, jakby ktoś założył się, że będzie szedł na palcach; potem zaskrzypiały powolne, niedbałe kroki, jakby jakiś duży mężczyzna przechadzał się z cygarem w zębach. Przysięgą jednak, że jedno i drugie były odgłosem tych samych stóp i że następowały na przemian; najpierw trucht, potem powolny spacer i znowu trucht. Zacząłem się zastanawiać, najpierw od niechcienia, a potem rozpaczliwie, dlaczego jakiś człowiek miałby odgrywać obie te role naraz. Jedno stąpanie znałem – było podobne do pańskiego, panie pułkowniku. Był to odgłos kroków gentlemiana z pełnym żołądkiem, który na coś czeka i przechadza się raczej z powodu fizycznej sprawności niż psychicznego zniecierpliwienia. Wiedziałem, że znam też odgłos tych drugich kroków, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go słyszałem. Jakie dzikie zwierzę napotkane w moich podróżach pędziło na palcach w tak wyjątkowy sposób? Wtedy usłyszałem gdzieś daleko brzęk talerzy i odpowiedź stanęła mi przed oczami tak oczywista jak Bazylika św. Piotra. To były kroki kelnera – kroki człowieka, który idzie pochylony do przodu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, od której odpycha się wzgardliwie czubkiem buta, powiewając połami fraka i serwetką. Potem pomyślałem jeszcze jakieś półtorej minuty. I jestem przekonany, że zobaczyłem sposób popełnienia przestępstwa tak wyraźnie, jakbym to ja sam miał je popełnić.

Pułkownik Pound obrzucił go bystrym spojrzeniem, ale łagodne szare oczy mówiącego wpatrywały się w sufit z niemal bezmyślnym rozrzewnieniem.

– Przystępstwo – mówił dalej powoli – jest podobne do każdego innego dzieła sztuki. Proszę się nie dziwić; przestępstwa wcale nie są jedynymi dziełami sztuki wychodzącymi z piekielnego warsztatu. Jednakże każde dzieło sztuki, boskie czy diabelskie, ma jedną nieodzowną cechę – tę mianowicie, że jego istota jest prosta, choćby realizacja była nie wiem jak skomplikowana. Tak na przykład w *Hamlecie* groteskowość grabarza, kwiaty obłąkanej dziewczyny, fantastyczna elegancja Ozyryka, bladeść ducha i uśmiech czaszki – wszystkie te szczegóły są jakby spletanym wieńcem osobliwości wokół prostej, tragicznej postaci mężczyzny w czerni. No cóż, i tu także – dodał, zsuwając się z uśmiechem z lady, na której siedział – mamy prostą tragedię człowieka w czerni. Tak – ciągnął, widząc zdziwiony wzrok pułkownika – cała ta historia kręci się wokół czarnego stroju. I tu również, tak jak w *Hamlecie*, mamy owe rokokowe narośla – na przykład was, panowie. Mamy zmarłego kelnera, który był, chociaż go być nie mogło.

Mamy niewidzialną rękę, która zgarnęła srebra z waszego stołu i rozplynęła się w powietrzu. Ale każde sprytne przestępstwo opiera się ostatecznie na jakimś dość prostym fackie, który sam w sobie nie jest wcale zagadkowy. Jego zagadkowość wynika stąd, że jest on niewidoczny, że ludzie nie zwracają na niego uwagi. To wielkie, subtelne i (przy zwykłym rozwoju wypadków) jak najbardziej opłacalne przestępstwo opierało się na najprostszym fackie, że strój wieczorowy gentlemiana nie różni się niczym od stroju kelnera. Cała reszta to aktorstwo i to aktorstwo najwyższej próby.

– A jednak – odezwał się pułkownik, również wstając z miejsca i ze zmarszczonym czołem spoglądając na swoje buty – nie jestem pewien, czy wszystko zrozumiałem.

– Panie pułkowniku – wyjaśnił ksiądz Brown – powiadam panu, że ten archanioł bezczelności, który zwinął wasze sztucce, przeszedł tym korytarzem tam i z powrotem ze dwadzieścia razy na oczach wszystkich. Nie chował się w ciemnych kątach, gdzie mogłaby go wysledzić ludzka podejrzliwość. Był stale w ruchu; przemierzał oświetlone korytarze, a wszędzie, gdzie się zjawiał, wyglądał jak stworzony do tego miejsca. Proszę mnie nie pytać, jak wyglądał. Widział go pan dzisiejszego wieczoru sześć albo siedem razy. Oczekiwał pan razem z innymi ważnymi osobistościami w sali bankietowej na końcu tego korytarza, tuż obok tarasu. Ilekroć przestępca zjawiał się wśród was, gentlemanów, poruszał się błyskawicznie jak wiatronogi kelner z pochyloną głową i powiewającą serwetką. Wypadał na taras, poprawiał coś przy obrusie i pędził z powrotem w stronę biur i pomieszczeń służbowych. Zanim znalazł się w zasięgu wzroku pracownika siedzącego w biurze albo innych kelnerów, stawał się w każdym calu, w każdym bezwiednym odruchu, kimś zupełnie innym. Przechadzał się wśród obsługi z bezczelnym roztargnieniem, jakie widywała ona u stałych klientów. Nie było dla nich niczym nowym, że galant z przyjęcia krąży po wszystkich częściach lokalu jak zwierzak po zoo; wiedzieli, że nic tak nie wyróżnia ludzi z towarzystwa jak zwyczaj wchodzenia wszędzie, gdzie im się podoba. Kiedy nasz bohater znużył się już przechadzką po korytarzu, robił w tył zwrot i szedł z powrotem obok przeszklonego biura; kawałek dalej, pod osłoną łukowatego sklepienia, zmieniał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i znów spiesznie wpadał między Dwunastu Rybaków jako uniżony sługa. Czemu gentlemani mieliby zwracać uwagę na przypadkowego kelnera? Czemu kelnerzy mieliby podejrzewać pierwszorzędnego gentlemiana na przechadzce? Raz czy drugi zdobył się nawet na najbezczelniejsze sztuczki. W prywatnych pokojach właściciela bezceremonialnie poprosił o syfon z wodą sodową, bo zachciało mu się pić. Dodał wielkodusznie, że zanieś go sam i zrobił to; zaniósł go wam szybko i sprawnie jako kelner wypełniający swój oczywisty obowiązek. Rzecz jasna, nie dałoby się tak udawać w nieskończoność, ale wystarczyło dotrzeć do końca rybnego dania.

– Najgorsze chwile przeżył wtedy, gdy kelnerzy ustawili się rzędem; ale i wtedy udało mu się oprzeć o ścianę tuż za rogiem, tak że w tej ważnej chwili kelnerzy uznali go za gentlemiana, a gentlemani za kelnera. Reszta poszła już gładko. Jeśli jakiś kelner przyłapał go z dala od stołu, widział w nim jedynie leniwego arystokratę. Wystarczyło zdążyć na dwie minuty przed uprzątnięciem stołu po rybie, zmienić się w sprawnego służącego i samemu sprzątnąć nakrycia. Postawił talerze na kredensie, wepchnął srebra

do wewnętrznych kieszeni, przez co frak mu się nieco wybrzuszył, a potem pognął jak zając (słyszałem, jak biegł), aż znalazł się obok szatni. Potem wystarczyło znów zmienić się w plutokratę – plutokratę, którego odwołano nagle w ważnej sprawie. Należało jeszcze wręczyć numerki szatniarzowi, by móc wyjść tak samo elegancko, jak się przyszło. Tylko że... tylko że przypadkiem to ja byłem szatniarzem.

– Co ksiądz z nim zrobił? – zawołał pułkownik z niezwyklej przejęciem. – Co on księdzu powiedział?

– Wybacz pan, pułkowniku – odparł nieporuszony ksiądz Brown – ale tutaj moja opowieść się kończy.

– I zaczyna się naprawdę interesująca historia – mruknął Pound. – Zdaje się, że rozumiem jego zawodową sztuczkę. Ale chyba nie pojmuję zawodowej sztuczki księdza.

– Na mnie już czas – powiedział ksiądz Brown.

Szli razem korytarzem w kierunku wyjścia, gdzie natknęli się na rumianą, piegowatą twarz księcia Chestera, który pędził ku nim w radosnych podskokach.

– Chodź, Pound – zawołał zdyszany – wszędzie cię szukałem. Przyjęcie rozkręciło się na nowo, a stary Audley ma zamiar wygłosić przemówienie z okazji odzyskania sztucców. I wiesz co, mamy zamiar zapoczątkować jakiś nowy zwyczaj na pamiątkę tego wydarzenia. Właściwie to ty odzyskałeś nasz majątek, może masz jakieś propozycje?

– No cóż – odparł pułkownik, przyglądając się swemu rozmówcy ze zgryźliwą aprobatą – proponuję, abyśmy od tej chwili zamiast czarnych fraków nosili zielone. Nigdy nie wiadomo, do jakich pomyłek może dojść, kiedy człowiek tak bardzo przypomina kelnera.

– No, nie gadaj! – zaproponował młody człowiek. – Gentleman nigdy nie wygląda na kelnera.

– Ani kelner na gentlemiana, prawda? – dodał pułkownik Pound z tym samym ponurym uśmiechem na twarzy. – Przyjaciel wielebnego księdza proboszcza musiał być bardzo sprytny, by udawać gentlemiana.

Ksiądz Brown zapiął swój zwyczajny płaszcz po samą szyję, bo noc była burzliwa, i wziął ze stojaka swój zwyczajny parasol.

– Tak – powiedział – bycie gentlemanem to na pewno ciężka praca; ale wie pan co, pułkowniku, czasem wydaje mi się, że prawie tak samo męczące jest bycie kelnerem.

I powiedziawszy „dobranoc” pchnął ciężkie drzwi tego pałacu rozkoszy. Złote wrota zamknęły się za nim, a on ruszył różnym krokiem przez mokre, ciemne ulice w poszukiwaniu najtańszego autobusu.

LATAJĄCE GWIAZDY

Najpiękniejsze przestępstwo, jakie popełniłem w życiu – mawiał Flambeau jako starszy pan o nieposzlakowanej moralności – przypadkiem było także moim ostatnim. Popełniłem je w Boże Narodzenie. Jako artysta zawsze starałem się dobierać przestępstwa tak, by pasowały do konkretnej pory roku albo okolicy, w jakiej się znalazłem; wybierałem na miejsce katastrofy taki czy inny taras lub ogród, jakby chodziło o ustawienie tam grupy rzeźb. Na przykład posiadaczy ziemskich wieść o tym, że zostali oszukani, powinna dosięgać w długich, wyłożonych dębową boazerią pokojach; natomiast Żydzi powinni raczej odkrywać swoją nagłą ruinę wśród lamp i parawanów Café Riche. W Anglii, jeśli chciałem uwolnić od brzemienia bogactw jakiegoś kanonika (co nie jest wcale takie łatwe, jak wam się wydaje), starałem się go wkopać – jeśli wiecie, co mam myśli – na zielonym trawniku wśród szarych wież jakiegoś katedralnego miasta. Podobnie we Francji, jeśli wyciągałem pieniądze jakiemuś bogatemu, niegodziwemu rolnikowi (co jest prawie niemożliwe), byłem zadowolony, jeśli jego oburzona twarz rysowała się na tle szarego rzędu równo przyciętych topoli i smętnych równin Galii, nad którymi krąży potężny duch Milleta.

Otóż moje ostatnie przestępstwo było przestępstwem bożonarodzeniowym: wesołym, swojskim, typowym dla angielskiej klasy średniej, jakby je żywcem wyjęto z Dickensa. Dokonałem go w dobrym, starym, angielskim, średniozamożnym domu niedaleko Putney; był to dom z półkolistym podjazdem dla powozów, stajnią po jednej stronie, nazwą na dwóch zewnętrznych bramach i rosnącą na trawniku araukarią. Wystarczy, wiecie już, o jaki dom mi chodzi. Jestem naprawdę przekonany, że moja trawestacja Dickensa była zręczna i poetycka. Niemal żałuję, że tego samego wieczoru okazałem skrucę.

Flambeau przechodził następnie do opisu przestępstwa widzianego od wewnątrz i nawet wtedy było ono dziwaczne. Oglądane z zewnątrz prezentowało się całkiem niezrozumiale, a właśnie z tej perspektywy musi je poznać osoba postronna. Patrząc na nie w ten sposób można by powiedzieć, że dramat rozpoczął się w drugi dzień Bożego Narodzenia, w chwili, gdy drzwi domu ze stajnią otworzyły się i do ogrodu z araukarią wyszła dziewczyna z chlebem dla ptaków. Miała ładną twarz o bystrych, brązowych oczach; figura jednak wymykała się ocenie, bowiem brązowe futro otulało ją tak szczelnie, że trudno je było odróżnić od włosów. Gdyby nie sympatyczna twarzyczka, można by ją wziąć za niewielkiego, drepczącego na dwóch nogach niedźwiedzia.

Zimowe popołudnie czerwieniało już zapowiedzią wieczoru i rubinowy blask spowijał puste klomby, zapelniając je jakby duchami zwiędłych róż. Po jednej stronie do domu przylegały stajnie, a po drugiej laurową aleją czy też krużgankiem przechodziło się do większego ogrodu na tyłach. Młoda dama, rozrzuciwszy chleb dla ptaków (po raz czwarty czy piąty tego dnia, bo pies zjadał okruchy), przeszła niepostrzeżenie laurową aleją i znalazła się wśród rabat lśniących, wiecznie zielonych roślin. Spojrzała na wznoszący się nad swoją głową wysoki mur ogrodu i wydała okrzyk prawdziwego czy też umownego zdumienia na widok siedzącej na nim okrakiem, z fantazją, dość fantazyjnej postaci.

– Och, proszę, niech pan nie skacze, panie Crook! – zawołała z pewnym zaniepokojeniem. – Ten mur jest o wiele za wysoki!

Osobnik, który dosiadał sąsiedzkiego muru niczym napowietrznego rumaka, był wysokim, kościstym młodzieńcem o ciemnych, sterczących jak szczotka włosach, inteligentnych, niepospolitych rysach twarzy, ale o cerze ziemistej niemal jak u cudzoziemca. Podkreślał ją jeszcze bardziej jaskrawoczerwony krawat, najwyraźniej będący jedyną częścią ubioru, na którą w ogóle zwracał uwagę. Być może krawat ten był symbolem. Młodzieniec nie zwrócił uwagi na lękliwe zakłęcia dziewczyny, tylko zeskoczył na ziemię obok niej niczym konik polny, choć łatwo mógł połamać obie nogi.

– Chyba powinienem być zostać włamywaczem – powiedział spokojnie – i pewnie bym nim został, gdyby nie fakt, że urodziłem się w tym miłym sąsiedztwie. W każdym razie nie widzę w tym nic złego.

– Jak może pan mówić takie rzeczy! – zaprotestowała dziewczyna.

– Hm – odparł młodzieniec – skoro urodziłem się po niewłaściwej stronie muru, nie widzę nic złego w tym, żeby przezeń przełazić.

– Nigdy nie wiem, co panu strzeli do głowy – powiedziała.

– Ja sam często tego nie wiem – wyjaśnił pan Crook. – Ale teraz jestem po właściwej stronie muru.

– A która strona jest właściwa? – spytała młoda dama z uśmiechem.

– Ta, po której pani się znajduje – odparł młodzieniec.

Kiedy szli razem laurową aleją w stronę frontowego ogrodu, rozległo się trzykrotne, coraz to bliższe trąbienie klaksonu, bardzo szybki, niezwykle elegancki bladozielony samochód sfrunął jak ptak pod frontowe drzwi domu i zatrzymał się z włączonym silnikiem.

– Ho, ho! – odezwał się młody człowiek w czerwonym krawacie. – Ten ktoś w każdym razie urodził się po właściwej stronie muru. Nie wiedziałem, panno Adams, że przychodzi do państwa tak nowoczesny Święty Mikołaj.

– Ach, to tylko mój ojciec chrzestny, sir Leopold Fischer. Zawsze przyjeżdża w drugi dzień świąt.

Potem, po niewinnej przerwie, która niechcący zdradzała pewien brak entuzjazmu, Ruby Adams dodała:

– Jest bardzo miły.

John Crook, dziennikarz, słyszał o wybitnym potentacie z londyńskiego City, a jeśli londyński potentat nie słyszał o nim, to nie z jego winy; w niektórych artykułach ukazujących się w pismach „Clarion” albo „The New Age” sir Leopold traktowany był bowiem z całą surowością. Młodzieniec nie odezwał się jednak i przyglądał ponuro rozładunkowi samochodu, co było procesem raczej długotrwałym. Wysoki, elegancki szofer w zielonym uniformie wysiadł przednimi drzwiami, a niski, elegancki służący w szarym ubraniu wysiadł tylnymi, po czym wspólnymi siłami przetransportowali sir Leopolda na próg domu i zaczęli go rozwijać, niczym jakiś troskliwie owinięty pakunek. Pledy w ilości wystarczającej do zapełnienia bazaru, futra wszelkiej leśnej zwierzyny oraz szale we wszystkich kolorach tęczy odwijane były kolejno, aż ukazało się spod nich coś na kształt istoty ludzkiej, przypominającej sympatycznego starszego gentlemana

o cudzoziemskim wyglądzie, z siwą kozią bródką i szerokim uśmiechem, zacierającego ręce w grubych futrzanych rękawicach.

Na długo przed zakończeniem tej operacji wielkie podwoje ganku otworzyły się i pułkownik Adams we własnej osobie (ojciec młodej futrzanej damy) wyszedł, by zaprosić szacownego gościa do środka. Był to wysoki, opalony i bardzo małomówny mężczyzna w czerwonej, przypominającej fez czapeczce palacza³, przez co wyglądał na angielskiego sirdara⁴ lub egipskiego paszę. Razem z nim wyszedł jego szwagier, niedawno przybyły z Kanady potężny i raczej hałaśliwy młody farmer-gentleman z żółtą brodą, o nazwisku James Blount. Wraz z nim pojawiła się mniej znacząca postać – ksiądz z pobliskiej rzymskokatolickiej parafii. Zmarła żona pułkownika była bowiem katoliczką, a dzieci, jak zwykle w takich wypadkach, wychowano w wierze matki. Ksiądz nie wyróżniał się niczym, nawet nazwiskiem, które brzmiało po prostu Brown; pułkownik jednak zawsze uważał go za dobrego kompana i często zapraszał na tego rodzaju rodzinne przyjęcia.

W dużym holu wejściowym znalazło się dość miejsca nawet dla sir Leopolda i zdejmowania jego kolejnych okryć. W istocie ganek i przedpokój były nieproporcjonalnie duże w stosunku do całego domu i tworzyły jakby jedno wielkie pomieszczenie z drzwiami frontowymi na jednym końcu i schodami na drugim. Przed dużym kominkiem, nad którym wisiała szabla pułkownika, zakończono procedurę odwijania i całe towarzystwo, nie wyłączając posępnego Crooka, zostało przedstawione sir Leopoldowi Fischerowi. Wyglądało jednak na to, że szacowny finansista nadal zmagają się z częścią swojego ciepłego odzienia, aż wreszcie wyjął z jakiejś bardzo wewnętrznej kieszeni fraka czarne owalne pudełeczko, które, jak wyjaśnił z promiennym uśmiechem, zawierało prezent bożonarodzeniowy dla jego chrześnicy. Z autentyczną próżnością, która miała w sobie coś rozbijającego, wyciągnął pudełko w stronę zebranych; otwarło się automatycznie i niemal ich oślepiło. Poczuli się tak, jakby prosto w oczy trysnęła im kryształowa fontanna. W pomarańczowym, aksamitnym gnieździe leżały, niczym trzy jajka, trzy białe, olśniewające brylanty, od których blasku powietrze wokoło zdawało się płonąć. Fischer stał uśmiechając się do brodu i sycąc się zaskoczeniem i zachwytem dziewczyny, posępnym podziwem i mrukliwym podziękowaniem pułkownika oraz zdumieniem wszystkich zebranych.

– Schowam je teraz z powrotem, moja droga – powiedział pan Fischer, ponownie wsuwając pudełko do kieszeni w połach fraka. – Musiałem na nie bardzo uważać, jadąc tutaj. Są to trzy wielkie afrykańskie brylanty znane pod nazwą Latających Gwiazd, bo tak często padały ofiarą kradzieży. Wszyscy wielcy przestępcy gonią za nimi; ale nawet zwykłym opryszkom na ulicach czy w hotelach trudno byłoby się im oprzeć. Mogłem je stracić po drodze. To było całkiem prawdopodobne.

– Całkiem naturalne, powiedziałbym – warknął mężczyzna w czerwonym krawacie. – Nie winiłbym tych, którzy by je zabrali. Jeśli proszą pana o chleb, a pan nie chce im dać nawet kamienia, to moim zdaniem mogliby zabrać sobie ten kamień sami.

– Nie pozwalam panu mówić w ten sposób – zawołała dziewczyna z dziwnym rumieńcem na twarzy. – Mówi pan tak tylko od czasu, gdy został pan tym, jak mu tam... Wiecie, o co mi chodzi. Jak się nazywa ktoś, kto chce brać w objęcia kominiarzy?

– Święty – odparł ksiądz Brown.

– Wydaje mi się – wtrącił sir Leopold z wyniosłym uśmiechem – że Ruby ma na myśli socjalistę.

– Radykał nie oznacza kogoś, kto oferuje dobre rady – zauważył Crook z pewnym zniecierpliwieniem – a konserwatysta nie oznacza kogoś, kto robi przetwory na zimę. Podobnie socjalista nie oznacza kogoś, kto chce należeć do kominiarskiej socjety. Socjalista oznacza kogoś, kto chce, żeby wszystkie kominy były czyste, a wszyscy kominiarze otrzymali za to zapłatę.

– Ale kto nie pozwoli – wtrącił cicho ksiądz – by człowiek był właścicielem swojej własnej sadzy.

Crook spojrział na niego z zainteresowaniem, a nawet z szacunkiem.

– A czy ktoś chce być właścicielem sadzy?

– Być może – odparł ksiądz Brown w zamyśleniu. – Słyszałem, że ma ona zastosowanie w ogrodnictwie. A kiedyś w Boże Narodzenie, gdy nie zjawił się iluzjonista, uszczęśliwiłem sześcioro dzieci wyłącznie dzięki sadzy stosowanej zewnątrz.

– Och, to wspaniałe! – zawołała Ruby. – Chciałabym, żeby ksiądz zrobił to samo z naszym towarzystwem!

Hałaśliwy Kanadyjczyk, pan Blount, podniósł swój potężny głos wyrażając aprobatę, a zaskoczony finansista także podniósł głos (w odruchu zdecydowanego sprzeciwu), kiedy rozległo się stukanie do frontowych podwoi. Ksiądz poszedł je otworzyć i znów ukazał się ich oczom ogród pełen zimozielonych roślin, z araukarią i całą resztą, teraz tonący w półmroku na tle fioletowego zachodu słońca. Scena w obramowaniu drzwi była, niczym dekoracja w teatrze, tak barwna i niezwykła, że na chwilę wszyscy zapomnieli o niepozornej postaci stojącej przed drzwiami. Człowiek ten miał zakurzony, wystrzępiony płaszcz i najwyraźniej był zwykłym posłańcem.

– Czy któryś z panów nazywa się Blount? – spytał i niepewnie wyciągnął przed siebie list. Pan Blount drgnął i przerwał swe entuzjastyczne okrzyki. Rozdarł kopertę wyraźnie zaskoczony i przeczytał list; twarz zachmurzyła mu się na chwilę, a potem znów pojaśniała, po czym zwrócił się do swojego szwagra i gospodarza zarazem.

– Niedobrze mi się robi, pułkowniku, że tyle ze mną kłopotu – odezwał się w wesoły, kolonialny sposób – ale czy nie miałbyś nic przeciw temu, żeby mój stary znajomy wpadł tu dziś wieczorem w interesach? Prawdę mówiąc, chodzi o znanego francuskiego akrobatę i komika Floriana; poznałem go wiele lat temu na Zachodzie (pochodzi z francuskiej Kanady) i zdaje się, że ma do mnie jakąś sprawę, chociaż nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Oczywiście, oczywiście – odparł beztrąsko pułkownik. – Każdy twój przyjaciel jest mile widziany, mój drogi. Z pewnością będzie to cenny nabytek.

– Na pewno usmaruje sobie twarz sadzą, jeśli o to chodzi – zawołał ze śmiechem Blount. – I nie wątpię, że przez niego wszyscy stracimy twarz. Ja tam nie mam nic przeciwko temu, nie dbam o maniery. Lubię stare, dobre pantomimy, w których ktoś siada na cylindrze.

– Tylko nie na moim, proszę – odezwał się z godnością sir Leopold Fischer.

– No, no – rzucił niedbale Crook – nie kłóćmy się. Istnieją bardziej pospolite żarty niż siadanie na cylindrach.

Niechęć do młodzieńca w czerwonym krawacie, spowodowana jego krwiożerczymi opiniami i ewidentną zażyłością ze śliczną chrześniaczką, kazała Fischerowi odezwać się najbardziej sarkastycznym, pouczającym tonem:

– Niewątpliwie widział pan coś pospolitszego od tego, jak ktoś siada na cylindrze. Proszę nam powiedzieć, co to takiego?

– To, że cylinder siedzi na czyjejs głowie – odparł socjalista.

– Spokój, spokój! – wykrzyknął kanadyjski farmer z barbarzyńską wielkodusznością. – Nie psujmy takiego wesołego wieczoru. Mam propozycję: zrobmy coś dla towarzystwa. Nie musi to być smolenie twarzy ani siadanie na kapeluszach, jeśli wam się to nie podoba, ale coś w tym rodzaju. Czemu by nie wystawić prawdziwej angielskiej pantomimy – z klaunem, kolombiną i tak dalej? Widziałem takie przedstawienie przed wyjazdem z Anglii, kiedy miałem dwanaście lat, i do dziś mam je przed oczami, jasne jak ognisko. Wróciłem do starego kraju dopiero rok temu i dowiedziałem się, że to już przebrzmiała sprawa. Wszędzie grają tylko łzawe sztuki o wrózkach. Chcę gorącego pogrzebacza i policjanta przerobionego na serdelki, a dają mi księżniczki prawiące morały przy księżycu, błękitne ptaki i takie tam. Już bardziej mi pasuje sinobrody, zwłaszcza wtedy, gdy zmienia się w pantalona.

– Całkowicie popieram przerabianie policjantów na serdelki – powiedział John Crook. – To lepsza definicja socjalizmu niż ta, którą słyszeliśmy przed chwilą. Ale z kostiumami chyba będzie za dużo zamieszania.

– Nic podobnego – zawołał Blount, całkowicie pochłonięty swoim pomysłem. – Arlekinada to najprostsza rzecz, jaką możemy zrobić, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, można improwizować, ile się chce, a po drugie wszystkie rekwizyty to domowe przedmioty – stoły, wieszaki, kosze na bieliznę i tym podobne.

– To prawda – przyznał Crook, kiwając głową z zapalem i chodząc w tę i z powrotem. – Ale obawiam się, że mój policjant nie będzie miał munduru. Nie zabiłem ostatnio żadnego policjanta.

Blount na mgnienie oka zmarszczył brwi, a potem trzepnął się w kolano.

– Ależ tak, będzie policjant! – zawołał. – Mam tu adres Floriana, a on zna wszystkie wypożyczalnie kostiumów w Londynie. Zadzwoń do niego, żeby przywiózł strój policjanta, kiedy będzie tu jechał. – I pognął do telefonu.

– Ach, ojcie chrzestny, to po prostu cudowne! – wykrzyknęła Ruby, niemal tańcząc z radości. – Ja będę kolombiną, a ty pantalonem.

Milioner wyprostował się sztywno ze swego rodzaju pogańskim namaszczeniem.

– Wydaje mi się, moja droga – powiedział – że będziesz musiała znaleźć do tej roli kogoś innego.

– Ja będę pantalonem, jeśli chcesz – odezwał się pułkownik Adams, wyjąwszy cygaro z ust; były to jego pierwsze i ostatnie słowa.

– Powinni ci wystawić pomnik! – zawołał Kanadyjczyk, który właśnie wrócił rozpromieniony od telefonu. – A więc wszystko gra. Pan Crook będzie klaunem; jest dziennikarzem i zna wszystkie stare dowcipy. Ja mogę być arlekinem; do tego trzeba

tylko mieć długie nogi i skakać po scenie. Mój przyjaciel Florian powiedział przez telefon, że przywiezie strój policjanta; przebierze się po drodze. Możemy grać tutaj, w tym holu, widzowie będą siedzieli rzędami na schodach. Drzwi frontowe, zamknięte lub otwarte, posłużą za dekorację. Zamknięte będą doskonałym angielskim wnętrzem. Otwarte – ogrodem w świetle księżyca. Po prostu czary! – I wyjąwszy zawieruszony w kieszeni kawałek kredy bilardowej, pociągnął nią po podłodze holu w połowie drogi między schodami a wejściem, by zaznaczyć linię rampy.

Na zawsze pozostanie zagadką, w jaki sposób nawet tak zwariowane widowisko zdołano przygotować na czas. Wszyscy jednak rzucili się do pracy z beztrząsą i pomysłowością, która żyje, dopóki w domu jest młodość; a w tym domu młodość gościła tego wieczoru, chociaż może nie wszyscy umieliby wskazać dwie twarze i dwa serca, które nią płonęły. Jak to zwykle bywa, coraz to dziwsze wynalazki wynikały z samej konwencji porządnego mieszczańskiego domu, w ramach której trzeba było coś stworzyć. Kolombina wyglądała czarująco w sterczącej spódniczce dziwnie przypominającej duży abażur z salonu. Klaun i pantalon ubielili sobie twarze mąką od kucharki i zaróżowili je szminką od jakiejś innej służącej, która (jak wszyscy prawdziwi chrześcijańscy donatorzy) pozostała anonimowa. Arlekin, ubranego już w sreberka z pudełek od cygar, z trudem powstrzymano przed potłuczeniem starych wiktoriańskich żyrandoli z wisiorami, co pozwoliłoby mu przybrać się w lśniące kryształy. Byłby to niechybnie zrobił, gdyby Ruby nie wydołała skądś sztucznych klejnotów, które nosiła kiedyś na balu karnawałowym jako Królowa Brylantów. Jej wujka Jamesa Blounta rzeczywiście trudno było opanować w tym zamieszaniu; zachowywał się jak rozbrykany uczeń. Niespodziewanie założył księdzu Brownowi na głowę papierowy pysk osła, który duchowny nosił cierpliwie i nawet odkrył jakiś tajemniczy sposób poruszania uszami. Blount próbował także przypiąć osli ogon z papieru do poły fraka sir Leopolda Fischera, ale został spiorunowany wzrokiem.

– Wujek jest taki zwariowany! – zawołała Ruby do Crooka, na którego ramiona z powagą zarzucała sznur serdelków. – Dlaczego on tak szaleje?

– Bo jest arlekinem dla pani jako kolombiny – powiedział. – Ja jestem tylko klaunem, który robi stare kawały.

– Wolałabym, żeby to pan był arlekinem – odparła dziewczyna i znikła, zostawiając rozkołysany sznur serdelków.

Ksiądz Brown, chociaż znał każdy szczegół przygotowań za kulisami i nawet zebrał oklaski za przekształcenie poduszki w sceniczne niemowlę, obszedł scenę od frontu i usadowił się wśród widzów w nastroju poważnego wyczekiwania, jak dziecko czekające na swoje pierwsze przedstawienie. Widzów było niewielu: krewni, jeden czy dwóch zaprzyjaźnionych sąsiadów i służba; sir Leopold, nadal w płaszczu z futrzanym kołnierzem, siedział w pierwszym rzędzie, a jego pełna postać zasłaniała sporą część widoku niskiemu księdzu siedzącemu za jego plecami. Teatralne autorytety nie mogły jednak nigdy zgodzić się co do tego, czy ksiądz wiele stracił. Pantomima była zupełnie chaotyczna, ale nie zasługiwała na potępienie; przenikał ją duch zacieklej improwizacji, głównie w wykonaniu klauna Crooka. Na co dzień był on sprytnym młodzieńcem, a tego wieczoru natchnieniem jego działania była szalona wszechwiedza, nedorzecznosc

mądrzejsza niż cały świat – czyli to, co opanowuje młodego człowieka, który przez chwilę widział pewien szczególny wyraz na pewnej szczególnej twarzy. Miał być klaunem, ale w rzeczywistości był wszystkim po trochu: autorem (o ile w ogóle był jakiś autor), suflerem, scenografem, ustawiaczem sceny, a nade wszystko orkiestrą. W czasie niespodziewanych przerw w ekstrawaganckim przedstawieniu rzucał się w pełnym przebraniu do pianina i wygrywał jakieś popularne melodie, dorównujące niedorzecznością całemu przedstawieniu.

Punktem kulminacyjnym wieczoru była chwila, gdy podwoje z tyłu sceny otwały się na oścież, ukazując piękny oświetlony księżycem ogród, ale o wiele wyraźniej ukazując słynnego gościa – zawodowego artystę, wielkiego Floriana w przebraniu policjanta. Klaun przy pianinie zagrał melodię śpiewaną przez chór policjantów w *Piratach z Penzance*, którą jednak zagłuszyły oklaski, bowiem każdy gest wielkiego komika był podziwu godną, choć powściągliwą imitacją prawdziwego zachowania funkcjonariusza policji. Arlekin skoczył ku niemu i uderzył go w hełm; pianista zagrał piosenkę „Skąd masz ten kapeluszek?”, a gdy policjant odwrócił się ze wspaniale udanym zdumieniem, skaczący arlekin uderzył go znowu (pianista zaproponował kilka taktów „A potem jeszcze jeden”). Arlekin rzucił się wprost w ramiona policjanta i upadł na niego wśród głośnych wybuchów śmiechu. To właśnie wtedy nieznamy aktor odegrał tę znakomitą rolę nieboszczyka, której sława pozostaje wciąż żywa w okolicach Putney. Niemal nie sposób było uwierzyć, że ktoś żywy mógłby wyglądać tak bezwładnie.

Atletyczny arlekin obracał nim jak workiem albo wywijał nim i rzucał jak żonglerską maczugą, wciąż przy szaleńczych dźwiękach pianina. Kiedy arlekin ciężko dźwignął posterunkowego z podłogi, klaun zagrał „Budzę się ze snu o tobie”. Kiedy zarzucił go sobie na plecy, zabrzmiało „Z tobołkiem na plecach”, a kiedy wreszcie arlekin upuścił policjanta z bardzo przekonującym hukiem, wariat przy instrumencie zabębnił melodyjkę, której słowa, jak się do dziś przypuszcza, brzmiały: „Wysłałem list do miłej mej, lecz upadł mi po drodze”.

Mniej więcej w tym momencie skrajnej anarchii widok przed oczami księdza Browna został całkowicie zasłonięty, ponieważ londyński potentat siedzący przed nim zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo przetrząsać wszystkie kieszenie. Potem usiadł, nadal nerwowo gmerając w kieszeniach, i zaraz wstał znowu. Przez chwilę można było całkiem poważnie przypuszczać, że wtargnie na scenę; potem jednak obrzucił nienawistnym spojrzeniem grającego na pianinie klauna i wybiegł bez słowa.

Ksiądz przyglądał się jeszcze tylko przez kilka minut absurdalnemu, ale niepozabawionemu elegancji tańcowi arlekina amatora nad wyśmienicie nieprzytomnym przeciwnikiem. Tańcząc z autentycznym, choć niewyszukanym wdziękiem, arlekin wycofywał się powoli za drzwi, do ogrodu pogrążonego w bezruchu i księżycowym blasku. Jego strój ze srebrnej folii i sztucznych klejnotów, zbyt jaskrawy na oświetlonej scenie, wyglądał coraz bardziej czarodziejsko i srebrzyście, gdy arlekin oddalał się tanecznym krokiem w jasnym świetle księżyca. Widownia przyjęła zakończenie huraganem braw, gdy wtem ksiądz Brown poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i usłyszał szept proszący go o przejście do gabinetu pułkownika.

Szedł za posłańcem ogarnięty coraz większymi wątpliwościami; nie rozproszył ich

nawet komiczny patos sceny, którą ujrzał w gabinecie. Siedział tam pułkownik Adams, wciąż w stroju pantalona, z kołyszącą się nad czołem gałką na fiszbinie, ale oczy miał tak smutne, że otrzeźwiłyby najdziksze saturnalia. Sir Leopold Fischer opierał się o gzyms kominka z całym dostojeństwem rozpacz.

– To bardzo przykra sprawa, proszę księdza – odezwał się Adams. – Prawda jest taka, że brylanty, które wszyscy widzieliśmy dziś po południu, najwyraźniej zniknęły z poły fraka mojego przyjaciela. A ponieważ ksiądz...

– ...A ponieważ – dokończył ksiądz Brown z szerokim uśmiechem – to ja siedziałem tuż za nim...

– O niczym takim nie może być mowy – przerwał mu pułkownik Adams, spoglądając stanowczo na Fischera, co pozwalało się domyślić, że właśnie o czymś takim była już mowa. – Proszę jedynie księdza o pomoc, jakiej udzieliby mi każdy gentleman.

– Czyli o to, bym wywrócił kieszenie – dopowiedział ksiądz Brown i przystąpił do tej czynności, która ujawniła oczom zebranych siedem szylingów i sześć pensów, bilet powrotny, mały srebrny krucyfiks, mały brewiarz i tabliczkę czekolady.

Pułkownik spojrział na niego przeciągle i powiedział:

– Wie ksiądz, że wolałbym raczej zobaczyć, co ksiądz ma w głowie, a nie w kieszeniach. Wiem, że moja córka należy do waszego Kościoła; otóż ostatnio... – Tu urwał.

– Ostatnio – wykrzyknął Fischer – wpuściła do ojcowskiego domu tego socjalistycznego bandytę, który otwarcie przyznaje, że okradłby każdego, kto jest od niego bogatszy! I to wystarczy. Znalazł się ktoś bogatszy, i to jeszcze jak!

– Jeśli chcą panowie zobaczyć, co mam w głowie, służę uprzejmie – odparł ksiądz Brown z wyraźnym znużeniem. – Sami ocenicie, czy jest to coś warte. Ale pierwsze, co znajduję w tej dawno nieużywanej kieszeni to to, że ludzie, którzy mają zamiar ukraść brylanty, nie głoszą socjalizmu. Raczej – dodał skromnie – skłonni są go potępiać.

Obaj słuchacze drgnęli, a duchowny mówił dalej:

– Widzicie panowie, my tych ludzi znamy, lepiej czy gorzej. Socjalista nie kradnie brylantów, tak jak nie kradnie piramid. Powinniśmy od razu zająć się człowiekiem, którego nie znamy. Tym udającym policjanta Florianem. Ciekawe, gdzie on w tej chwili może być.

Pantalon zerwał się i wybiegł z pokoju. Nastąpiła przerwa, w czasie której milioner patrzył na księdza, a ksiądz na swój brewiarz; potem pantalon wrócił i powiedział urywanym, poważnym głosem:

– Policjant nadal leży na scenie. Kurtyna opadała i podnosiła się już sześć razy, a on leży dalej.

Ksiądz Brown upuścił brewiarz; jego wzrok wyrażał całkowitą wewnętrzną pustkę i ruinę. Bardzo powoli w jego szarych oczach rozjarzyło się słabe światelko, po czym wygłosił niezbyt oczywistą odpowiedź:

– Proszę wybaczyć, panie pułkowniku, ale kiedy umarła pańska żona?

– Żona! – powtórzył zaskoczony wojskowy. – W tym roku, dwa miesiące temu. Jej brat, James, przyjechał o tydzień za późno, żeby się z nią zobaczyć.

Mały ksiądz podskoczył jak postrzelony królik.

– Szybko! – zawołał w całkiem niezwykłym podnieceniu. – Chodźcie! Musimy przyjrzeć się temu policjantowi!

Wpadli za spuszczoną ponownie kurtynę, bezceremonialnie minęli kolombinę i klauna (najwyraźniej szepczących z ukontentowaniem) i ksiądz Brown nachylił się nad rozciągniętym na podłodze komicznym policjantem.

– Chloroform – powiedział, wstając. – Domyśliłem się dopiero przed chwilą.

Zapadła pełna zdumienia cisza, a potem pułkownik odezwał się powoli:

– Proszę powiedzieć nam na serio, co to wszystko znaczy.

Ksiądz Brown nagle wybuchnął głośnym śmiechem, a potem opanował się i tylko czasem podczas dalszej przemowy tłumił napady wesołości.

– Panowie – wykrztusił – nie ma czasu na gadanie. Muszę gonić przestępcę. Ale ten wielki francuski aktor udający policjanta... ten doskonały trup, z którym arlekin tańczył walca, którym wymachiwał i rzucał wokoło... był... – Tu głos ponownie uwiązał mu w gardle, a on sam odwrócił się i zaczął biec.

– Był...? – zawołał pytająco Fischer.

– Prawdziwym policjantem! – odparł ksiądz Brown i zniknął w ciemnościach.

W zakątkach i altanach najdalszej części liściastego ogrodu wawrzyny i inne wiecznie zielone krzewy nawet teraz, w środku zimy, połyskiwały na tle szafirowego nieba i srebrnego księżyca ciepłymi barwami południa. Oto radosna zieleń chwiejących się gałązek laurowych, głęboka fioletowo-granatowa noc i księżyc jak olbrzymi kryształ tworzą razem niemal frywolnie romantyczny obrazek; a wśród najwyższych gałęzi przemyka dziwna postać, nie tyle romantyczna, co niedorzeczna. Człowiek ten połyskuje od stóp do głów, jakby ubrany był w dziesięć milionów księżyców, zaś prawdziwy księżyc podkreśla każdy jego ruch i zapala zimnym płomieniem coraz to inną część jego ciała. On jednak, lśniący i zwycięski, przeskakuje z niskiego drzewa w jednym ogrodzie na wysokie drzewo w drugim i zatrzymuje się tam tylko dlatego, że pod niższym drzewem zjawia się jakiś cień i najwyraźniej woła właśnie do niego.

– No cóż, Flambeau – mówi głos – rzeczywiście wyglądasz jak Latająca Gwiazda; ale to ostatecznie zawsze oznacza Spadającą Gwiazdę.

Srebrzysta, lśniąca postać w górze najwyraźniej wychyla się spomiędzy wawrzynów i – pewna ucieczki – słucha niskiej postaci w dole.

– Nigdy nie dokonałeś niczego lepszego, Flambeau. To sprytne, przyjechać z Kanady (zapewne z paryskim biletem) zaledwie tydzień po śmierci pani Adams, kiedy nikt nie miał nastroju do zadawania pytań. Jeszcze sprytniejsze było wysledzenie Latających Gwiazd i dokładnego dnia wizyty Fischera. Ale to, co nastąpiło potem, nie było sprytne, tylko po prostu genialne. Jak przypuszczam, samo wykradzenie kamieni było dla ciebie pestką. Mogłeś to zrobić dzięki jakiejś sztuczce na sto innych sposobów, niż pod pozorem przypinania oślego ogona do fraka pana Fischera. Ale cała reszta przyćmiła wszystko, co zrobiłeś do tej pory.

Srebrzysta postać wśród zielonych liści zdaje się zwlekać, jakby zahipnotyzowana, mimo że łatwa droga ucieczki stoi otworem; wpatruje się w człowieka na dole.

– O, tak – mówi dalej tamten – wiem dokładnie, jak było. Wiem, że nie tylko narzuciłeś innym pantomimę, ale także posłużyłeś się nią w podwójnym celu. Miałeś

zamiar cichcem wykraść klejnoty; od współnika dostałeś jednak wiadomość, że już cię podejrzewają, i że sprawny oficer policji ma się zjawić i dopaść cię jeszcze tego wieczoru. Zwykły złodziej byłby z wdzięcznością przyjął tę wiadomość i zwał, ale ty jesteś poetą. Wpadłeś już na sprytny pomysł, by ukryć klejnoty wśród fałszywej, scenicznej biżuterii. Teraz zrozumiałeś, że jeśli wystąpisz w stroju arlekina, to pojawienie się policjanta będzie całkiem uzasadnione. Zasłużony oficer wyruszył w ślad za tobą z posterunku w Putney i wpadł w najsprytniejszą pułapkę, jaką ktokolwiek zastawił na tym świecie. Kiedy otwały się frontowe drzwi, wszedł prosto na scenę bożonarodzeniowej pantomimy, na której mógł zostać skopany, pobity, ogłuszony i odurzony przez tańczącego arlekina wśród wybuchów śmiechu wszystkich najszacowniejszych obywateli Putney. O, nigdy już nie uda ci się nic lepszego. A swoją drogą, bądź tak dobry i oddaj mi te brylanty.

Zielona gałąź, na której huśtała się błyszcząca postać, zaszeleściła jakby ze zdumienia, ale głos ciągnął dalej:

– Chcę, żebyś je oddał, Flambeau i chcę żebyś wyrzekł się tego życia. Masz jeszcze młodość i honor, i poczucie humoru; nie wyobrażaj sobie jednak, że w twoim fachu zachowasz je na zawsze. Można się zatrzymać na pewnym poziomie dobra, ale jeszcze nikomu nie udało się zatrzymać na pewnym poziomie zła. Ta droga prowadzi wciąż niżej. Dobry człowiek zaczyna pić i staje się okrutnikiem; szczerzy człowiek zabija i chcąc ukryć ten fakt, staje się kłamcą. Znałem wielu ludzi jak ty, którzy zaczęli jako ucziwi banici, weseli rabusie polujący na bogaczy, a kończyli w bagnie. Maurice Bloom na początku był anarchistą z zasadami, ojcem ubogich; skończył jako wstrętny szpieg i donosiciel, którego obie strony wykorzystywały z odrazą. Harry Burke zaczynał dość szczerze swój ruch wolnego pieniądza; teraz od głodującej siostry wyciąga grosze na kolejną szklaneczkę whisky. Lord Amber wdał się w awanturnicze towarzystwo ze swego rodzaju galanterią; teraz jest szantażowany przez najgorsze hieny Londynu. Kapitan Barillon był przed tobą wielkim gentlemanem wśród apaszów; zmarł w domu wariatów, wrzeszcząc ze strachu przed szpiclami i paserami, którzy go zdradzili i dopadli. Wiem, że lasy za twoimi plecami wydają ci się oazą wolności, Flambeau; wiem, że potrafisz zniknąć w nich w mgnieniu oka jak mała. Ale pewnego dnia będziesz starą, siwą małpą, Flambeau. Będziesz siedział w swojej oazie wolności z wyziębłym sercem, bliski śmierci, i nie będzie już liści na nagich wierzchołkach drzew.

Wszystko zastygło w bezruchu, jakby mały człowieczek w dole trzymał tego na górze na długiej niewidzialnej smyczy i mówił dalej:

– Zaczęłeś już drogę w dół. Szczyciłeś się, że nie popełniasz żadnych podłości, ale dziś robisz coś podłego. Zrzucasz podejrzenie na ucziwego chłopca, który ma już i tak niemało przeciwko sobie; oddzielasz go od kobiety, którą kocha i która darzy go wzajemnością. Ale będziesz robił o wiele większe podłości, nim umrzesz.

Trzy lśniące brylanty spadły z drzewa na darń. Mały człowieczek schylił się, aby je podnieść, a kiedy znów podniósł wzrok, zielona klatka drzewa była pusta; srebrzysty ptak odfrunął.

Odzyskanie klejnotów (znalezionych przypadkiem przez najmniej spodziewaną osobę, czyli przez księdza Browna) sprawiło, że wieczór zakończył

się triumfalnym wybuchem radości; nawet sir Leopold z wyżyn dobrego humoru oświadczył duchownemu, że choć sam ma szersze poglądy, potrafi szanować tych, którym wiara nakazuje żyć w ignorancji i oderwaniu od świata.

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK

W chłodnym, błękitnym zmierzchu cukiernia na rogu dwóch stromych ulic Camden Town świeciła jak niedopałek cygara. Trzeba być może raczej powiedzieć: jak niedopałek fajerwerku, bowiem światło było kolorowe i rozproszone; odbijało się w wielu lustrach i tańczyło na rozmaitych lśniących, różnobarwnych ciastach i słodyczach. Do tej jednej, płomiennej szyby przylepiały się nosy wielu uliczników, bo czekoladki na wystawie zawinięte były w owe czerwone, złote i zielone sreberka, które są niemal lepsze od samej czekolady; natomiast wielki biały tort weselny w oknie budził zarazem tęsknotę i zadowolenie, jakby cały biegun północny nadawał się do jedzenia. Takie tęczne prowokacje przyciągały, rzecz jasna, okoliczną młodzież mającą nie więcej niż dziesięć-dwanaście lat. Ale narożna cukiernia była atrakcyjna także dla młodzieży na dalszych etapach rozwoju; właśnie teraz w jej wystawę wpatrywał się młody, co najmniej dwudziestoczteroletni mężczyzna. Dla niego także cukiernia miała jakiś płomienny czar, ale urok ten nie do końca można było wytłumaczyć obecnością czekolady, którą, młodzieniec skądinąd wcale nie gardził.

Był to wysoki, zwały, rudowłosy mężczyzna o rezolutnej twarzy, lecz nieco niemrawym sposobie bycia. Pod pachą miał płaską, szarą teczkę z czarno-białymi rysunkami, które sprzedawał z większym lub mniejszym powodzeniem u różnych wydawców, odkąd jego wuj (admirał) wydziedziczył go za socjalizm, a to ze względu na wygłoszony przezeń wykład sprzeciwiający się tej teorii ekonomicznej. Nazywał się John Turnbull Angus.

Gdy wreszcie przekroczył próg, przeszedł przez główny sklep do czegoś w rodzaju kawiarni na tyłach, ledwie uchylając kapelusza przed młodą damą, która ten przybytek obsługiwała. Była to ubrana na czarno, ciemnowłosa, elegancka żywiołowa dziewczyna o rumianej twarzy i bardzo bystrych, ciemnych oczach, która, po odczekaniu umownego czasu, podążyła za nim do drugiej sali, by przyjąć zamówienie.

Najwyraźniej zamówienie było takie jak zwykle.

– Poproszę – powiedział z precyzją Angus – jedną bułeczkę za pół pensa i małą czarną kawę. – Zanim dziewczyna zdążyła się odwrócić, dodał jeszcze: – Poza tym proszę panią o rękę.

Młoda dama wyprostowała się nagle i powiedziała:

– Nie zgadzam się na takie żarty.

Rudowłosy młodzieniec podniósł szare oczy pełne nieoczekiwanej powagi.

– Ależ zaiste – powiedział – to poważna sprawa... tak poważna jak bułeczka za pół pensa. Jest droga jak bułeczka; trzeba za nią zapłacić. Jest niestrawna jak bułeczka. Sprawia ból.

Ciemnowłosa młoda dama nie odrywała od niego wzroku, ale przyglądała mu się z jakąś niemal tragiczną uwagą. Na koniec tych oględzin pojawił się na jej twarzy jakby cień uśmiechu i dziewczyna usiadła na krześle.

– Nie sądzi pani – zauważył w roztargnieniu Angus – że to okrutne, jeść takie bułeczki za pół pensa? Może, gdyby urosły, stałyby się bułeczkami za całego pensa? Kiedy się pobierzemy, porzucę ten brutalny sport.

Ciemnowłosa dziewczyna wstała z krzesła i podeszła do okna, najwyraźniej pogrążona w gorączkowym, ale niepozbawionym życzliwości namyśle. Kiedy wreszcie odwróciła się zamasyście z wyrazem determinacji, zobaczyła ze zdumieniem, że młody człowiek ostrożnie rozstawia na stole rozmaite artykuły z wystawy. Była tam piramida bardzo kolorowych cukierków, kilka talerzy kanapek i dwie tajemnicze karafki porto i sherry, jakie widuje się tylko w cukierniach. Na sam środek tej starannej aranżacji opuścił ostrożnie ciężkie brzemię olbrzymiego lukrowanego na biało tortu, stanowiącego główną dekorację wystawy.

– Co pan u licha wyprawia? – spytała.

– Przyjęcie, droga Lauro – zaczął.

– Och, na litość boską, niech pan przestanie! – wykrzyknęła dziewczyna. – I proszę nie mówić do mnie w ten sposób. Chciałam powiedzieć, co to wszystko ma być?

– Uroczysty posiłek, panno Hope.

– A to? – spytała niecierpliwie, wskazując palcem lukrową górę.

– Tort weselny, pani Angus – odparł młodzieniec.

Dziewczyna zdecydowanym krokiem podeszła do wyrobu określonego tym mianem, podniosła go dość hałaśliwie i odstawiła na okno wystawowe; potem wróciła, oparła eleganckie łokcie na stole i spojrzała na młodego człowieka nie bez przychylności, ale ze sporą dozą irytacji.

– Nie daję mi pan ani chwili do namysłu – powiedziała.

– Nie jestem taki głupi – odparł – to przejaw mojej chrześcijańskiej pokory.

Nadal przyglądała się mu, ale jej twarz spoważniała.

– Panie Angus – odezwała się z opanowaniem – zanim upłynie kolejna minuta tego bezsensownego przedstawienia, muszę powiedzieć panu coś o sobie najkrócej, jak potrafię.

– Wysłucham z rozkoszą – odparł poważnie Angus. – Skoro już ma pani mówić, proszę powiedzieć także coś o mnie.

– Ach, niech pan trzyma język za zębami i słucha – powiedziała. – Nie jest to nic, czego musiałabym się wstydzić, a nawet nic, czego musiałabym specjalnie żałować. Ale co by pan powiedział na to, że jest coś, co jest dla mnie koszmarem, choć to nie moja sprawa?

– W takim wypadku – odparł mężczyzna poważnie – proponowałbym, żeby przyniosła pani z powrotem ten tort.

– No, w każdym razie najpierw musi pan wysłuchać mojej historii – uparcie stwierdziła Laura. – Na początek muszę panu powiedzieć, że mój ojciec miał w Ludbury gospodę „Pod Czerwoną Rybą” i że obsługiwałam tam ludzi przy barze.

– Często zastanawiałem się – wtrącił młodzieniec – dlaczego tylko w tej jednej cukierni jest taka chrześcijańska atmosfera.

– Ludbury to senna, zapyziała miejscina we wschodniej Anglii, a jedynymi gośćmi w naszej gospodzie byli przygodni agenci handlowi, poza najgorszym typem ludzi, jakich można spotkać, ale jakich nigdy pan nie widział. Chodzi mi o tych drobnych wałkonów, którzy mają dość pieniędzy, żeby przeżyć, i nie mają nic lepszego do roboty, jak przesiadywać w barach i grać na wyścigach, w kiepskich ubraniach, ale i tak za

porządnych jak na nich. A jednak nawet tacy żałośni młodzi dranie nie byli u nas pospolitymi gośćmi, z wyjątkiem dwóch, którzy byli o wiele za pospolici – pospolici pod każdym względem. Obaj utrzymywali się z własnego majątku, byli nieznośnymi próżniakami i strojnisiami. Trochę jednak było mi ich żal, bo podejrzewałam, że kryją się w naszym pustym barze dlatego, że każdy z nich miał jakąś niewielką ułomność; coś takiego, z czego wieśniacy czasem stroją sobie żarty. Właściwie to nawet nie była ułomność, tylko raczej pewna osobliwość. Jeden z nich był zdumiewająco mały, jak karzeł, a w każdym razie jak dżokej. Ale wcale nie wyglądał na dżokeja; miał okrągłą głowę o czarnych włosach i czarnej, porządnie przystrzyżonej brodzie, oczy błyszczące jak u ptaka, podzwaniał pieniędzmi w kieszeniach, pobrzękiwał złotą dewizką zegarka i zawsze zjawiał się w tak nienagannym stroju gentlemana, że wcale na niego nie wyglądał. Nie był jednak głupcem, chociaż spędzał czas na jałowym próżniactwie; miał niespotykaną zręczność robienia zupełnie nieprzydatnych rzeczy, jakby improwizowanych sztuczek magicznych. Umiał sprawić, że piętnaście zapalek zapalało się jedna od drugiej jak prawdziwy fajerwerk albo zrobić tańczącą laleczkę z banana czy czegoś podobnego. Nazywał się Isidore Smythe; jeszcze go widzę, z jego drobną, śniadą twarzą, jak podchodzi do baru i zmienia pięć cygar w skaczącego kangura.

Ten drugi był bardziej milczący i bardziej zwyczajny; ale z jakiegoś powodu niepokoił mnie bardziej niż biedny mały Smythe. Był bardzo wysoki i szczupły, miał bardzo jasne włosy i orli nos, i byłby nawet w jakiś taki widmowy sposób przystojny, gdyby nie to, że miał najgorszego zeza, jakiego widziałam w życiu. Kiedy patrzył komuś prosto w oczy, ten ktoś nie wiedział nawet, gdzie sam się znajduje, a co dopiero, na co tamten patrzy. Zdaje się, że ta ułomność wprawiła biedaka w rozgoryczenie; podczas gdy Smythe był gotów zawsze i wszędzie popisywać się swoimi sztuczkami, James Welkin (bo tak nazywał się ten zezowaty) nigdy nie robił nic innego, tylko pił w naszym barze i spacerował samotnie po szarej, płaskiej okolicy. Tak czy inaczej, wydaje mi się, że Smythe także był nieco wrażliwy na punkcie swojego wzrostu, chociaż znosił to z większym wdziękiem. Nic więc dziwnego, że byłam nie tylko zaskoczona, ale też naprawdę zakłopotana i bardzo zmartwiona, kiedy obaj w tym samym tygodniu poprosili mnie o rękę.

No cóż, zrobiłam wtedy coś, co potem wydawało mi się niezbyt rozsądne. Ale ostatecznie ci dziwacy byli w pewnym sensie moimi przyjaciółmi i paraliżowała mnie myśl, że mogliby odgadnąć prawdziwy powód mojej odmowy, którym była ich odrażająca szpetota. Wymyśliłam więc jakąś bajeczkę o tym, że nie chcę poślubić nikogo, kto nie doszedł do czegoś sam w życiu. Powiedziałam, że dla zasady nie chcę żyć z pieniędzy, które zostały po prostu odziedziczone, tak jak ich majątki. Dwa dni po tym, gdy powiedziałam im to niejako w jak najlepszej intencji, zaczęły się wszystkie kłopoty. Najpierw dowiedziałam się, że obaj wyruszyli na poszukiwanie szczęścia, jakby byli bohaterami jakiejś głupiej bajki.

Otóż nie widziałam żadnego z nich aż po dziś dzień. Dostałam jednak dwa listy od tego małego człowieczka o nazwisku Smythe i oba były naprawdę fascynujące.

– A o tym drugim nic pani nie słyszała? – spytał Angus.

– Nie, nie napisał ani słowa – odparła dziewczyna po chwili wahania. – Pierwszy

list Smythe'a donosił po prostu, że ruszył z Welkinem piechotą do Londynu, ale jako że Welkin był dobrym piechurzem, on, jako mniejszy, szybko został w tyle i usiadł przy drodze, żeby odpocząć. Zabrali go jacyś wędrowni kuglarze i po trosze z powodu karłowatego wzrostu, a po trosze dzięki swej zręczności zaczął sobie nieźle radzić w tym zawodzie i szybko wysłano go do londyńskiego akwarium, żeby pokazywał nie pamiętam jakie sztuczki. To było w pierwszym liście. Drugi był o wiele bardziej zaskakujący, a dostałam go ledwie tydzień temu.

Mężczyzna o nazwisku Angus dopił kawę i wpatrywał się w dziewczynę łagodnym, cierpliwym spojrzeniem. Jej usta drgnęły, jakby do śmiechu, kiedy podjęła swoją opowieść:

– Myślę, że widział pan wszędzie na mieście reklamy „Milczącej Służby Smythe'a”? Jeśli nie, to musi pan być jedynym, który ich nie widział. Nie wiem o tym za dużo; to jakiś mechaniczny wynalazek, który wykonuje wszystkie prace domowe. Wie pan, coś w rodzaju: „Niepijący kamerdyner – wystarczy nacisnąć guzik” albo „Niekochliwa służąca – wystarczy przekręcić wajchę”. Na pewno widział pan te reklamy. Otóż, czymkolwiek by te maszyny były, na pewno przynoszą furę pieniędzy; a przynoszą ją temu karzełkowi, którego znałam w Ludbury. Nie mogę powiedzieć, żebym się nie cieszyła, że biedak wreszcie stanął na nogi; ale tak naprawdę jestem przerażona, że w każdej chwili może się tu zjawić i powiedzieć, że w końcu sam do czegoś doszedł... i będzie to święta prawda.

– A ten drugi? – spytał raz jeszcze Angus z upartym spokojem.

Laura Hope nagle zerwała się z miejsca.

– Pan chyba jest czarnoksiężnikiem – powiedziała. – Tak, to prawda. Ten drugi nie napisał do mnie ani słowa i nie mam najmniejszego pojęcia, kim teraz jest, ani gdzie się podziewa. Ale to jego się boję. To on czyha na mojej drodze. To on doprowadził mnie niemal do szaleństwa. Mam wrażenie, że naprawdę zwariowałam, bo czułam jego obecność tam, gdzie nie mogło go być i słyszałam jego głos, kiedy nie mógł do mnie mówić.

– No cóż, moja droga staruszko – odezwał się wesoło młodzieniec – nawet gdyby był diabłem wcielonym, to już po nim, bo opowiedziała pani o tym komuś drugiemu. W obłąd popada się samotnie. Ale kiedy miała pani wrażenie, że słyszy i czuje obecność naszego zezowatego przyjaciela?

– Słyszałam śmiech Jamesa Welkina tak wyraźnie, jak teraz słyszę pana – powiedziała spokojnie dziewczyna. – Nie było przy mnie nikogo, bo stałam tuż za drzwiami cukierni i widziałam obie ulice. Zapomniałam już, jak się śmiał, chociaż jego śmiech był równie dziwny, jak jego zez. Nie myślałam o nim od prawie roku. Ale to święta prawda, że w parę sekund później dostałam list od jego rywala.

– A czy udało się pani sprawić, by ten duch przemówił albo zajęczał, czy coś podobnego? – spytał Angus z niejakim zainteresowaniem.

Laura nagle się wzdrygnęła, a potem powiedziała głosem, w którym nie znać już było drżenia:

– Tak. I to właśnie w chwili, kiedy skończyłam czytać drugi list Isidore'a Smythe'a, donoszący o jego sukcesie. Właśnie wtedy usłyszałam głos Jamesa

Welkina, który mówił: „Ale i tak pani nie dostanie”. Słyszałam to tak wyraźnie, jakby był obok mnie w pokoju. To było straszne; ja chyba naprawdę zwariowałam.

– Gdyby rzeczywiście pani zwariowała – zaproponował młodzieniec – wydawałoby się pani, że jest całkiem normalna. Ale z pewnością jest coś podejrzanego w tym niewidzialnym gościu. Co dwie głowy, to nie jedna; oszczędzę pani aluzji do innych części ciała, ale teraz, doprawdy, niech pani pozwoli, że jako solidny i praktyczny mężczyzna przyniosę z powrotem ten tort weselny z wystawy...

Gdy jeszcze to mówił, na zewnątrz rozległ się jakiś metaliczny pisk; mały samochodzik z szatańską prędkością zajechał pod drzwi cukierni i tam się zatrzymał. I już w tej samej sekundzie w głównym pomieszczeniu cukierni stał przytupując mały człowieczek w lśniącym cylindrze.

Angus, który dla utrzymania higieny psychicznej do tej pory zachowywał się z komiczną swobodą, ujawnił panujące w jego duszy napięcie – wyszedł nagle z wewnętrznej sali i stanął oko w oko z nowo przybyłym. Jeden rzut oka wystarczył, by potwierdzić szalone domysły zakochanego młodzieńca. Ta niezwykle szykowna, ale miniaturowa postać z czarną spiczastą bródką wysuniętą zuchwale naprzód, ze sprytnymi, rozbieganymi oczkami oraz zgrabnymi, choć bardzo nerwowymi palcami, to nie mógł być nikt inny, jak tylko człowiek, którego przed chwilą mu opisano: Isidore Smythe, który umiał robić laleczki ze skórek od bananów i pudełek od zapalek, a z metalu – niepijących kamerdynerów i niekochliwe pokojówki, na których zarabiał miliony. Przez chwilę dwaj mężczyźni, instynktownie wyczuwając u siebie to samo nastawienie pana i władcy, mierzyli się wzrokiem z tą dziwną, lodowatą wyrozumiałością, która jest duszą współzawodnictwa.

Pan Smythe nie odniósł się jednak do najgłębszego podłoża ich antagonizmu, tylko zadał proste, gwałtowne pytanie:

– Czy panna Hope widziała, co jest na oknie?

– Na oknie? – spytał Angus otwierając oczy ze zdumienia.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – rzucił krótko miniaturowy milioner. – Ktoś tu sobie pozwala na wybryki, które powinna zbadać policja.

Wskazał swoją polerowaną laską na wystawę, ostatnio tak zubożoną weselnymi przygotowaniami pana Angusa; gentleman ten ze zdumieniem zobaczył przyklejony od zewnątrz na szybie długi pasek papieru, którego z pewnością nie było tam, gdy jakiś czas temu zaglądał do środka. Wyszedłszy za energicznym Smythe'em na ulicę, zobaczył, że do zewnętrznej szyby przyklejono starannie mniej więcej półtora jarda papierowej taśmy pozostałej po oderwaniu znaczków pocztowych, a na niej napisano koślawymi literami: „Jeśli wyjdiesz za Smythe'a, on zginie”.

– Lauro – zawołał Angus, wsuwając swoją dużą rudą głowę do cukierni – pani nie zwariowała!

– To pismo tego Welkina – powiedział Smythe szorstko. – Wieki go nie widziałem, ale ciągle mnie prześladowuje. Pięć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni podrzucano mi do domu listy z pogrózkami, a ja nie mogę nawet stwierdzić, kto je zostawiał, nie mówiąc już o ustaleniu, czy tym kimś był Welkin. Portier twierdzi, że nie widział żadnych podejrzanych osobników, a teraz ktoś nakleił tę jakby lamperię na witrynie sklepowej,

podczas gdy ludzie w środku...

– Właśnie – przytaknął skromnie Angus – podczas gdy ludzie w środku jedli podwieczorek. Cóż, szanowny panie, mogę pana zapewnić, że doceniam pański zdrowy rozsądek w tak bezpośrednim podejściu do tej sprawy. O innych rzeczach możemy porozmawiać później. Gość nie może być bardzo daleko, bo przysięgam, że kiedy podchodziłem do okna dziesięć czy piętnaście minut temu, nie było na nim żadnego papieru. Z drugiej jednak strony, jest on o wiele za daleko, żeby go ścigać, jako że nie znamy nawet kierunku. Jeśli chce pan mojej rady, panie Smythe, powinien pan tę sprawę powierzyć jakiemuś energicznemu detektywowi, raczej prywatnemu niż publicznemu. Znam jednego niezwykle sprytnego gościa, który otworzył biuro pięć minut drogi stąd pańskim samochodem. Nazywa się Flambeau, a chociaż miał nieco burzliwą młodość, teraz jest absolutnie uczciwym człowiekiem, a jego umysł wart jest krocie. Mieszka w Lucknow Mansions, w Hampstead.

– To dziwne – powiedział mały człowieczek, unosząc czarne brwi – ja mieszkam w Himalaya Mansions tuż obok. Może zechce pan pojechać ze mną; pójdę do siebie i uporządkuję te dziwne pisma od Welkina, a pan pobiegnie po swojego przyjaciela-detektywa.

– To bardzo miło z pana strony – powiedział Angus uprzejmie. – No, im szybciej zabierzemy się do roboty, tym lepiej.

Obaj mężczyźni w przyływie dziwnej, zaimprovizowanej bezstronności, pożegnali się oficjalnie z młodą damą i wskoczyli razem do szybkiego, małego samochodzika. Kiedy Smythe zajął się prowadzeniem wozu i skręcili za róg wielkiej ulicy, Angus z rozbawieniem zobaczył gigantyczny plakat reklamujący „Milczącą Służbę Smythe’a” z wizerunkiem olbrzymiej bezgłowej żelaznej kukły dzierżącej patelnię oraz podpisem: „Niekłótna kucharka”.

– Używam ich w swoim mieszkaniu – powiedział ze śmiechem mały czarnobrody człowieczek – częściowo dla reklamy, a częściowo dla wygody. Całkiem uczciwie i szczerze, te moje wielkie nakręcane lale przynoszą węgiel, kieliszek bordeaux czy rozkład jazdy szybciej, niż jakikolwiek znany mi służący, o ile się wie, którą gałkę nacisnąć. Ale, między nami mówiąc, nie przeczę, że taka służba ma też swoje minusy.

– Doprawdy? – zdziwił się Angus. – Czy jest coś, czego nie potrafią?

– Owszem – odparł chłodno Smythe – nie potrafią powiedzieć, kto przyniósł mi do mieszkania te listy z pogrózkami.

Samochód był równie mały i szybki jak jego właściciel; w rzeczywistości i on, podobnie jak mechaniczni służący, był jego pomysłu. Nawet jeśli Smythe miał bzika na punkcie reklamy, przynajmniej wierzył we własne wynalazki. Pojazd robił wrażenie czegoś maleńkiego i latającego, tym bardziej teraz, kiedy gnali pod górę krętą, długą drogą pod otwartą przestrzenią bladego, wieczornego nieba. Wkrótce białe zakręty stały się ostrzejsze i bardziej zawrotne; znaleźli się, jak to ujmują nowoczesne religie, na spirali wznoszącej. Rzeczywiście bowiem wspinali się na szczyt wypiętrzonego zakątka Londynu, niemal tak stromy jak w Edynburgu, choć może nie tak malowniczy. Taras wznosił się nad tarasem, a wieżowiec, ku któremu zmierzali, górował nad nimi na wręcz

egipskiej wysokości, ozłocony poziomymi promieniami zachodzącego słońca. Zmiana, która nastąpiła, gdy skręcili w zaułek znany jako Himalaya Mansions, była tak nagła, jak otwarcie okna; ujrzeni bowiem, że mieszkalna piramida wznosi się nad Londynem jak nad morzem zielonych łupkowych dachówek. Naprzeciw rezydencji, po drugiej stronie żwirowego zaułka, znajdowała się ogrodzona gęstwina krzewów, przypominająca raczej rosnący na stromiźnie żywopłot albo stromą groblę niż ogród, a nieco niżej widniał sztuczny zbiornik wodny, coś w rodzaju kanału, jakby fosa otaczająca tę ukrytą w zieleni fortecę. Przejeżdżając łukowatym zaułkiem, samochód minął stojącą na rogu budkę sprzedawcy kasztanów; w oddali, na przeciwległym krańcu zaułka, Angusowi zamajaczył błękitny uniform przechadzającego się wolno policjanta. Były to jedyne sylwetki ludzkie na tym wyniosłym, podmiejskim pustkowiu; miał jednak irracjonalne wrażenie, że są one uosobieniem niemej poezji Londynu. Wydawało mu się, że to bohaterowie jakiegoś opowiadania.

Mały samochodzik pomknął do właściwego budynku jak pocisk i wypluł swojego właściciela jak łuskę. Smythe natychmiast zaczął wypytywać wysokiego szwajcara w mundurze z lśniącymi galonami oraz niskiego, odzianego jedynie w koszulę dozorcę czy ktoś albo coś nie próbowało dostać się do jego apartamentu. Otrzymał zapewnienie, że nikt ani nic nie minęło tych urzędowych osób od czasu ich ostatniej rozmowy; po czym wraz z oszołomionym Angusem pomknął przypominającą raketę windą aż na ostatnie piętro.

– Proszę, niech pan wejdzie na chwilę – powiedział zdyszany Smythe. – Chcę panu pokazać te listy od Welkina. Potem będzie pan mógł pobiec za róg po swojego przyjaciela. – Nacisnął ukryty w ścianie guzik i drzwi otwarły się samoczynnie.

Ukazał się długi, wygodny przedpokój, którego jedyną uderzającą cechą były wysokie, półludzkie mechaniczne postacie, stojące w rzędach po obu stronach niczym krawieckie manekiny. Tak jak krawieckie manekiny nie miały one głów i jak krawieckie manekiny miały zgrabnie wymodelowane ramiona i wypukłe klatki piersiowe; poza tym jednak nie były bardziej podobne do ludzkich postaci niż automaty na stacji kolejowej wielkością przypominające człowieka. W miejsce rąk miały zamontowane dwa wielkie haki do noszenia tac, a pomalowane były na kolor groszkowy, cynobrowy lub czarny, aby łatwiej było je odróżnić; pod każdym innym względem były to jedynie automaty niezastępujące na większą uwagę. W każdym razie teraz nikt im się nie przyglądał. Między dwoma rzędami tych domowych kukieł leżało bowiem coś bardziej interesującego niż wszystkie mechanizmy świata. Był to biały, wystrzępiony kawałek papieru, na którym nabazgrano coś czerwonym atramentem; zręczny wynalazca porwał go z podłogi, gdy tylko otworzył drzwi. Wręczył go Angusowi bez słowa. Czerwonym atramentem, który właściwie jeszcze nie wysechł, skreślono wiadomość: „Jeśli byłeś u niej dzisiaj, zabiję cię”.

Zapadło krótkie milczenie, a potem Isidore Smythe odezwał się cicho:

– Może kropelkę whisky? Mnie chyba się przyda.

– Nie, dziękuję, wolałbym kropelkę Flambeau – odrzekł Angus ponuro. – Sprawa wygląda coraz poważniej. Idę po niego od razu.

– Ma pan rację – przytaknął tamten z podziwu godną wesołością. – Proszę go

przyprowadzić jak najszybciej.

Zamykając frontowe drzwi, Angus zobaczył jednak, jak Smythe naciska guzik i jedna z nakręcanych figur rusza ze swojego miejsca, a potem sunie wzdłuż rowka w podłodze, niosąc na tacy syfon i karafkę. Było coś odrobinę dziwnego w tym, że zostawiał tego małego człowieczka samego wśród martwych służących, którzy ożywali za zamkniętymi drzwiami.

Sześć stopni poniżej podestu ostatniego piętra wyposażony w wiadro dozorca robił coś na schodach. Angus zatrzymał się, by uzyskać od niego wzmocnioną perspektywę łapówki obietnicę, że pozostanie w tym miejscu aż do jego powrotu w towarzystwie detektywa i będzie uważał na każdego obcego wchodzącego po schodach. Zbiegłszy do frontowego westybulu, zlecił tę samą czujność strażującemu przed wejściem szwajcarowi, od którego uzyskał informację o korzystnej okoliczności braku tylnego wejścia. Nieusatysfakcjonowany tymi przygotowaniem, złapał snującego się po ulicy policjanta i skłonił go do zatrzymania się po drugiej stronie ulicy i obserwowania wejścia do budynku, a w końcu zatrzymał się na moment, by kupić kasztanów za pensa i dowiedzieć się, jak długo ich sprzedawca zamierza pozostać w tej okolicy.

Handlarz odparł, stawiając kołnierz, że pewnie będzie wkrótce się wynosił, bo jego zdaniem zanoszą się na śnieg. Rzeczywiście, wieczór robił się szary i przejmująco zimny, ale Angus użył całej swej elokwencji, by przygwoździć sprzedawcę do miejsca.

– Niech pan się rozgrzewa własnymi kasztanami – powiedział z naleganiem. – Niech pan zje cały zapas, wynagrodzę to panu. Dam panu suwerena, jeśli zaczeka pan do mojego powrotu, a potem powie mi, czy ktokolwiek – mężczyzna, kobieta lub dziecko – wchodził do tego domu, przed którym stoi szwajcar.

Wreszcie odszedł szybkim krokiem, oglądając się po raz ostatni na obłążoną twierdzą.

– W każdym razie otoczyliśmy to mieszkanie kręgiem – powiedział sobie. – Wszyscy czterej nie mogą być współnikami Welkina.

Apartamenty Lucknow Mansions znajdowały się jakby na niższym poziomie tej góry domów, której szczyt stanowiły Himalaya Mansions. Półoficjalne biuro pana Flambeau mieściło się na parterze i pod każdym względem kontrastowało z amerykańską automatyką i zimnym, hotelowym luksusem mieszkania z milczącą służbą. Flambeau, który był z Angusem zaprzyjaźniony, przyjął go w rokokowym pokoju na zapleczu, którego ozdobę stanowiły szable, arkebuzy, wschodnie kurioza, butelki włoskiego wina, barbarzyńskie sagany, długowłose kot perski i mały, zakurzony katolicki ksiądz, wyjątkowo niepasujący do reszty.

– To mój przyjaciel, ksiądz Brown – powiedział Flambeau. – Od dawna chciałem cię z nim poznać. Świetna pogoda, choć co prawda trochę za zimno jak dla takiego Południowca jak ja.

– Tak, zdaje się, że pogoda się utrzyma – zauważył Angus, siadając na wschodniej otomanie w fioletowe paski.

– Nie – odezwał się cicho ksiądz – zaczyna padać śnieg.

Rzeczywiście, kiedy to mówił, pierwsze rzadkie płatki śniegu, zapowiedziane przez sprzedawcę kasztanów, zawirowały za ciemniejącym oknem.

– No cóż – zaczął ciężko Angus – niestety sprowadza mnie tu interes, i to dość naglący. Chodzi o to, Flambeau, że o rzut kamieniem stąd mieszka człowiek, który bardzo potrzebuje twojej pomocy; jest stale śledzony i zasypywany pogroźkami przez niewidzialnego wroga; nikt nawet tego łajdaka nie widział.

Kiedy Angus przeszedł do opowiedzenia całej historii Smythe'a i Welkina, zaczynając od opowieści Laury, a potem dodając własną – o nadprzyrodzonym śmiechu na rogu dwóch pustych ulic, o dziwnych słowach słyszanych wyraźnie w pustym pokoju – Flambeau zdradzał coraz żywsze zainteresowanie, natomiast mały ksiądz wyglądał tak obojętnie, jakby był częścią umeblowania. Kiedy doszli do papieru przyklejonego na szybie, Flambeau wstał, niemal wypełniając pokój swoją barczystą sylwetką.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział – wolałbym, żebyś opowiedział mi resztę po drodze do domu tego człowieka. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że nie ma czasu do stracenia.

– Doskonale – odparł Angus, również podnosząc się z miejsca. – Chociaż na razie jest raczej bezpieczny, bo zostawiłem czterech ludzi na straży jedyne go wejścia do jego kryjówki.

Wyszli na ulicę razem z małym księdzem, który dreptał za nimi jak posłuszny piesek. Odezwał się tylko raz, wesoło, jakby dla podtrzymania rozmowy:

– Ale szybko zbiera się ten śnieg.

Kiedy przemykali stromymi bocznymi uliczkami świeżo przypudrowanymi srebrem, Angus kończył swoją opowieść, a gdy dotarli do zaułka z wyniosłym wieżowcem, mógł już swobodnie skupić się na czterech strażnikach. Sprzedawca kasztanów zarówno przed, jak i po otrzymaniu suwerena, zarzekał się uparcie, że patrzył na drzwi i nie widział, żeby jakiś gość w nie wchodził. Policjant wyrażał się z jeszcze większym przekonaniem. Mówił, że widział różnych przestępców – w cylindrach i w łachmanach – i nie był tak niedoświadczony, by oczekiwać, że podejrzani osobnicy będą wyglądali podejrzanie. Wypatrywał kogokolwiek i, Bóg mu świadkiem, nie było nikogo. A kiedy trzech mężczyzn otoczyli pozłacanego szwajcara, który nadal stał na rozstawionych nogach na ganku, werdykt stał się jeszcze bardziej ostateczny.

– Mam prawo pytać każdego, księcia czy kominiarza, czego szuka w tym budynku – oznajmił ten łagodny, haftowany złotem olbrzym – i przysięgam, że nie miałem kogo zapytać, odkąd ten gentleman wyszedł.

Zapomniany ksiądz Brown, stojący nieco z tyłu i skromnie wpatrujący się w chodnik, odważył się na pokorne pytanie:

– A więc nikt nie wchodził i nie schodził po tych schodach, odkąd zaczął padać śnieg? Zaczęło padać, gdy jeszcze byliśmy w biurze Flambeau.

– Nie było nikogo, proszę księdza, może mi ksiądz wierzyć – odparł z niewzruszonym przekonaniem rozpromieniony strażnik.

– W takim razie nie rozumiem, co to jest – powiedział ksiądz, wpatrując się dalej w chodnik beznamiętnie jak ryba.

Pozostali także spojrzeli w dół; Flambeau, jak prawdziwy Francuz, wyraził nawet swoje uczucia ostrym okrzykiem i gestem. Nie mogło być bowiem najmniejszej wątpliwości, że środkiem wejścia strzeżonego przez człowieka ze złotymi galonami,

prawdę mówiąc między arogancko rozstawionymi nogami tego kolosa, biegł sznur szarych śladów odcisniętych na białym śniegu.

– O, Boże! – wyrwało się Angusowi. – Niewidzialny człowiek!

Bez dalszych słów obrócił się na pięcie i popędził po schodach, a Flambeau za nim; ksiądz Brown jednak rozglądał się dalej po ośnieżonej ulicy, jakby śledztwo przestało go interesować.

Flambeau najwyraźniej chciał wyważyć drzwi mieszkania swoim potężnym ramieniem, ale rozsądniejszy, choć może pozbawiony tak wielkiej intuicji Szkot zaczął macać framugę drzwi, aż natrafił na niewidoczny guzik i drzwi powoli uchyliły się same.

Ich oczom ukazało się właściwie to samo uporządkowane wnętrze; przedpokój pociemniał, choć gdzieś rozświeślały go jeszcze ostatnie szkarłatne blaski zachodu, a kilka bezgłowych maszyn, ruszonych w takim czy innym celu ze swojego miejsca, stało teraz tu i ówdzie w półmroku. Ich zielone i czerwone powłoki skrywał cień, a sama nieforemność zwiększała nieco ich podobieństwo do ludzkich postaci. Ale w samym środku widniało między nimi coś, co wyglądało jak wylany z kałamarza czerwony atrament. Tylko że to nie był czerwony atrament.

Z godną Francuza mieszkanką rozsądku i gwałtowności Flambeau powiedział tylko:

– Morderstwo! – I wpadłszy do mieszkania, w pięć minut przetrząsnął w nim wszystkie szafy i zakamarki. Jeśli jednak spodziewał się znaleźć ciało, jego nadzieje zawiodły. Isidore Smythe, żywy czy umarły, znikł z mieszkania. Po gwałtownych poszukiwaniach dwaj mężczyźni o spoconych twarzach i wytrzeszczonych z wysiłku oczach spotkali się z powrotem w przedpokoju.

– Mój przyjacielu – Flambeau z przejścia odezwał się po francusku – ten twój morderca nie tylko sam jest niewidzialny, ale także potrafi uczynić niewidzialnym ciało zamordowanego.

Angus rozejrzał się po tonącym w półmroku pokoju pełnym kukieł i jakimś celtyskim zakamarkiem jego szkockiej duszy wstrząsnął dreszcz. Jeden z ludzkiej wielkości manekinów stał bezpośrednio nad plamą krwi, być może wezwany przez ofiarę na chwilę przed zgonem. Przyczepiony do wysokiego ramienia, pełniący funkcję ręki hak był lekko wzniesiony i Angusowi przemknęło przez głowę, że może biednego Smythe'a obaliło jedno z jego żelaznych dzieci. Może materia zbuntowała się i maszyny zabiły swego pana? Ale nawet gdyby tak było, to co mogły z nim zrobić?

„Zjadły go”, podpowiadała mu koszmarna wizja; chwilowo zrobiło mu się niedobrze na myśl o rozszarpanych ludzkich zwłokach, zmiażdżonych i wchłoniętych przez tę bezgłową maszynę.

Zebrawszy wszystkie siły, odzyskał równowagę psychiczną i powiedział do Flambeau:

– No, tak to wygląda. Biedak wyparował i zostawił czerwoną plamę na podłodze. To historia nie z tego świata.

– Z tego czy nie z tego świata – odparł Flambeau – nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zejść na dół i porozmawiać z moim przyjacielem.

Zeszli, mijając po drodze dozorcę z wiadrem, który znów uroczyście oświadczył,

że nie pozwolił przemknąć się żadnemu intruzowi, na dół do strażnika i wyczekującego sprzedawcy kasztanów, którzy z całą surowością potwierdzili swoją czujność. Ale kiedy Angus rozejrzał się za czwartym potwierdzeniem, nie dostrzegł go nigdzie i z pewną irytacją wykrzyknął:

– Gdzie jest policjant?

– Bardzo przepraszam – odezwał się ksiądz Brown – to moja wina. Wysłałem go na koniec ulicy, żeby sprawdził... coś, co wydało mi się warte sprawdzenia.

– No, to potrzebujemy go prędko z powrotem – wybuchnął Angus – bo ten nieszczęśnik na górze nie tylko został zamordowany, ale także znikł z powierzchni ziemi.

– W jaki sposób? – spytał duchowny.

– Ojciec – odezwał się Flambeau po chwili milczenia – klnę się na własną duszę, że to coś bardziej z twojej niż z mojej dziedziny. Żaden przyjaciel ani wróg nie wszedł do tego domu, a jednak Smythe znikł, jakby porwany przez wróżki. Jeśli nie było to działanie sił nadprzyrodzonych, to...

Kiedy jeszcze mówił, wszyscy drgnęli, oszołomieni niezwykłym widokiem: potężny policjant w błękitnym mundurze wybiegł z za rogu zaułka. Podbiegł prosto do księdza Browna.

– Miał ksiądz rację – wyjąkał zdyszany – ciało biednego pana Smythe'a znaleziono na dole, w kanale.

Angus z przejścia złapał się za głowę

– Zszedł na dół i się utopił? – spytał.

– Nie zszedł na dół, przysięgam – odparł posterunkowy – i nie utopił się, bo zmarł od pchnięcia nożem prosto w serce.

– A jednak nie widziano nikogo, kto by wchodził do budynku – zauważył z powagą Flambeau.

– Przejdźmy się w dół ulicy – zaproponował ksiądz.

Kiedy doszli do drugiego końca zaułka, odezwał się nagle:

– Ależ głupiec ze mnie! Zapomniałem spytać tego policjanta, czy nie znaleźli czegoś jeszcze. Ciekawe, czy nie było tam jasnobrązowego worka.

– Dlaczego akurat jasnobrązowego? – spytał zdumiony Angus.

– Bo gdyby był innego koloru, śledztwo trzeba by zacząć od początku – odparł ksiądz Brown. – Ale jeśli był jasnobrązowy, to śledztwo skończone.

– Miło mi to słyszeć – zauważył Angus z wyraźną ironią w głosie. – Dla mnie ono jeszcze się nie zaczęło.

– Proszę nam o tym wszystkim opowiedzieć – odezwał się Flambeau poważnie, z dziwną, jakby dziecięcą prostotą.

Nieświadomie szli coraz szybciej wzdłuż długiego zakrętu drogi po drugiej stronie wysokiego zaułka; ksiądz Brown prowadził ich żwawo, ale w milczeniu. Kiedy wreszcie się odezwał, ogólnikowość jego wypowiedzi była niemal wzruszająca:

– No cóż, obawiam się, że uznacie to za bardzo prozaiczne. Zawsze zaczynamy od abstrakcyjnej strony problemu, a tej historii nie sposób zacząć inaczej.

Czy zwróciliście uwagę, że ludzie nigdy nie odpowiadają na to, co do nich mówimy? Odpowiadają raczej na to, co mamy na myśli... albo na to, co się im wydaje,

że mamy na myśli. Przypuśćmy, że jakaś dama pyta drugiej damy w wiejskiej posiadłości: „Macie kogoś teraz u siebie?”; ta druga nie odpowie jej: „Tak, mamy kamerdynera, trzech służących, pokojówkę i tak dalej”, mimo że pokojówka być może w tej właśnie chwili znajduje się w pokoju, a kamerdyner stoi za jej krzesłem. Odpowiada: „Nie, nikogo”, to znaczy nikogo z osób, o które może chodzić. Ale jeśli lekarz badający przypadek epidemii zada pytanie: „Kogo macie tu w domu?”, wtedy dama wymieni kamerdynera, pokojówkę i całą resztę. Zawsze używamy języka właśnie w ten sposób; nigdy nie otrzymujemy dosłownej odpowiedzi na nasze pytania, nawet jeśli ktoś odpowiada szczerze. Kiedy ci czterej całkiem uczciwi ludzie powiedzieli, że nikt nie wszedł do rezydencji, nie chcieli przez to powiedzieć, że naprawdę nie wszedł tam zupełnie nikt. Chcieli jedynie powiedzieć, że nie wszedł tam nikt, kto ich zdaniem mógłby być tym, o kogo chodzi. Ktoś jednak wszedł do budynku i wyszedł z niego, ale oni go nie zauważyli.

– Ktoś niewidzialny? – spytał Angus, unosząc rude brwi.

– Niewidzialny duchowo – wyjaśnił ksiądz Brown.

Po minucie czy dwóch podjął tym samym nienarzucającym się tonem, jak człowiek, który myśli na głos.

– Oczywiście, ktoś taki nie przychodzi do głowy, dopóki się o nim nie pomyśli. Tu okazuje się jego spryt. Ja jednak pomyślałem o nim dzięki dwóm albo trzem szczegółom opowiadania pana Angusa. Po pierwsze, Welkin odbywał długie spacerunki. Poza tym, na oknie przyklejono papier od znaczków pocztowych. A co najważniejsze, młoda dama powiedziała dwie rzeczy... rzeczy, które nie mogły być prawdziwe. Proszę się nie denerwować – dodał szybko, zauważywszy, że Szkot nagle odwrócił głowę – ona myślała, że są prawdziwe. Nikt nie może być zupełnie sam na ulicy na sekundę przed doręczeniem listu. Ona nie mogła być na ulicy całkiem sama, gdy zaczynała czytać dopiero co otrzymany list. Musiał być ktoś całkiem blisko niej; ktoś, kto był dla niej niewidzialny duchowo.

– Dlaczego musiał tam ktoś być? – spytał Angus.

– Dlatego – odparł ksiądz Brown – że jeśli wykluczemy gołębie pocztowe, ktoś musiał jej oddać ten list.

– Czy naprawdę chce ksiądz powiedzieć – spytał Flambeau w nagłym przypływie energii – że Welkin sam doręczał listy rywala damie swojego serca?

– Tak – potwierdził ksiądz Brown. – Welkin sam doręczał listy rywala damie swojego serca. Widzicie, on po prostu musiał to robić.

– Och, nie zniosę tego dłużej! – wybuchnął Flambeau. – Kimże on jest? Jak wygląda? W co się ubiera taki duchowo niewidzialny człowiek?

– Ubiera się całkiem sztywnie: w czerwień, granat i złoto – odparł ksiądz precyzyjnie i bez zastanowienia – i w tym doskonale widocznym, a nawet nieco ostentacyjnym stroju wszedł do rezydencji Himalaya Mansions na oczach czterech ludzi, z zimną krwią zabił Smythe'a i wszedł ponownie na dół, z martwym ciałem w rękach...

– Proszę mi powiedzieć – wykrzyknął Angus i stanął jak wryty – czy to księdzu, czy mnie brak piątej klepki?

– Nie brak panu piątej klepki – uspokoił go ksiądz Brown – tylko odrobiny spostrzegawczości. Nie zauważył pan na przykład takiego człowieka jak ten.

Zrobił trzy szybkie kroki naprzód i położył rękę na ramieniu zwykłego listonosza, który minął ich niezauważony, idąc szybkim krokiem w cieniu drzew.

– Nikt jakoś nie zauważa listonoszy – powiedział ksiądz Brown w zamyśleniu – a przecież oni też miewają swoje namiętności, jak inni ludzie, i noszą duże worki, w których nie tak trudno ukryć niewielkie zwłoki.

Listonosz, zamiast zwyczajnie się obejrzeć, zrobił unik i wpadł na ogrodowe sztachety. Był to szczupły, zwyczajnie wyglądający jasnobrody mężczyzna, ale kiedy odwrócił ku nim przerażoną twarz, wszystkich trzech przykuło do miejsca niemal diabolicznie zezowate spojrzenie jego oczu.

Flambeau, który miał wiele spraw na głowie, wrócił do swoich szabel, fioletowych dywanów i perskiego kota. John Turnbull Angus wrócił do cukierni, do młodej damy, z którą ten nierozważny młodzieniec zamierza niezwykle wygodnie ułożyć sobie życie. Ale ksiądz Brown przez wiele godzin krążył po zaśnieżonych wzgórzach, pod gwiazdami, w towarzystwie mordercy, i nikt nigdy się nie dowie, co mieli sobie do powiedzenia.

HONOR IZRAELA GOW

Nadciągał burzliwy, oliwkowo-srebrny zmierzch, kiedy ksiądz Brown, owinięty w szary, szkocki pled doszedł do końca szarej, szkockiej doliny i ujrzał dziwaczny zamek Glengyle. Zamykał on z jednej strony *glen*, czyli wąską dolinę, tworząc z niej jakby ślepa uliczkę; był to istny koniec świata. Zamek w stylu starych francusko-szkockich rezydencji o stromych, wysokich dachach i wieżyczkach krytych zielonym jak morze łupkiem przypominał przybyszowi z Anglii złowrogię, spiczaste kapelusze czarownic, a kołyszące się wokół zielonych dachów sosny wyglądały w zestawieniu z nimi jak czarne, nieprzeliczone stada kruków. Ta atmosfera nierzeczywistej, jakby uśpionej niegodziwości nie była jedynie fantazją zrodzoną z krajobrazu. Domostwo to spowijał bowiem ów tuman pychy i szaleństwa, i tajemniczego smutku ciężącego nad szlacheckimi rodami Szkocji bardziej niż nad jakimkolwiek innym rodem synów ludzkich. Szkocja bowiem ma w sobie podwójną dawkę trucizny zwanej dziedzicznością: poczucie ważności pochodzenia u arystokratów i przeświadczenie o potępieniu u kalwinów.

Ksiądz Brown oderwał się na jeden dzień od spraw, które załatwiał w Glasgow, żeby spotkać się ze swoim przyjacielem Flambeau, detektywem amatorem, który przebywał w zamku Glengyle prowadząc wraz z bardziej oficjalnym przedstawicielem władz dochodzenie w sprawie życia i śmierci zmarłego hrabiego Glengyle. Ten tajemniczy osobnik był ostatnim przedstawicielem rodu, którego waleczność, niepoczytalność i zajadła przebiegłość siały postrach nawet wśród złowrogiej szlachty zamieszkującej ten kraj w XVI wieku. Nikt nie zabrnął głębiej w labirynt ambicji i kolejne komnaty pałacu kłamstw, jaki wzniesiono wokół Marii, królowej Szkotów.

Popularny w okolicy wierszyk bez ogródek potwierdzał motywy i efekty knowań rodu Ogilvie:

Czym sok zielony dla drzewa młodego,

Tym złoto czerwone dla pana hrabiego.

Od wielu stuleci nie było w zamku Glengyle przyzwoitego dziedzica i można było przypuszczać, że wszystkie ekstrawagancje wyczerpały się już w epoce wiktoriańskiej. Ostatni hrabia Glengyle zdołał jednak uczynić zadość tradycji swego rodu i zrobił ostatnią rzecz, jaka mu jeszcze została: zniknął. Nie chcę przez to powiedzieć, że wyjechał za granicę; z tego, co mówiono, nadal przebywał w zamku, jeśli w ogóle przebywał gdziekolwiek. Ale chociaż jego nazwisko figurowało w księgach parafialnych i w wielkim czerwonym herbarzu, nikt pod słońcem nigdy go nie widział.

A jeśli był ktoś, kto go widział, to chyba tylko jego jedyny służący, ni to lokaj, ni to ogrodnik. Był on tak głuchy, że ludzie bardziej praktyczni uznawali go za niemego; zaś bardziej przenikliwi – za półgłówek. Chudy, rudowłosy pracownik o zdecydowanym zarysie szczęki i podbródka, ale o całkiem obojętnych niebieskich oczach, znany był jako Izrael Gow i był jedynym, milczącym sługą w tej zapuszczonej posiadłości. Jednak energia, z jaką kopał ziemniaki i regularność, z jaką zniknął w kuchni, kazały ludziom sądzić, że dba o posiłki swego pana i że dziwny hrabia nadal ukrywa się w zamku. Gdyby

w towarzystwie żądano lepszego dowodu jego obecności, to było nim uparte twierdzenie służącego, że pana nie ma w domu. Pewnego ranka do zamku wezwano burmistrza i pastora (hrabiowie Glengyle byli bowiem prezbiterianami). Na miejscu przekonali się oni, że ogrodnik, stajenny i kucharz w jednej osobie dodał do swoich licznych zajęć fach przedsiębiorcy pogrzebowego i zamknął swego szlachetnie urodzonego zwierchnika w zabitej gwoździami trumnie. Jak na razie nie było wiadomo, z jak wielką czy też małą dociekliwością przyjęto ten dziwny fakt; nigdy bowiem oficjalnie nie zbadano tej sprawy, dopóki Flambeau przed dwoma czy trzema dniami nie wybrał się na północ. Nim to się stało, ciało lorda Glengyle'a (o ile w ogóle było to jego ciało) spoczywało już od jakiegoś czasu na małym cmentarzyku na wzgórzu.

Kiedy ksiądz Brown przechodził przez pogrążony w półmroku ogród i wkraczał w cień zamczyska, niebo pokrywały grube chmury, a powietrze było wilgotne i burzowe. Na tle ostatniej smugi zielono-złotego zachodu dostrzegł czarną sylwetkę człowieka: mężczyzny w cylindrze, z wielkim szpadlem na ramieniu. Połączenie to dziwnie kojarzyło się z grabarzem, ale kiedy ksiądz Brown przypomniał sobie głuchego służącego kopiącego ziemniaki, wydało mu się ono całkiem naturalne. Wiedział co nieco o szkockich chłopach; wiedział o ich poczuciu godności, które mogło całkiem dobrze wymagać włożenia odświętneho, czarnego ubrania na urzędowe przesłuchanie; wiedział także o oszczędności, która nie pozwoliłaby z tego powodu stracić godziny, którą można by poświęcić na kopanie. Nawet zaskoczenie i podejrzliwy wzrok nieznajomego dość dobrze harmonizowały z czujnym i zazdrosnym charakterem tego typu ludzi.

Wielkie drzwi otworzył sam Flambeau z papierami w ręku, w towarzystwie szczupłego człowieka o stalowosiwych włosach: był to inspektor Craven ze Scotland Yardu. Sień była ogołocona z większości ozdób; ze ścian spoglądało jednak kilka bladych, szyderczych twarzy niegodziwców o nazwisku Ogilvie, wychylających się spod czarnych peruk na pociemniałych obrazach.

Poszedłszy śladem dwóch sojuszników do jednego z dalszych pokoi, ksiądz Brown przekonał się, że przesiadywali oni przy długim dębowym stole, którego jeden koniec zasłany był notatkami w otoczeniu whisky i cygar. Pozostałą część stołu zajmowały na całej długości rozmaite, ułożone w odstępach od siebie eksponaty – tak niewytłumaczalne, jak tylko można to sobie wyobrazić. Jeden wyglądał jak mała, lśniąca kupka potłuczonego szkła. Drugi jak wysoka sterta brązowego pyłu. Trzeci był najwyraźniej zwykłym kawałkiem drewna.

– Zdaje się, że macie tu coś w rodzaju muzeum geologicznego – powiedział ksiądz Brown, usiadłszy i skinąwszy krótko głową w kierunku brązowego pyłu i kryształowych odłamków.

– To nie muzeum geologiczne – odparł Flambeau – tylko, powiedzmy, psychologiczne.

– Och, na litość boską – zawołał ze śmiechem policyjny detektyw – nie zaczynajmy od takich długich słów.

– Nie wie pan, co oznacza psychologia? – spytał Flambeau z życzliwym zdumieniem. – Psychologia oznacza, że komuś padło na mózg.

– I tak niewiele z tego rozumiem – odparł funkcjonariusz.

– No cóż – powiedział Flambeau stanowczo – chciałem powiedzieć, że na razie ustaliliśmy tylko jedną rzecz. Lord Glengyle był maniakiem.

Za oknem przeszedł Izrael Gow, jego czarna sylwetka ze szpadlem i cylindrem zarysowała się niewyraźnie na tle ciemniejącego nieba. Ksiądz Brown gapił się na nią przez chwilę apatycznie, po czym powiedział:

– Rozumiem, że musiało być coś dziwnego w tym człowieku, bo inaczej nie pogrzebałby się żywcem w tym zamku, ani nie spieszyłby się tak bardzo, żeby go pogrzebano po śmierci. Ale dlaczego uważasz to za obłąd?

– Hm – mruknął Flambeau – posłuchaj tylko listy rzeczy, które pan Craven znalazł w tym domu.

– Trzeba przynieść świecę – odezwał się nagle Craven. – Idzie burza i za ciemno już, żeby czytać

– Czy także i świece – spytał z uśmiechem ksiądz Brown – znalazły się wśród waszych osobliwości?

Flambeau podniósł zatroskaną twarz i wlepił ciemne oczy w przyjaciela.

– To także jest dziwne – powiedział. – Dwadzieścia pięć świec i ani jednego świecznika.

W raptownie gęstniejących ciemnościach i przy raptownie wzmagającym się wietrze ksiądz Brown przeszedł wzdłuż stołu do miejsca, gdzie wśród innych przypadkowych eksponatów leżała wiązka woskowych świec. Kiedy po nie sięgał, pochylił się przypadkowo nad stertą czerwono-brązowego pyłu; ciszę przerwało potężne kichnięcie.

– Hej! – zawołał. – Ależ to tabaka!

Wziął jedną ze świec, zapalił ją ostrożnie, wrócił na miejsce i wetknął w butelkę po whisky. Niespokojny wieczorny powiew, wpadający przez wypaczone okno, poruszał płomykiem jak rozwianym sztandarem. A ze wszystkich stron zamku niekończący się las czarnych sosen huczał niczym czarne, wzburzone morze wokół samotnej skały.

– Przeczytam spis – zaczął Craven z powagą, podnosząc jeden z papierów – spis niewyjaśnionych rzeczy, które znaleźliśmy walające się w zamku. Musi ksiądz wiedzieć, że budynek był ogólnie rzecz biorąc zaniedbany i ogołocony, ale kilka pokoi, urządzonych prosto, ale porządnie, było najwyraźniej przez kogoś zamieszkałych; tym kimś nie mógł być służący Izrael Gow. Spis brzmi następująco. Punkt pierwszy: spora kolekcja drogich kamieni, prawie wyłącznie brylantów, leżących luzem i pozbawionych jakiegokolwiek oprawy. Oczywiście, posiadanie klejnotów rodzinnych przez rodzinę Ogilvie jest całkiem naturalne; ale wszystkie one należą akurat do tego rodzaju drogich kamieni, jakimi zwykle wysadza się konkretne ozdobne przedmioty. Wygląda na to, że państwo Ogilvie trzymali je po kieszeniach jak miedziaki.

Punkt drugi: całe sterty tabaki, nie w rożku ani nawet w kapciuchu, ale leżące luzem na parapecie kominka, na kredensie, na fortepianie, dosłownie wszędzie. Wygląda to tak, jakby stary gentleman nie chciał się trudzić sięganiem do kieszeni albo podnoszeniem wieczka.

Punkt trzeci: w kilku miejscach dziwne małe kupki maleńkich części metalowych, czasem w formie stalowych sprężyn, a czasem miniaturowych kółek. Jakby ktoś

wybebeszył nakręcaną zabawkę.

Punkt czwarty: świece woskowe, które trzeba wtykać do butelek, bo nie ma w czym ich osadzić. Proszę zauważyć, że jest to o wiele dziwniejsze od wszystkiego, czegośmy się spodziewali. Na najważniejszą zagadkę byliśmy przygotowani; wszyscy na pierwszy rzut oka widzieli, że z ostatnim hrabią Glengyle było coś nie tak. Zjawiliśmy się tu, żeby się przekonać, czy hrabia rzeczywiście tu mieszkał i czy rzeczywiście tu umarł, i czy ten rudy strach na wróble, który go pochował, miał z jego śmiercią coś wspólnego. Ale nawet zakładając najgorsze, najbardziej ponure albo melodramatyczne rozwiązanie zagadki – że służący naprawdę zabił dziedzica albo że dziedzic tak naprawdę nie umarł, albo że przebrał się za służącego, albo że służący został pochowany zamiast dziedzica – nawet wymyślając najokropniejszą tragedię, jakiej nie powstydziliby się Wilkie Collins, nadal nie będziemy potrafili wyjaśnić świec bez świecznika albo tabaki, którą starszy gentleman z dobrej rodziny zwyczajowo rozsypywał na fortepianie. Potrafimy sobie wyobrazić *clou* tej historii; zagadkowe są jej obrzeża. Nawet największy wysiłek ludzkiej wyobraźni nie zdoła powiązać tabaki, brylantów, wosku i kółek zębnych.

– Zdaje się, że widzę pewne powiązanie – zauważył ksiądz Brown. – Ten Glengyle był zagorzałym przeciwnikiem rewolucji francuskiej. Jako entuzjasta *ancien régime'u* starał się dosłownie odtworzyć życie codzienne ostatnich Burbonów. Gromadził tabakę, bo była osiemnastowiecznym luksusem; świece woskowe, bo takie było wtedy oświetlenie; metalowe części mechanizmów to odzwierciedlenie ślusarskich zainteresowań Ludwika XVI; brylanty zaś to symbol brylantowego naszyjnika Marii Antoniny.

Dwaj pozostali przyglądali się mu okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Co za absolutnie niezwykły pomysł! – wykrzyknął Flambeau. – Czy naprawdę myślisz, że to prawda?

– Jestem całkowicie przekonany, że tak nie jest – odpowiedział ksiądz Brown – ale powiedzieliście, że nikt nie potrafi powiązać tabaki, brylantów, kółek metalowych i świec. Znalazłem taki związek na poczekaniu. Nie wątpię jednak, że prawda leży o wiele głębiej.

Urwał i przez chwilę słuchał wiatru wyjącego wśród baszt. Potem powiedział:

– Hrabia Glengyle był złodziejem. Prowadził drugie, sekretne życie jako groźny włamywacz. Nie miał lichtarzy, bo świece ciął na małe kawałki i wstawiał je wyłącznie do noszonej ze sobą latarni. Tabaki używał tak, jak najgroźniejsi francuscy przestępcy używali pieprzu: jej gęstą chmurę rzucał niespodziewanie w twarz aresztujących lub ścigających go ludzi. Ale ostatecznym dowodem jest dziwna zbieżność brylantów i małych, stalowych kółek. Teraz chyba wszystko powinno być jasne? Brylanty i stalowe kółeczka to jedyne przedmioty, którymi można ciąć szkło.

Gałąź złamanej sosny głośno chłostała szybę za ich plecami, jakby parodiując włamywacza, ale nikt się nie obejrzał. Oczy detektywów utkwione były w księdzu Brownie.

– Brylanty i kółeczka – powtórzył w zamyśleniu Craven. – Czy tylko dlatego uważa ksiądz to wyjaśnienie za prawdziwe?

– Wcale nie uważam tego wyjaśnienia za prawdziwe – odparł duchowny z niezmaconym spokojem – ale powiedzieliście, że nikt nie potrafi powiązać tych czterech

rzeczy. Prawdziwa historia jest oczywiście o wiele bardziej przyjemna. Glengyle znalazł, albo zdawało mu się, że znalazł, drogie kamienie w swojej posiadłości. Ktoś zamącił mu w głowie tymi brylantami, mówiąc, że znaleziono je w jaskiniach pod zamkiem. Te metalowe kółka mają coś wspólnego z cięciem diamentów. Glengyle musiał to robić w bardzo prymitywny sposób, z pomocą kilku pasterzy albo prostych mieszkańców tych gór. Tabaka to jedyny luksus takich szkockich pasterzy; jedyne, czym można ich przekupić. Nie mieli świeczników, bo ich nie potrzebowali; badając jaskinie, trzymali świece w rękach.

– To wszystko? – spytał Flambeau po dłuższej chwili milczenia. – Czy wreszcie dotarliśmy do smutnej prawdy?

– O, nie – odparł ksiądz Brown.

Gdy wiatr zamarł na chwilę w głębi sosnowych borów z przeciągłym jękiem jakby szyderczego śmiechu, ksiądz Brown, z całkiem beznamiętną miną, ciągnął dalej:

– Zaproponowałem to tylko dlatego, że waszym zdaniem nikt nie potrafi przekonująco powiązać tabaki i kółek zębatych czy też świec i brylantów. Jak dziesięć fałszywych filozofii pasuje do zagadki wszechświata, tak dziesięć fałszywych teorii pasuje do zagadki zamku Glengyle. My jednak chcemy znaleźć prawdziwe rozwiązanie zagadki i zamku, i wszechświata. Ale czy nie ma już żadnych innych eksponatów?

Craven roześmiał się, a Flambeau z uśmiechem podniósł się z miejsca i ruszył niespiesznie wzdłuż stołu.

– Mamy punkt piąty, szósty, siódmy i tak dalej – powiedział – wszystko bardziej różnorodne niż pouczające. Dziwna kolekcja: nie ołówki, tylko grafity z ołówków. Bezużyteczna bambusowa laska z ostro ułamanym końcem. Mogłaby być narzędziem zbrodni, tylko że nie ma żadnej zbrodni. Pozostałe przedmioty to kilka starych mszałów i katolickich obrazków, które jak sądzę przechowywane były w rodzinie od średniowiecza – honor rodziny Ogilvie był silniejszy niż jej purytanizm. Umieściliśmy je w naszym muzeum tylko dlatego, że wyglądają na dziwnie pocięte i oszpecone.

Srożąca się na zewnątrz burza przygnała nad Glengyle straszliwe zwały chmur; długi pokój pograżył się w mroku akurat w chwili, gdy ksiądz Brown podnosił do oczu małe, iluminowane stronicę. Zanim przelotna ciemność minęła, przemówił – jego głos był jednak głosem zupełnie nowego człowieka.

– Panie Craven – odezwał się jak człowiek młodszy o dziesięć lat – ma pan urzędowy nakaz zbadania grobu, prawda? Im szybciej to zrobimy i dokopujemy się wreszcie do sedna sprawy, tym lepiej. Na pana miejscu ruszyłbym teraz.

– Teraz? – powtórzył zaskoczony detektyw. – Ale dlaczego teraz?

– Bo sprawa jest poważna – odparł ksiądz Brown. – To już nie rozsypana tabaka albo luźne kamyki, które mogą tu być ze stu różnych powodów. Jest tylko jeden powód, dla którego robi się takie rzeczy; powód, który sięga fundamentów świata. Te wizerunki nie zostały podarte, zabazgrane albo ubrudzone, jak mogłoby to zrobić gorliwi protestanci albo nudzące się dzieci. Potraktowano je bardzo skrupulatnie i to w bardzo niezwykły sposób. Wszędzie tam, gdzie w starych iluminowanych tekstach widniało wielkie, ozdobne imię Boga, pracowicie je usunięto. Poza nim znikła jedynie aureola wokół głowy Dzieciątka Jezus. Dlatego mówię: bierzmy ten nakaz, szpadel i siekiere, i chodźmy rozbić

tę trumnę.

– Ale o co właściwie księdzu chodzi? – nie ustępował londyński policjant.

– Chodzi mi o to – odrzekł mu mały ksiądz podnosząc głos, jakby chciał przekrzyczeć wicher – chodzi o to, że być może największy diabeł wszechświata siedzi w tej chwili na szczycie tego zamku, wielki jak setka słoni i grzmiący jak apokalipsa. U podstaw tego wszystkiego musi się kryć czarna magia.

– Czarna magia – powtórzył cicho Flambeau, był bowiem zbyt oświeconym człowiekiem, by nie mieć pojęcia o tego typu sprawach. – Ale co może oznaczać reszta tych przedmiotów?

– Ach, pewnie coś nikczemnego – odparł niecierpliwie ksiądz Brown. – Skąd mam to wiedzieć? Jak mam się rozeznąć w ich podziemnych labiryntach? Może z tabaki i bambusa można zrobić narzędzie tortur? Może wariaci pożądamy wosku i stalowych kółek? Może z wkładów do ołówków można sporządzić odurzający narkotyk? Najkrótsza droga do rozwiązania tej zagadki wiedzie pod górę, na cmentarz!

Jego towarzysze nie do końca zdawali sobie sprawę, że usłuchali go i poszli za nim, dopóki podmuch nocnego wiatru w ogrodzie omal nie przygiął ich twarzami do ziemi. Mimo to byli mu posłuszni jak automaty; Craven stwierdził ze zdziwieniem, że ma w dłoni siekiere, a w kieszeni nakaz sądowy; Flambeau dźwigał ciężki szpadel dziwnego ogrodnika; ksiądz Brown natomiast dzierżył małą pozłacaną książeczkę, z której wydarto imię samego Boga.

Ścieżka wiodąca pod górę na cmentarz była kręta, lecz krótka; pod wiatr wydawała się jednak długa i uciążliwa. Jak okiem sięgnąć, coraz szerzej i szerzej, w miarę jak wspinali się na grzbiet wzgórze, otwierały się kolejne morza sosen, pochylonych teraz w jedną stronę pod naporem wichury. Ten zgodny gest wydawał się tyleż olbrzymi, co bezcelowy; tak bezcelowy, jakby wiatr dął nad powierzchnią jakiejś niezamieszkaną, jałowej planety. W nieskończonej gęstwinie szaroniebieskich lasów odzywał się wysoki, dojmujący ton owego pradawnego smutku, który przenika do głębi wszystko, co pogańskie. Mogło się wydawać, że głosy dobiegające spod powierzchni niezgłębionego morza zieleni są wołaniem zbłąkanych, zgubionych pogańskich bogów, którzy z bezcelowej włóczędzy po tym irracjonalnym lesie już nigdy nie trafią z powrotem do nieba.

– Widzicie – powiedział ksiądz Brown cichym, ale spokojnym głosem – ci Szkoci, zanim powstała Szkocja, byli osobliwym narodem. Właściwie nadal są osobliwi. Ale wydaje mi się, że w czasach przedhistorycznych naprawdę czcili demony. To dlatego – dodał wyrozumiale – tak ochoczo przyjęli purytańską teologię.

– Mój przyjacielu – odezwał się Flambeau, odwracając się jakby w przypływie nagłej furii – ale co ma oznaczać cała ta tabaka?

– Mój przyjacielu – odparł równie poważnie ksiądz Brown – jest tylko jedna oznaka wszystkich prawdziwych religii: materializm. Otóż kult diabła to całkiem prawdziwa religia.

Osiągnęli wreszcie łyse sklepienie wzgórze, jedno z niewielu trawiastych miejsc wolnych od trzeszczącego, huczącego lasu. Rachityczne ogrodzenie zrobione częściowo z drewna, a częściowo z drutu, klekotało targane burzą, jakby chciało ich ostrzec, że

znaleźli się na granicy cmentarza. Ale zanim inspektor Craven doszedł do narożnika grobu, a Flambeau wbił swój szpadel w ziemię i oparł się na nim, obaj drżeli już tak samo jak rozklekotane ogrodzenie. U stóp grobu rosły wysokie, rozłożyste osty, szare i srebrzyste ze starości. Raz czy drugi, kiedy kłębek puchu porwany wiatrem z krzaka ostu przeleciał tuż koło Cravena, detektyw podskoczył tak, jakby to była strzała.

Flambeau wbił ostrze szpadla między świszczące żdźbła trawy, w wilgotną glinę pod nimi. Potem znieruchomiał i oparł się na szpadlu jak na lasce.

– No, dalej – zachęcił go bardzo łagodnie ksiądz Brown. – Próbujemy tylko dotrzeć do prawdy. Czego się obawiasz?

– Obawiam się ją znaleźć – odparł Flambeau.

Detektyw z Londynu zapiał nagle wysokim, kogucim głosem, który w zamierzeniu mówiącego miał brzmieć jak początek wesolej rozmowy:

– Ciekawe, dlaczego naprawdę tak się ukrywał. Pewnie było w nim coś odrażającego; może był trędowaty?

– Gorzej – powiedział Flambeau.

– Potrafi pan – nalegał tamten – wyobrazić sobie coś gorszego niż trąd?

– Nawet nie próbuję – odparł Flambeau.

Przez kilka okropnych minut kopał w milczeniu, a potem powiedział stłumionym głosem:

– Boję się, że będzie miał jakiś zły kształt.

– Tamta kartka papieru też miała zły kształt – powiedział cicho ksiądz Brown – ale jakoś udało się nam to przetrwać.

Flambeau kopał dalej ze ślepą energią. Burza zdążyła jednak rozgonić duszące szare chmury, które czepiały się wzgórz jak dym, i zobaczyć szare połacie rozgwieżdżonego nieba, zanim udało mu się odsłonić kształt surowej, drewnianej trumny, którą zdołali jakoś wywindować na trawę. Craven wystąpił naprzód z siekierą w ręce; wzdrygnął się, gdy dotknęła go lekko główka ostu. Potem zrobił bardziej zdecydowany krok i z tą samą energią rąbał i szarpał, dopóki wieko nie odskoczyło i wszystko, co było pod nim, nie załśniło w świetle gwiazd.

– Kości – stwierdził Craven. – Ale to człowiek – dodał, jakby spodziewał się czegoś innego.

– Czy on – spytał Flambeau głosem, który dziwnie wznosił się i opadał – czy on wygląda normalnie?

– Chyba tak – odparł oficer ochryple, nachylając się nad niewyraźnymi, rozkładającymi się szczątkami. – Chwileczkę.

Głębokie westchnienie wstrząsnęło potężną postacią Flambeau.

– Właściwie, jeśli się zastanowić – zawołał – to w imię jakiego obłędu miałyby wyglądać nienormalnie? Co takiego rzuca się na mózg człowiekowi w tych przeklętych, północnych górach? Może ta mroczna, bezmózga powtarzalność; wszystkie te lasy, a nad nimi pradawny lęk nieświadomości. Coś jak sen ateisty: sosny, i więcej sosen, miliony kolejnych sosen...

– Boże! – wykrzyknął mężczyzna nad trumną. – Ależ on nie ma głowy!

Zastygli w bezruchu, tylko ksiądz po raz pierwszy drgnął w nagłym

zaniepokojeniu.

– Nie ma głowy! – powtarzał. – Nie ma **głowy**? – Zupełnie jakby spodziewał się jakiejś innej deformacji.

Przed ich oczami przesunęła się panorama nedorzeczných wizji – bezgłowego dziecka rodzącego się hrabiemu Glengyle; bezgłowego młodzieńca ukrywającego się na zamku; bezgłowego mężczyzny przechadzającego się po prastarych komnatach lub zjawiskowym ogrodzie. Ale nawet, gdy tak zastygli na chwilę, opowieść ta nie zakorzeniła się w ich myślach i wydała się im pozbawiona rozsądku. W osłupieniu, jak zmęczone zwierzęta, wsłuchiwali się w świszczące niebo i huczący las. Myśl stała się nagle czymś olbrzymim, czego nie mogli uchwycić.

– Trzej ludzie potracili głowy – odezwał się wreszcie ksiądz Brown – stojąc nad pustym grobem.

Błady detektyw z Londynu otworzył usta, by coś powiedzieć i zamarł z miną zdumionego kmiotka, gdy niebo rozdarł kolejny przeciągły jęk; potem spojrzął na siekiere w swoich rękach, jakby nie należała do niego, i upuścił ją na ziemię.

– Ojciec – przemówił Flambeau poważnym, dziecięcym głosem, który rzadko można było u niego usłyszeć – co mamy robić?

Odpowiedź jego przyjaciela zabrzmiała jak prędkie, wstrzymywany do tej pory strzał z pistoletu.

– Spać! – wykrzyknął ksiądz Brown. – Spać! Doszliśmy do końca drogi. Czy wiecie, czym jest sen? Czy wiecie, że we śnie wszyscy wierzymy w Boga? Sen to sakrament, bo to akt wiary i pożywienie. A my potrzebujemy sakramentu, choćby naturalnego. Przytrafiło się nam coś, co bardzo rzadko przytrafia się człowiekowi; być może coś najgorszego, co może go spotkać.

Otwarte usta Cravena zamknęły się, by sformułować pytanie:

– O czym ksiądz mówi?

Duchowny odwrócił twarz w kierunku zamku i odpowiedział:

– Odkryliśmy prawdę, i prawda okazała się bezsensowna.

Ruszył przodem, podążając ścieżką w dół tak zamaszyście i niedbale jak nigdy, a kiedy dotarli z powrotem do zamku, zapadł w sen łatwo jak pies.

Pomimo mistycznej pochwały snu, ksiądz Brown wstał najwcześniej ze wszystkich, jeśli nie liczyć milczącego ogrodnika; znaleźli go w warzywniku, palącego dużą fajkę i przyglądającego się niemej robocie tego fachowca. Szalona wichura skończyła się przed świtem ogłuszającą ulewą i dzień wstał dziwnie odświeżony. Detektywom zdawało się nawet, że ogrodnik do tej pory uczestniczył w rozmowie, ale na ich widok wbił ponuro szpadel w jedną z grządek i mamrocząc coś o śniadaniu, powędrował wzdłuż zagonu kapusty, aż wreszcie znikł w kuchni.

– Nieoceniony człowiek – zauważył ksiądz Brown – doskonale uprawia ziemniaki. Chociaż – dodał z beznamietną pobłażliwością – ma swoje wady; kto z nas ich nie ma? Nie kopie tej grządki zbyt systematycznie. Na przykład tutaj – powiedział, tupnąwszy niespodziewanie w ziemię. – Ten ziemniak budzi moje wątpliwości.

– Ale dlaczego? – spytał Craven, rozbawiony dziwnym hobby niskiego księdza.

– Budzi moje wątpliwości – wyjaśnił tamten – bo stary Gow także je miał.

Sumiennie wbijał szpadel wszędzie, tylko nie tu. W tym miejscu musi być jakiś wyjątkowy ziemniak.

Flambeau wyciągnął szpadel z ziemi i z impetem wbił go we wskazane miejsce. Wydobył coś pokrytego warstwą ziemi, co nie wyglądało jak ziemniak, ale raczej jak monstrialny grzyb o przerośniętym kapeluszu. Pod uderzeniem szpadla wydał on jednak zimny szcęk, potoczył się jak piłka i wyszczerzył do nich zęby w uśmiechu.

– Hrabia Glengyle – stwierdził smutno ksiądz Brown i spojrzał poważnie na leżącą przed nim czaszkę.

Potem, po chwili zastanowienia, wziął szpadel z rąk Flambeau i ze słowami:

– Musimy ją znowu ukryć – zakopał czaszkę z powrotem.

Następnie wsparł swe niewielkie ciało i dużą głowę na potężnym stylisku szpadla tkwiącego sztywno w ziemi; patrzył przed siebie pustym wzrokiem, a czoło miał zmarszczone.

– Gdyby tylko udało się pojąć – mruczał – sens tej ostatniej potworności. – I trzymając ręce na długim trzonku szpadla, oparł czoło na dłoniach, jak to robią ludzie w kościele.

Wszystkie krańce nieba rozjaśniały się, przechodząc w srebro i błękit; ptaki szczebiotały w gałęziach ogrodowych drzewek tak głośno, jakby to same drzewa mówiły. Ale trzech mężczyźni stali w zupełnym milczeniu.

– No, ja w każdym razie się poddam – odezwał się w końcu gromko Flambeau. – Mój mózg i ten świat nie pasują do siebie, i na tym koniec. Tabaka, zniszczone modlitewniki, wypatroszone pozytywki... co...

Ksiądz Brown podniósł zatroskane czoło i zastukał palcami w trzonek szpadla z niezwykłym dla siebie brakiem tolerancji.

– Nie, nie, nie, nie! – zawołał. – Tamto jest jasne jak słońce. Zrozumiałem znaczenie tabaki, kółek i tego wszystkiego, kiedy tylko otworzyłem oczy dziś rano. Zdażyłem to już wygarnąć staremu Izraelowi, który nie jest ani tak głuchy, ani tak głupi, jak udaje. Nie ma nic niezwykłego w tych luźnych przedmiotach. Co do książeczki też nie miałem racji; to nic groźnego. Ale ta ostatnia sprawa... Profanacja grobów i kradzież głów zmarłych – w tym chyba jest coś groźnego? Jest w tym jakaś czarna magia, prawda? To nie pasuje do tej prostej historii z tabaką i świecami.

Znów zaczął przechadzać się po ogrodzie, pykając w zamyśleniu fajkę.

– Mój przyjacielu – odezwał się Flambeau w przypływie wisielczego humoru – musisz mieć wzgląd na mnie i pamiętać, że byłem kiedyś przestępcą. Wielką zaletą tego stanu było to, że to ja zawsze wymyślałem historie, a potem wcielałem je w życie tak szybko, jak mi się podobało. To ciągle czekanie, które należy do obowiązków detektywa, przerasta możliwości takiego porywczego Francuza jak ja. Całe życie, na dobre i złe, zawsze działałem pod wpływem chwili; pojedynkowałem się następnego ranka; płaciłem rachunki od ręki; nigdy nie odkładałem wizyt u dentysty...

Fajka wypadła z ust księdza Browna i pękła na żwirowej ścieżce na trzy kawałki. Duchowny stał, przewracając oczami jak doskonała podobizna kretyna.

– Boże, ależ głęb ze mnie! – powtarzał w kółko. – Boże, ależ głęb!

A potem zaczął się śmiać, jakby miał lekko w czubie.

– Dentysta! – mówił dalej do siebie. – Sześć godzin w duchowej otchłani, a wszystko dlatego, że nie pomyślałem o dentyście! Jaka to prosta, piękna i spokojna myśl! Przyjaciele, spędziliśmy noc w piekle; ale teraz słońce wstało, ptaki śpiewają i promienna postać dentysty pociesza cały świat.

– Dowiem się, co to wszystko znaczy – zawołał Flambeau, robiąc krok naprzód – nawet jeśli będę musiał stosować tortury jak inkwizycja.

Ksiądz Brown opanował jakby nagłą chęć puszczenia się w tany na zalanym słońcem trawniku i zawołał żałośnie jak dziecko:

– Och, pozwólcie mi na odrobinę szaleństwa! Nie wiecie, jak byłem nieszczęśliwy. Ale teraz wiem, że w całej tej sprawie nie było wielkiego grzechu. Było może niewielkie szaleństwo, ale kto by się tym przejmował?

Określił się jeszcze raz w kółko, a potem spojrzął na nich z powagą.

– To nie jest historia zbrodni – powiedział – raczej historia dziwnej, spaczony ucziwości. Być może mamy tu do czynienia z jedynym człowiekiem na ziemi, który wziął tylko to, co mu się należało. To przykład barbarzyńskiej życiowej logiki, która jest religią tego ludu.

Ten stary wierszyk powtarzany w okolicy o rodzie Glengyle:

Czym sok zielony dla drzewa młodego,

Tym złoto czerwone dla pana hrabiego,

miał znaczenie nie tylko przenośne, ale i dosłowne. Nie oznaczał on jedynie, że panowie na zamku Glengyle pragną się bogacić. Prawdą było również to, że dosłownie gromadzili oni złoto; mieli olbrzymią kolekcję ozdób i sprzętów z tego metalu. Byli w rzeczywistości skąpcami, których mania objawiała się w ten szczególny sposób. Wiedząc o tej rzeczywistości, przebiegnijcie teraz myślą owe dziwne znaleziska na zamku. Brylanty bez złotych pierścieni; świece bez złotych świeczników; tabaka bez złotych tabakier; grafity do ołówków bez złotych oprawek; bambusowa laska bez złotej gałki; mechanizmy zegarowe bez złotych zegarów, a raczej zegarków. I choć to zakrawa na szaleństwo, także aureole i imię Boga w starych mszalikach, jako pokryte prawdziwym złotem, zostały usunięte.

Ogród poweselał, a trawa jakby się ożywiła w mocniejszych promieniach słońca po ujawnieniu tej szalonej prawdy. Flambeau zapalił papierosa, a jego przyjaciel mówił dalej.

– Zostały usunięte – ciągnął ksiądz Brown – zostały usunięte, ale nie ukradzione. Złodzieje nigdy nie zostawiliby nam tej zagadki. Złodzieje zabraliby złote tabakiery razem z tabaką i złote oprawki razem z grafitami do ołówków. Mamy do czynienia z człowiekiem bardzo osobliwego, ale jednak sumienia. Spotkałem tego szalonego moralistę tego ranka w warzywniku i od niego usłyszałem całą tę historię.

Świętej pamięci Archibald Ogilvie wśród wszystkich urodzonych na zamku Glengyle najbardziej zasługiwał na miano dobrego człowieka. Jednak surowa prawda jego charakteru przybrała formę mizantropii; zamartwiał się nieuczciwością swoich przodków i na jej podstawie doszedł do uogólniającego wniosku o nieuczciwości

wszystkich ludzi. Nie ufał zwłaszcza filantropii, czyli darmowej pomocy; poprzysiął sobie, że jeśli znajdzie jednego człowieka, który będzie brał dokładnie tyle, ile mu się należy, odda mu całe złoto Glengyle. Wygłosiwszy to wyzwanie pod adresem ludzkości, zamknął się w zamku, nie spodziewając się żadnej odpowiedzi. Pewnego dnia jednak głuchy i na pozór nierozgarnięty chłopak z odległej wioski przyniósł mu spóźniony telegram; lord Glengyle, z kostyczną uprzejmością, dał mu nowiutkie ćwierć pensa. W każdym razie wydawało mu się, że to zrobił, bo kiedy zajrzał do kieszeni, stwierdził, że ćwierć pensa nadal tam spoczywa, natomiast brak w niej jednego suwerena. Ten przypadek otworzył przed nim niekończące się perspektywy złośliwej spekulacji. Chłopak musi, tak czy inaczej, dać dowód brudnej chciwości całego rodzaju ludzkiego. Albo zniknie jako złodziej, który ukradł monetę, albo wróci z nią jako świętoszkowaty snob oczekujący nagrody. W środku nocy lorda Glengyle wyrwało z łóżka pukanie do drzwi; jako że mieszkał samotnie, zmuszony był sam otworzyć głuchemu półgłówkowi. Półgłówek miał ze sobą nie suwerena, tylko dokładnie dziewiętnaście szylingów, jedenaście pensów i trzy ćwierćpensówki reszty.

Szalona dokładność jego zachowania owładnęła umysłem obłąkanego dziedzica jak pożar. Przysiągł, że jest nowym Diogenesem; że długo szukał jednego uczciwego człowieka i wreszcie go znalazł. Sporządził nowy testament, który miałem okazję widzieć. Przyjął skrupulatnego młodzieńca do wielkiego, zaniedbanego domu i uczynił go swoim jedynym służącym, a także – na swój sposób – dziedzicem. Niezależnie od tego, ile to dziwne stworzenie pojmuję, udało mu się doskonale pojąć dwa niezachwiane przekonania swego pana: po pierwsze, że litera prawa jest naprawdę wszystkim, a po drugie, że całe złoto Glengyle ma należeć do niego. Jak dotąd wszystko jest całkiem proste. Gow odarł dom ze złota i nie wziął ani odrobiny niczego, co nie było złotem – nawet szczypty tabaki. Zdjął złotą folię ze starych iluminacji, całkowicie zadowolony, że resztę pozostawił bez szwanku. To wszystko potrafiłem zrozumieć, ale nie mogłem pojąć tej afery z czaszką. Naprawdę niepokoiła mnie ta ludzka głowa zakopana pośród ziemniaków. Denerwowałem się tym aż do czasu, kiedy Flambeau wypowiedział to zbawienne słowo. Teraz wszystko będzie dobrze. Izrael Gow odniesie czaszkę do grobu, kiedy tylko wyjmie z zęba złotą plombę.

I rzeczywiście, kiedy Flambeau przechodził tego ranka przez wzgórze, zobaczył tę dziwną istotę – sprawiedliwego skąpca – jak odziany w łopoczący na wietrze pled, rozkopywał zbezczeszczony grobowiec. Na jego głowie widniał prozaiczny cylinder.

ZŁY KSZTAŁT

Niektóre główne drogi wychodzące z Londynu na północ biegną dalej przez wiejskie okolice jako swego rodzaju rozwlekle, fragmentaryczne widma ulic, z wielkimi przerwami w linii zabudowy, ale z zachowaniem ciągłości kierunku. Najpierw napotykamy przy nich kilka sklepów, dalej ogrodzone pole lub padok, potem jakąś słynną gospodę, z kolei może ogród warzywny albo szkółkę ogrodniczą, następnie duży prywatny dom, a dalej kolejne pole i kolejną gospodę, i tak dalej. Każdy, kto wybierze się na przechadzkę jedną z tych dróg, minie po drodze dom, który zapewne zwróci jego uwagę, chociaż sam przechodzień nie będzie umiał wyjaśnić, dlaczego. Dom ten, długi i niski, stojący równolegle do drogi i pomalowany głównie na biało i bladozielono, ma werandę i okiennice, a także wejścia osłonięte tymi osobliwymi, przypominającymi drewniane parasole zadaszeniami, jakie widuje się czasem w staroświeckich domach. Jest to bowiem w istocie dom staroświecki, bardzo angielski i bardzo podmiejski – w starym, dobrym stylu bogatego przedmieścia Clapham. A jednak wygląda on tak, jakby zbudowano go głównie z myślą o upalnej pogodzie. Jego białe ściany i okiennice przywodzą na myśl hełmy tropikalne z plisowanymi wstążkami, a nawet kapelusze z palmowych liści. Nie wiem dokładnie, skąd bierze się to wrażenie; być może dom ten został zbudowany przez Anglika z Indii.

Powiadam jednak, że każdy, kto mijalby ten dom, byłby nim podświadomie zafascynowany; miałby wrażenie, że z tym miejscem musi się wiązać jakaś historia. I miałby rację, jak to się wkrótce okaże. Bowiem to właśnie jest owa historia – historia dziwnych wydarzeń, które rzeczywiście miały miejsce w tym domu w okolicach Zielonych Świątek roku tysiąc osiemset...

Każdy, kto mijalby ten dom w czwartek przed Zielonymi Świątkami około czwartej trzydzieści po południu, zobaczyłby, jak jego frontowe drzwi otwierają się i wychodzi z nich ksiądz Brown z małego kościółka św. Mungo, pałacy dużą fajkę, w towarzystwie przyjaciela, bardzo wysokiego Francuza o imieniu Flambeau, pałacego bardzo małego papierosa. Osoby te mogą być interesujące dla czytelnika lub nie, ale w rzeczywistości nie były one jedynym ciekawym obiektem, jaki ukazałby się oczom przechodnia w otwartych frontowych drzwiach biało-zielonego domu. Dom ten posiadał jeszcze inne osobliwości, które należy opisać na samym początku, nie tylko po to, by czytelnik mógł zrozumieć tę dramatyczną opowieść, ale także by mógł sobie wyobrazić, co takiego było widać przez otwarte drzwi.

Otóż cały dom zbudowany był na planie litery T, ale była to litera T z bardzo długą poprzeczką i bardzo krótkim ogonkiem. Długą poprzeczkę stanowiła część frontowa, stojąca wzdłuż ulicy, z drzwiami wejściowymi pośrodku; miała ona piętro i mieściła prawie wszystkie ważniejsze pokoje. Krótki ogonek zaś, wychodzący z tyłu budynku dokładnie vis-à-vis frontowego wejścia, był parterowy i składał się tylko z dwóch przechodnich pokoi. Pierwszym z nich był gabinet, w którym słynny pan Quinton pisał swoje szalone wschodnie romanse i poematy. Drugim pomieszczeniem była oranżeria pełna tropikalnych, niemal monstrialnych kwiatów zupełnie wyjątkowej urody, w popołudnia takie jak to rozświetlona zachwycającym blaskiem słońca. Dlatego, gdy

frontowe drzwi domu otwierały się, liczni przechodnie dosłownie stawali jak wryci i gapili się, wzdychając z zachwytem; w amfiladzie bogato urządzonych pokoi dostrzegali bowiem jakby scenę czarodziejskiej przemiany z baśniowego przedstawienia o wrózkach: fioletowe obłoki, złote słońca i szkarłatne gwiazdy zdawały się przeszywająco wyraźne, a zarazem dalekie i przejrzyste.

Leonard Quinton, poeta, sam zaaranżował ten efekt z największą troskliwością; należy wątpić, czy którykolwiek z jego wierszy równie doskonale wyrażał jego osobowość. Był to bowiem człowiek, który chłonał kolory i lubował się w nich; który folgował swojej pasji do barw z niejakim zaniedbaniem formy – a nawet z zaniedbaniem form towarzyskich. Dlatego zwrócił swój geniusz tak całkowicie ku sztuce i symbolice Wschodu; ku tym oszalamiającym dywanom lub olśniewającym haftom, których wszystkie kolory składają się na zgrabny chaos, nieprzedstawiający i nieuczący niczego. Quinton próbował, nie osiągając może całkowitego sukcesu artystycznego, ale z godną uznania wyobraźnią i pomysłowością, układać eposy i romanse odzwierciedlające orgię mocnych, a nawet drapieżnych kolorów; historie pod tropikalnym niebem z lśniącego złota i krwistoczerwonej miedzi; historie o wschodnich herosach w mitrach ozdobionych dwunastoma zawojami, na słońcach barwy fioletu i pawiej zieleni; historie o gigantycznych klejnotach, niemożliwych do udźwignięcia przez stu czarnoskórych, ale płonących odwiecznym, różnobarwnym ogniem.

Krótko mówiąc (aby przedstawić tę sprawę z bardziej pospolitego punktu widzenia), handlował on głównie wschodnimi rajami, przeważnie gorszymi od większości zachodnich piekieł, wschodnimi monarchami, których być może uznalibyśmy za maniaków, oraz wielkimi wschodnimi klejnotami, których jubiler z Bond Street (gdyby stu czarnoskórych wtaszczyło je na chwiejnych nogach do jego sklepu) mógłby nie uznać za prawdziwe. Quinton był geniuszem, nawet jeśli był to geniusz chorobliwy, a chorobliwość ta objawiała się wyraźniej w życiu niż w dziełach poety. Charakter miał słaby i kaśliwy, a zdrowie poważnie nadszarpnięte egzotycznymi eksperymentami z opium. Jego żona – przystojna, zapracowana, a właściwie przepracowana kobieta – protestowała przeciwko opium, ale o wiele głośniej protestowała przeciwko żywemu hinduskiemu pustelnikowi w biało-żółtych szatach, którego jej mąż upierał się gościć przez wiele miesięcy jako swego Wergiliusza, który miał poprowadzić jego duszę przez wschodnie raje i piekła.

Z tego właśnie artystycznego domostwa wyszli ksiądz Brown i jego przyjaciel, a sądząc po ich twarzach, zrobili to z wielką ulgą. Flambeau znał Quintona z szalonych studenckich lat w Paryżu i odnowił tę znajomość na jeden weekend; ale pomijając nawet niedawną przemianę Flambeau w człowieka bardziej godnego zaufania, detektyw nie dogadywał się ostatnio za dobrze z poetą. Jego zdaniem gentleman nie powinien iść do diabła krztusząc się opium i pisząc drobne erotyki na pergaminie. Właśnie w chwili, gdy dwaj przyjaciele zatrzymali się na progu, zamierzając wyruszyć na przechadzkę po ogrodzie, frontowa furtka otwarła się z trzaskiem i młody człowiek w zsuniętym na tył głowy meloniku wbiegł pośpiesznie po schodach, przeskakując po parę stopni. Był to młodzieniec o wyglądzie hulaki, w olśniewająco czerwonym krawacie, przekrzywionym tak, jakby w nim spał, wywijający nerwowo cienką bambusową laseczką.

– Ej – odezwał się zdyszany – chcę się zobaczyć ze starym Quintonem. Muszę się z nim zobaczyć. Nie ma go?

– Zdaje się, że pan Quinton jest w domu – odparł ksiądz Brown, wystukując fajkę – ale nie wiem, czy będzie się pan mógł z nim zobaczyć. W tej chwili jest u niego lekarz.

Młody człowiek, który wyglądał na nie całkiem trzeźwego, wtoczył się do przedpokoju; w tej samej chwili z gabinetu Quintona wyszedł lekarz, który zamknął za sobą drzwi i zaczął zakładać rękawiczki.

– Widzieć się z panem Quintonem? – odezwał się chłodno. – Nie, obawiam się, że nie może pan. Właściwie nie wolno panu, pod żadnym pozorem. Nikomu nie wolno tam wchodzić; właśnie podałem mu środek nasenny.

– Ale posłuchaj, stary – zaprotestował młodzieniec w czerwonym krawacie, próbując poufale złapać doktora za poły marynarki. – Słuchaj, wszystko mam zapięte na ostatni guzik, powiadam ci. Ja...

– Nic pan nie wskóra, panie Atkinson – odpowiedział doktor, zmuszając rozmówcę do wycofania się – jeśli potrafi pan zmienić działanie środka nasennego, ja zmienię swoją decyzję. – I włożywszy kapelusz, wyszedł za pozostałą dwójką na słońce. Był to spokojny, niewysoki mężczyzna o byczym karku, z małym wąsem, niewymownie zwyczajny, ale robiący wrażenie kompetentnego.

Młody człowiek w meloniku, który najwyraźniej nie miał lepszego pomysłu na taktowne obchodzenie się z ludźmi niż chwytywanie ich za ubrania, stał za drzwiami tak oszołomiony, jakby fizycznie wyrzucono go z domu i patrzył, jak pozostała trójka oddala się w głąb ogrodu.

– To, co przed chwilą powiedziałem, to było kłamstwo jak się patrzy – zauważył ze śmiechem adept medycyny. – Tak naprawdę biedny Quinton dostanie środek nasenny dopiero za pół godziny. Ale nie pozwolę, żeby zamęczał go ten bydlak, który chce tylko pożyczać pieniądze, a potem jak może unika ich oddawania. To nędzny łachudra, chociaż jest bratem pani Quinton, a ona jest najwspanialszą kobietą pod słońcem.

– Tak – potwierdził ksiądz Brown – to dobra kobieta.

– Zamierzam kręcić się po ogrodzie, dopóki ta kreatura się stąd nie zmyje – ciągnął doktor – a potem wejdę do Quintona z lekarstwem. Atkinson nie może się tam dostać, bo zamknąłem drzwi na klucz.

– W takim razie, doktorze Harris – powiedział Flambeau – możemy równie dobrze obejść dom od tyłu i okrążyć oranżerię. Nie ma do niej wejścia od tej strony, ale nawet z zewnątrz warto ją zobaczyć.

– Tak, przy okazji może rzucę okiem na mojego pacjenta. – Doktor zaśmiał się znowu. – Lubi wylegiwać się na otomanie na samym końcu oranżerii, wśród tych krwistoczerwonych poinsecji; ja miałbym chyba od nich gęsią skórę. Ale co ksiądz robi?

Ksiądz Brown zatrzymał się na chwilę i podniósł dziwny, zakrzywiony wschodni nóż, wykwintnie inkrustowany kolorowymi kamieniami i metalami, który jeszcze przed chwilą był niemal całkowicie ukryty w wysokiej trawie.

– Co to jest? – spytał ksiądz Brown, przyglądając się znalezisku z pewną niechęcią.

– Ach, to pewnie Quintona – odparł niedbale doktor Harris – ma w całym domu mnóstwo takich chińskich bibelotów. Albo może to tego Hindusa, którego Quinton trzyma

na smyczy.

– Co to za Hindus? – spytał ksiądz Brown, nadal wpatrując się w trzymany w ręce sztylet.

– E, jakiś hinduski magik – odparł beztrąsco doktor. – Oszust, oczywiście.

– Nie wierzy pan w magię? – spytał nie podnosząc wzroku ksiądz Brown.

– Też coś! W magię! – bąknął doktor.

– Jest bardzo piękny – mówił dalej ksiądz cichym, rozmarzonym głosem – ma bardzo piękne kolory. Ale ma zły kształt.

– Zły do czego? – spytał Flambeau, wytrzeszczając oczy.

– Do wszystkiego. Tak w ogóle ma zły kształt. Nigdy nie miałeś takiego wrażenia, patrząc na sztukę Wschodu? Kolory są oszałamiająco piękne, ale kształty podłe i marne; rozmyślnie podłe i marne. Zdarzało mi się widzieć straszne rzeczy na tureckim dywanie.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknął ze śmiechem Flambeau.

– Są to litery i symbole w nieznanym mi języku, ale wiem, że składają się w złe słowa – mówił duchowny coraz bardziej ścisząc głos. – Linie celowo biegną nie tak; jak węże, które wiją się, szukając ucieczki.

– Co też ksiądz u diabła plecie? – wtrącił doktor z głośnym śmiechem.

Flambeau odpowiedział mu cicho:

– Czasem zdarza mu się pograżać we mgle mistyki, ale ostrzegam uczciwie, że nigdy nie widziałem, żeby mu się to przytrafiło, jeśli gdzieś blisko nie czaiło się jakiegoś zło.

– Tam do licha! – mruknął człowiek nauki.

– No, popatrzcie tylko! – zawołał ksiądz Brown, odsuwając od siebie zakrzywiony nóż na odległość wyciągniętej ręki, jakby ów przedmiot był jakimś połyskliwym węzłem.

– Nie widzicie, że ma zły kształt? Nie widzicie, że ten nóż nie ma zwykłego, uczciwego celu? Nie wskazuje prosto jak miecz. Nie kosi z rozmachem jak sierp. On nawet nie wygląda jak broń. Wygląda jak narzędzie tortur.

– No, jeśli się księdzu nie podoba – zauważył wesoło Harris – to może lepiej, żeby wrócił do właściciela. Nie doszliśmy jeszcze do końca tej piekielnej oranżerii? Lepiej by ksiądz powiedział, że ten dom ma zły kształt.

– Nie rozumie pan – zaproponował ksiądz Brown, potrząsając głową. – Kształt tego domu jest dziwaczny, a nawet zabawny. Ale nie ma w nim nic złego.

Tak rozmawiając, obeszli wypukłą szklaną ścianę, stanowiącą zakończenie oranżerii; była to nieprzerwana krzywizna, bowiem z tej strony oranżeria nie miała ani zwykłych, ani przeszklonych drzwi, którymi można by wejść do środka. Szkło jednak było przejrzyste, a słońce nadal świeciło jasno, choć chyliło się już ku zachodowi; mogli więc dostrzec we wnętrzu nie tylko jaskrawe kwiaty, ale także kruchą sylwetkę poety w brązowym, aksamitnym szlafroku, spoczywającego leniwie na sofie i najwyraźniej drzemiącego nad książką. Był to blady, szczupły mężczyzna o rzadkich, kasztanowatych włosach i twarzy okolonej brodą, która stanowiła paradoks jego fizjonomii, sprawiała bowiem, że wyglądał mniej męsko. Cechy te były dobrze znane całej trójce, ale nawet gdyby tak nie było, wątpliwe, czy przyglądałoby mu się w tej właśnie chwili. Ich wzrok przykuło coś zupełnie innego.

Dokładnie na ich drodze, tuż za wypukłym krańcem szklanej części budynku stał wysoki człowiek, którego opadająca do stóp szata lśniła nieskazitelną bielą, a odsłonięta sniada czaszka, twarz i szyja połyskiwały w zachodzącym słońcu niczym polerowany brąz. Patrzył przez szybę na śpiącego, sam będąc bardziej nieporuszony niż góra.

– Kto to? – spytał ksiądz Brown, który na ten widok cofnął się i ze świstem wciągnął powietrze.

– Ach, to tylko ten hinduski hochsztapler – mruknął Harris – ale nie mam pojęcia, co on tu do diaska robi.

– Wygląda to na hipnozę – odezwał się Flambeau, przygryzając wąsa.

– Czemu ludzie, którzy nie mają pojęcia o medycynie, zawsze wygadują takie bzdury o hipnozie? – zdenerwował się doktor. – O wiele bardziej wygląda to na próbę kradzieży.

– Hm, w każdym razie spróbujemy z tym zjawiskiem pomówić – stwierdził Flambeau, jak zawsze gotowy do czynu. Jednym zamaszystym krokiem zbliżył się do miejsca, w którym stał Hindus. Schylając się lekko, jako że górował swoim potężnym wzrostem nawet nad wysokim Azjata, spytał z pogodnym tupetem:

– Dobry wieczór panu. Czego pan sobie życzy?

Zupełnie powoli, jak wielki statek zawijający do portu, wielka żółta twarz obróciła się i wreszcie spojrzała przez białe ramię. Ze zdumieniem spostrzegli, że żółte powieki ma całkowicie zamknięte, jakby we śnie.

– Dziękuję – odezwała się twarz doskonałą angielszczyzną. – Niczego. – Następnie, na wpół otwarte powieki, tak że ukazały się szparki opalizujących oczu, powtórzyła: – Niczego. – Wreszcie nieznajomy otworzył oczy szeroko i obrzucając ich przerażającym spojrzeniem, powiedział jeszcze raz: – Niczego. – Po czym z cichym szelestem rozpląnął się w szybko ciemniejącym ogrodzie.

– Chrześcijanin jest skromniejszy – mruknął ksiądz Brown – i życzy sobie czegoś konkretnego.

– Co on właściwie robił? – spytał Flambeau, marszcząc czarne brwi i zniżając głos.

– Chciałbym z tobą pomówić później – odparł ksiądz Brown.

Słońce świeciło jeszcze całkiem realnie, ale teraz już czerwonym blaskiem wieczoru, na tle którego gęstwa ogrodowych drzew i krzewów czerniała coraz bardziej. Trzej mężczyźni obeszlili zaokrąglony koniec oranżerii i szli w milczeniu wzdłuż jej przeciwnej ściany, by obejść dom i dotrzeć do wejścia. Ich nadejście najwyraźniej spłoszyło, jak czasem płoszy się ptaka, kogoś ukrywającego się w zagłębieniu między ścianą gabinetu a głównym budynkiem; i znów dostrzegli odzianego na biało fakira, jak wysunął się z cienia i pomknął w kierunku drzwi. Ku ich zdumieniu nie był jednak sam. Tym, co kazało im nagle się zatrzymać i opanować zdumienie, było pojawienie się pani Quinton, kobiety o ciężkich, złotych włosach i regularnych rysach bladej twarzy, która idąc ku nim, wyłaniała się z gęstniejącego zmierzchu. Minę miała raczej surową, ale zachowywała się całkiem uprzejmie.

– Dobry wieczór, doktorze – powiedziała tylko.

– Dobry wieczór, pani Quinton – odpowiedział serdecznie niski lekarz. – Właśnie idę dać pani mężowi środek nasenny.

– Tak – zgodziła się dźwięcznym głosem dama – myślę, że już najwyższy czas. – Uśmiechnęła się do nich i zamasyżuje ruszyła w stronę domu.

– Jest przemęczona – zauważył ksiądz Brown. – Należy do tego rodzaju kobiet, które przez dwadzieścia lat spełniają swoje obowiązki, a potem robią coś okropnego.

Mały doktor spojrział na niego po raz pierwszy z zainteresowaniem.

– Studiował ksiądz kiedyś medycynę? – spytał.

– Pan, doktorze, musi znać się nie tylko na ciele, ale i na umyśle – odpowiedział duchowny – a my musimy znać się nie tylko na umyśle, ale i na ciele.

– No cóż – powiedział doktor – chyba pójdę dać ten środek Quintonowi.

Wyszli zza rogu frontowej fasady budynku i zbliżali się do drzwi wejściowych. Kiedy przez nie wchodzili, po raz trzeci zobaczyli mężczyznę w białej szacie. Szedł prosto w kierunku drzwi, tak że wydawało się niemożliwe, żeby nie wyszedł dopiero co z położonego naprzeciw gabinetu. Wiedzieli jednak, że drzwi tego pokoju są zamknięte na klucz.

Ksiądz Brown i Flambeau zachowali jednak tę zwariowaną sprzeczność dla siebie, a doktor Harris nie był człowiekiem, który trwonilby myśli na rozpatrywanie spraw niemożliwych. Przepuścił wszechobecnego Azjatę w drzwiach, a potem sam szybko wkroczył do holu. Ujrzał tam postać, o której zdążył zapomnieć. Głupkowaty Atkinson nadal kręcił się bezcelowo, nucąc pod nosem i trącając przedmioty swoją bambusową laseczką. Na twarzy doktora odmalował się grymas obrzydzenia i zdecydowania, prędko szepnął swoim towarzyszom:

– Muszę znów zaryglować drzwi, bo inaczej ten szczur wciśnie się do środka. Ale za dwie minuty będę tu znowu.

Prędko otworzył drzwi i znów zamknął je za sobą na klucz, w ostatniej chwili udaremniając bezładny atak młodzieńca w meloniku. Młody człowiek opadł zniecierpliwiony na stojący w holu fotel. Flambeau oglądał perskie malowidło na ścianie; ksiądz Brown, jakby w odurzeniu, bezmyślnie wpatrywał się w drzwi. Po około czterech minutach drzwi otworzyły się znowu. Tym razem Atkinson był szybszy. Skoczył naprzód, przytrzymał chwilę otwarte drzwi i zawołał:

– Hej, słuchaj, Quinton, chciałem...

Z drugiego końca gabinetu dobiegł wyraźny głos Quintona, zniekształcony czymś pomiędzy ziewnięciem a wybuchem znużonego śmiechu:

– Ach, tak, wiem, czego chciałeś. Masz i zostaw mnie w spokoju. Piszę piosenkę o pawiach.

Zanim drzwi się zamknęły, przez szparę wyleciało pół suwerena i Atkinson, rzuciwszy się naprzód, chwycił je z wyjątkową zręcznością.

– A więc to mamy już z głowy – powiedział doktor i zamknąwszy drzwi z wściekłością, ruszył pierwszy do ogrodu.

– Biedny Leonard może mieć teraz nieco spokoju – dodał zwracając się do księdza Browna – przez godzinę lub dwie będzie sam, zamknięty na klucz.

– Tak – zgodził się ksiądz – jego głos brzmiał dość wesoło, kiedy go zostawiliśmy.

– Potem rozejrzał się z powagą po ogrodzie i zobaczył niedbałą sylwetkę Atkinsona, podzwaniającego połową suwerena w kieszeni, a dalej, w fioletowym zmierzchu,

postać Hindusa siedzącego sztywno jak kołek na trawiastej skarpie z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Potem zapytał zniechęca:

– A gdzie pani Quinton?

– Poszła do swojego pokoju – odparł doktor. – Widać jej cień na rolecie.

Ksiądz Brown spojrział w górę i ze zmarszczonym czołem przyglądał się ciemnej sylwetce w oświetlonym lampą gazową oknie.

– Tak – powiedział – to jej cień. – A potem przeszedł parę jardów i opadł na ogrodową ławkę.

Flambeau usiadł koło niego; doktor jednak należał do tych energicznych ludzi, dla których czymś całkiem naturalnym jest spędzanie życia na stojąco. Odszedł zatem, paląc, w gęstniejący zmierzch i dwaj przyjaciele zostali sami.

– Ojciec – spytał Flambeau po francusku – co ci jest?

Ksiądz Brown siedział przez pół minuty w milczeniu i bezruchu, a potem powiedział:

– Przesąd nie ma związku z religią, ale jest coś w atmosferze tego domu... Chyba chodzi o tego Hindusa, przynajmniej częściowo.

Umilkł i przyglądał się dalekiej sylwetce cudzoziemca, który wciąż siedział sztywno, jakby pogrążony w modlitwie. Na pierwszy rzut oka zdawał się nieruchomy, ale przyglądając się mu, ksiądz Brown stwierdził, że kołysze się on bardzo nieznacznie i rytmicznie, podobnie jak ciemne wierzchołki drzew poruszane najłżejszym podmuchem wiatru, który powoli przybierał na sile i cicho szeleścił opadłymi liśćmi na mrocznych ogrodowych ścieżkach.

Krajobraz ciemniał gwałtownie, jakby zanosilo się na burzę, ale nadal widzieli wyraźnie poszczególne osoby, każdą na swoim miejscu. Atkinson z obojętną miną opierał się o drzewo; żona Quintona nie odchodziła od swojego okna; doktor przechadzał się wokół końca oranżerii – widzieli przypominający robaczka świętojańskiego ognik jego cygara; fakir zaś nadal siedział sztywno, choć rozkołysany, podczas gdy drzewa nad jego głową zaczynały nie tylko kołysać się, ale także szumieć. Niewątpliwie nadciągała burza.

– Kiedy ten Hindus przemówił do nas – odezwał się ksiądz Brown gawędziarskim półgłosem – miałem coś w rodzaju wizji; wizji jego samego i jego wszechświata. A przecież on tylko powtórzył trzy razy to samo. Kiedy po raz pierwszy powiedział, że nie życzy sobie „niczego” oznaczało to jedynie, że jest nieprzenikniony i że Azja nie zdradza swoich sekretów. Potem znów powiedział „niczego” i zrozumiałem, że chce przez to powiedzieć, iż wystarcza sam sobie, jak wszechświat, i że ani nie potrzebuje żadnego Boga, ani nie przyznaje się do żadnego grzechu. A kiedy po raz trzeci powiedział „niczego”, jego oczy płonęły. I wiedziałem, że chce powiedzieć dosłownie to, co powiedział: że jego życzeniem i jego ojczyzną jest nicość; że pragnie jej jak wina; że unicestwienie, zwykłe zniszczenie czegoś albo wszystkiego...

Spadły dwie krople deszczu i z jakiegoś powodu Flambeau wzdrygnął się i spojrział w górę, jakby poczuł ukłucie. W tej samej chwili doktor, przechadzający się przy końcu oranżerii, rzucił się w ich stronę, krzycząc coś w biegu.

Kiedy wpadł między nich jak bomba, wierzcipięta Atkinson przypadkiem przechadzał się akurat bliżej frontowej ściany domu; doktor chwycił go konwulsyjnie za

kołnierz.

– Parszywe sztuczki! – krzyczał. – Ty psie, gadaj, co mu zrobiłeś!

Ksiądz Brown zerwał się na równe nogi, a w jego głosie, jak u dowódcy, pobrzmiwał stalowy ton.

– Żadnych bójek! – zawołał ze spokojem. – Jest nas dość, by zatrzymać każdego, kogo będziemy chcieli. O co chodzi, doktorze?

– Z Quentinem coś nie tak – odparł doktor, biały jak ściana. – Widziałem go przed chwilą przez okno i nie podobał mi się sposób, w jaki leżał. W każdym razie nie tak go zostawiłem.

– Wejźmy do niego – rzekł krótko ksiądz Brown. – Może pan zostawić pana Atkinsona w spokoju. Miałem go na oku, odkąd słyszeliśmy głos Quintona.

– Zostanę tu i popilnuję go – zaproponował pospiesznie Flambeau – a wy idźcie zobaczyć.

Doktor i ksiądz popędzili do drzwi gabinetu, przekręcili klucz w zamku i wpadli do pokoju. Niemal przewrócili się przy tym o duży, stojący na środku mahoniowy stół, przy którym poeta zwykle pisał; wewnątrz bowiem rozjaśniał jedynie słaby blask ognia utrzymywanego na kominku ze względu na chorego. Na środku stołu leżała jedna jedyna kartka papieru, najwyraźniej specjalnie zostawiona w tym miejscu. Doktor chwycił ją, rzucił okiem i podał księdzu Brownowi, a potem z okrzykiem: „O Boże, proszę popatrzeć!”, pognął do przeszklonego pomieszczenia w głębi, gdzie straszne tropikalne kwiaty zachowywały jakby szkarłatne wspomnienie zachodzącego słońca.

Ksiądz Brown, zanim odłożył kartkę, przeczytał trzy razy widniejące na niej słowa. Brzmiały one: „ginę z własnej ręki, lecz zamordowany”, a skreślone zostały niemożliwym do podrobienia – żeby nie powiedzieć niemożliwym do odcyfrowania – pismem Leonarda Quintona.

Następnie ksiądz Brown, wciąż z kartką w ręku, ruszył w stronę oranżerii, ale zaraz natknął się na uczonego przyjaciela, który wracał stamtąd z wyrazem pewności i przygnębienia na twarzy.

– Zrobił to – powiedział Harris.

Minęli razem olśniewające, nieziemsko piękne kaktusy i azalie, i ujrzeli Leonarda Quintona, autora wierszy i romansów, z głową zwisającą z otomany i rudymi lokami zamiatającymi ziemię. W jego lewym boku tkwił dziwaczny sztylet, który wcześniej podnieśli w ogrodzie, a jego bezwładna dłoń wciąż jeszcze spoczywała na rękocyści.

Burza na zewnątrz, jak noc u Coleridge’a, nadeszła jednym skokiem, a ogród i szklany dach pociemniały od ulewnego deszczu. Ksiądz Brown najwyraźniej badał kartkę z większą uwagą niż zwłoki; zbliżał ją do oczu, jakby starał się czytać w półmroku. Wreszcie podniósł ją pod światło, a kiedy to zrobił, na moment olśnił ich tak jasny blask błyskawicy, że papier na jego tle wydał się czarny.

Po chwili ciemność wypełniła się odgłosem grzmotu, a kiedy grzmot ucichł, głos księdza Browna odezwał się w mroku:

– Panie doktorze, ta kartka ma zły kształt.

– Co ksiądz chce przez to powiedzieć?

– Nie jest prostokątna – odparł ksiądz Brown. – Ma jakby ścięty brzeg na jednym

rogu. Co to może znaczyć?

– Skąd u diabła miałbym to wiedzieć? – burknął doktor. – Przeniesiemy tego biedaka? Jak ksiądz myśli? Bez wątpienia nie żyje.

– Nie – odrzekł duchowny – musimy zostawić go tak, jak jest i wezwać policję. – Ale nadal przyglądał się kartce papieru.

Kiedy szli z powrotem przez gabinet, zatrzymał się przy stole i podniósł małe nożyczki do paznokci.

– Aha – powiedział z niejaką ulgą – a więc tym to zrobił. A jednak... – Zmarszczył brwi.

– Och, niech ksiądz da spokój z tym kawałkiem papieru – odezwał się z naciskiem doktor Harris. – To była jego fanaberia. Miał setki takich kartek. Zawsze przycinał papier w ten sposób. – I wskazał stertę jeszcze nieużywanego kancelaryjnego papieru na drugim, mniejszym stoliku. Ksiądz Brown podszedł do niego i podniósł pojedynczy arkusz. Miał on ten sam nieregularny kształt.

– Rzeczywiście – powiedział. – A tu widzę rozki, które zostały odcięte. – I ku oburzeniu swego towarzysza zaczął je liczyć.

– W porządku – powiedział z przepaszającym uśmiechem. – Dwadzieścia trzy przycięte arkusze i dwadzieścia dwa odcięte rozki. Widzę, że się pan niecierpliwi, doktorze, a zatem dołączmy do pozostałych.

– Kto ma to powiedzieć jego żonie? – spytał doktor Harris. – Mógłby ksiądz pójść i zawiadomić ją teraz, a ja wyślę po policję kogoś ze służby?

– Jak pan sobie życzy – odparł obojętnie ksiądz Brown i ruszył ku drzwiom holu.

Tam również zastał dramatyczną scenę, choć raczej groteskowej natury. Ukazywała ona nie kogo innego, tylko jego potężnego przyjaciela Flambeau w postawie, od której już dawno zdążył się odzwyczaić, oraz rozciągniętego na ścieżce u stóp schodów Atkinsona z nogami w powietrzu, rozkrzyżowanego między melonikiem i laską, które potoczyły się po ścieżce w dwóch przeciwnych kierunkach. Atkinson znudził się wreszcie niemal ojcowską opieką Flambeau i próbował powalić go na ziemię, co w wypadku kogoś takiego jak *Roi des Apaches* wcale nie było igraszką, nawet jeśli ten abdykował jakiś czas temu.

Flambeau miał właśnie zamiar skoczyć na swego przeciwnika i ponownie go chwycić, kiedy ksiądz Brown poklepał go lekko po ramieniu.

– Pogódź się z panem Atkinsonem, mój przyjacielu – powiedział. – Proście się nawzajem o wybaczenie i powiedzcie sobie dobranoc. Nie musimy go dłużej zatrzymywać. – A potem, kiedy Atkinson podniósł się zebrawszy swój kapelusz i laskę i ruszył niepewnie w stronę furtki, ksiądz Brown spytał poważniejszym tonem: – A gdzie Hindus?

Wszyscy trzej (bo doktor przyłączył się do nich) odwrócili się mimowolnie w stronę trawiastego zbocza mającego niewyraźnie w fioletowym półmroku pod rozkołysanymi drzewami, gdzie ostatnio widzieli ciemnoskórego mężczyznę chwiejącego się w rytm dziwacznej modlitwy. Hindusa nie było.

– A niech go diabli! – wykrzyknął doktor, tupiąc z wściekłością. – Teraz już wiem, że to ten czarnuch to zrobił!

– Myślałem, że pan nie wierzy w magię – powiedział cicho ksiądz Brown.

– Bo nie wierzyłem – odparł doktor, przewracając oczami. – Wiem jedno: brzydziłem się tego tchórzliwego diabła, kiedy uważałem go za fałszywego czarownika. I będę brzydził się jeszcze bardziej, jeśli się przekonam, że naprawdę potrafi czarować.

– No cóż, to, że uciekł, i tak nie ma znaczenia – powiedział Flambeau – bo i tak nie moglibyśmy niczego mu udowodnić. Raczej trudno pójść do miejscowego posterunkowego z opowieścią o samobójstwie wymuszonym czarami czy autosugestią.

Tymczasem ksiądz Brown wrócił do domu i udał się z wieściami do żony zmarłego. Po powrocie jego twarz wyglądała blado i tragicznie, ale nawet gdy wszystko już się wyjaśniło, nikt nigdy nie dowiedział się, co padło podczas tej rozmowy.

Flambeau, rozmawiający cicho z doktorem, zdziwił się, widząc swojego przyjaciela tak szybko znów koło siebie. Brown jednak nie zwrócił na to uwagi i po prostu odciągnął doktora na bok.

– Posłał pan po policję, prawda? – spytał.

– Tak – potwierdził Harris – powinni być za dziesięć minut.

– Czy może mi pan zrobić przysługę? – poprosił cicho ksiądz Brown. – Widzi pan, kolekcjonuję takie dziwne historie, które często, jak w wypadku naszego hinduskiego przyjaciela, zawierają elementy, które raczej nie pasują do policyjnego sprawozdania. Otóż chciałbym, żeby napisał pan sprawozdanie z tego wypadku na mój prywatny użytek. Pański zawód wymaga bystrości umysłu – powiedział, patrząc doktorowi poważnie i nieporuszenie w oczy. – Czasem mam wrażenie, że zna pan jakieś szczegóły tej sprawy, o których wolał pan nie mówić. W moim zawodzie, podobnie jak w pańskim, obowiązuje dyskrecja i wszystko, co pan napisze, potraktuję z największą dyskrecją. Ale proszę napisać wszystko.

Doktor, który słuchał w zamyśleniu, z głową przechyloną na bok, chwilę patrzył mu prosto w oczy i powiedział:

– Dobrze. – A potem wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Flambeau – powiedział ksiądz Brown – pod dachem werandy jest długa ławka, na której możemy siedzieć i palić, schowani przed deszczem. Nie mam na tym świecie innego przyjaciela prócz ciebie i chciałbym z tobą pomówić. Albo może pomilczeć.

Usiedli wygodnie na werandzie; ksiądz Brown wbrew swoim zwyczajom przyjął zaoferowane mu dobre cygaro i palił w milczeniu, podczas gdy deszcz bębnił i szumiał na dachu werandy.

– Przyjacielu – powiedział wreszcie – to bardzo dziwny przypadek. Bardzo dziwny przypadek.

– Trudno się z tym nie zgodzić – powiedział Flambeau i jakby się wzdrygnął.

– Ty uważasz go za dziwny i ja uważam go za dziwny – powiedział ksiądz – a jednak mamy na myśli coś wręcz przeciwnego. Nowoczesny umysł zawsze miesza dwa pojęcia: tajemnicy jako czegoś cudownego i tajemnicy jako czegoś skomplikowanego. To połowa trudności, jakie współczesny człowiek ma z uznaniem cudów. Cud jest zaskakujący, ale prosty. Jest prosty właśnie dlatego, że jest cudem. Jest to moc pochodząca wprost od samego Boga (albo od diabła), a nie przekazana za pośrednictwem natury albo ludzkiej woli. Otóż twoim zdaniem cała ta sprawa jest niezwykła, ponieważ

jest to cud – ponieważ wynika z czarów niegodziwego Hindusa. Zrozum, nie chodzi mi o to, że sprawa ta nie ma duchowego czy też diabelskiego wymiaru. Tylko niebo i piekło wiedzą, jakie zewnętrzne wpływy sprawiają, że pewne dziwne grzechy pojawiają się w życiu ludzi. Otóż na razie chodzi mi tylko o to, że jeśli cała rzecz była wyłącznie magiczna, jak ci się wydaje, to była cudem, ale nie była tajemnicą, czyli czymś skomplikowanym. Charakter cudu jest tajemnicą, ale sposób, w jaki on się dokonuje, jest całkiem prosty. Otóż sposób, w jaki ta sprawa się dokonała, jest zaprzeczeniem prostoty.

Burza, która przycichła na chwilę, znowu przybrała na sile; słychać było ciężkie odgłosy jakby odległych grzmotów. Ksiądz Brown strzepnął popiół z cygara i ciągnął dalej:

– Ten przypadek – powiedział – jest od początku jakiś wypaczony, odpychający i skomplikowany; nie jest prosty jak grom z jasnego nieba albo z piekła. Jak rozpoznaje się kręty ślad ślimaka, tak ja rozpoznaję w niej kręty ślad człowieka.

Biała błyskawica rozwarła na mgnienie swoje olbrzymie oko, potem niebo zamknęło się znowu i ksiądz mówił dalej:

– Z całej tej wypaczonej sprawy najbardziej wypaczony był kształt tej kartki papieru. Jeszcze bardziej wypaczony niż sztylet, który Quintona pozbawił życia.

– Chodzi ci o tę kartkę, na której Quinton przyznał się do samobójstwa? – upewnił się Flambeau.

– Chodzi mi o tę kartkę, na której napisał „ginę z własnej ręki” – odparł ksiądz Brown. – Ta kartka, drogi przyjacielu, miała zły kształt; najgorszy kształt, jaki widziałem na tym podłym świecie.

– Była tylko ścięta w narożniku – zaproponował Flambeau. – I cały papier Quintona, jak rozumiem, był przycięty w ten sposób.

– Bardzo dziwny sposób – zauważył duchowny – i bardzo zły, jak na mój gust. Słuchaj, Flambeau, ten Quinton (świeć Boże nad jego duszą) był może pod pewnymi względami łajdakiem, ale był też prawdziwym artystą, zarówno pióra, jak i ołówka. Jego charakter pisma, choć trudny do odczytania, był śmiały i piękny. Nie potrafię udowodnić tego, co mówię; nie potrafię udowodnić niczego. Ale mówię ci z całkowitym przekonaniem, że on nie mógłby nigdy odciąć tego nędznego skrawka papieru. Gdyby chciał przyciąć papier, żeby gdzieś się zmieścił albo żeby go oprawić, czy coś w tym rodzaju, ciąłby nożyczkami w zupełnie inny sposób. Pamiętasz ten kształt? To był podły kształt. To był zły kształt. O, taki. Pamiętasz?

I zaczął wymachiwać w ciemnościach płonącym cygarem, tak szybko kreśląc nieregularne prostokąty, że Flambeau naprawdę widział na tle nocy jakby ogniste hieroglify – takie, o jakich mówił przedtem jego przyjaciel: niemożliwe do odcyfrowania, a jednak niewróżące niczego dobrego.

– Ale – odezwał się Flambeau, kiedy ksiądz znów włożył cygaro do ust i odchyliwszy się do tyłu, zapatrzył w dach werandy – założmy, że ktoś inny użył tych nożyczek. Dlaczego ten ktoś, odcinając brzegi kancelaryjnego papieru, miałby skłonić Quintona do popełnienia samobójstwa?

Ksiądz Brown nadal siedział odchyłony i wpatrywał się w dach, ale wyjął cygaro z ust i powiedział:

– Quinton wcale nie popełnił samobójstwa.

Flambeau wlepił w niego wzrok z niedowierzaniem.

– Ale w takim razie – krzyknął – po kiego licha przyznał się do samobójstwa?

Ksiądz pochylił się znowu do przodu, oparł łokcie na kolanach i ze wzrokiem wbitym w ziemię powiedział cichym, wyraźnym głosem:

– Wcale nie przyznał się do samobójstwa.

Flambeau odłożył swoje cygaro.

– To znaczy – powiedział – że pismo zostało podrobione?

– Nie – odparł ksiądz Brown – Quinton bez wątpienia napisał te słowa.

– No właśnie – powiedział poirytowany Flambeau – Quinton własnoręcznie napisał „ginę z własnej ręki” na zwykłym kawałku papieru.

– O złym kształcie – dodał spokojnie ksiądz Brown.

– Ach, do diabła z tym kształtem! – zawołał Flambeau. – Co on ma z tym wspólnego?

– Były dwadzieścia trzy przycięte kartki – podjął nieporuszony ksiądz Brown – i tylko dwadzieścia dwa odcięte narożniki. A zatem jeden narożnik musiał zostać zniszczony, prawdopodobnie ten od zapisanej kartki. Czy coś ci to mówi?

Twarz Flambeau rozjaśniła się nagle i powiedział:

– Było tam coś jeszcze, co Quinton napisał, jakieś inne słowa. „Powiedzą wam, że ginę z własnej ręki” albo „Nie wiercie, że...”

– Ciepło, ciepło, jak mawiają dzieci – pochwalił go przyjaciel. – Ale ten skrawek miał ledwie pół cala szerokości; nie było tam miejsca na jedno słowo, a co dopiero na pięć. Czy nie przychodzi ci do głowy coś niewiele większego od przecinka, co człowiek z piekłem w sercu musiał usunąć jako świadectwo przeciwko sobie?

– Nie mogę nic wymyślić – powiedział Flambeau.

– A cudzysłów⁵? – spytał ksiądz i wyrzucił cygaro w ciemność jak spadającą gwiazdę.

Wszelkie słowa zamarły na ustach jego towarzysza, więc ksiądz Brown ciągnął dalej, jak ktoś wracający do spraw podstawowych:

– Leonard Quinton był autorem romansów, pisał orientalny romans o czarach i hipnozie. Miał...

W tym momencie drzwi za ich plecami otwarły się z impetem i wyszedł z nich doktor w kapeluszu na głowie. Wręczył księdzu Brownowi podłużną kopertę.

– Oto dokument, o który ksiądz prosił – powiedział. – Muszę już iść do domu. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział ksiądz Brown, kiedy doktor szedł szybko do furtki. Drzwi frontowe zostawił uchylone, tak że padała na nich smuga światła gazowej lampy. W tym świetle ksiądz Brown otworzył kopertę i przeczytał następujące słowa:

Wielebny Ojcze!

Vicisti Galilee. W przeciwnym razie niech diabli porwą księdza i jego wzrok, który okazał się tak przenikliwy. Czy to możliwe, żeby w tych głoszonych przez was bzdurach jednak coś było?

Jestem kimś, kto od lat chłopięcych wierzył w naturę i we wszystkie funkcje i instynkty naturalne, bez względu na to, czy uważano je za moralne czy też nie. Na długo zanim zostałem lekarzem, kiedy jeszcze jako uczeń hodowałem myszy i pająki, zyskałem przekonanie, że czymś najlepszym na świecie jest być dobrym zwierzęciem. Teraz jednak doznałem szoku; wierzyłem w naturę, ale wygląda na to, że natura może zdradzić człowieka. Czy w tej waszej gadaninie jednak coś jest? Chyba mąci mi się w głowie.

Pokochałem żonę Quintona. Czy było w tym coś złego? Skłoniła mnie do tego natura, a miłość jest przecież siłą napędową świata. Myślałem także całkiem uczciwie, że z czystym zwierzęciem, takim jak ja, byłaby szczęśliwsza niż z tym małym dręczącym ją wariatem. Czy było w tym coś złego? Po prostu, jak prawdziwy naukowiec, nie zamykałem oczu na fakty. Ze mną byłaby szczęśliwsza.

Zgodnie z moimi przekonaniem miałem pełne prawo zabić Quintona, co dla wszystkich, nawet dla niego, byłoby najlepszym rozwiązaniem. Ale, jako zdrowe zwierzę, nie miałem zamiaru zabijać przy tym samego siebie. Dlatego postanowiłem, że nie zrobię tego, dopóki nie nadarzy się okazja wyjścia z tego bez szwanku. Ta okazja nadarzyła się dziś rano.

Byłem dziś w sumie trzy razy w gabinecie Quintona. Kiedy wszedłem tam po raz pierwszy, nie mówił o niczym innym, jak tylko o zwariowanej historii pod tytułem «Lekarstwo świętego», którą właśnie pisał i która obracała się wokół tego, jak pewien hinduski pustelnik zmusił angielskiego pułkownika do samobójstwa tylko przez to, że o nim myślał. Pokazał mi ostatnie strony i nawet przeczytał mi ostatni akapit, który brzmiał mniej więcej tak: „Zdobycza Pendżabu, ledwie pożółkły szkielet, choć nadal olbrzymi, podźwignął się na łokciu i szepnął siostrzeńcowi: «ginę z własnej ręki, lecz zamordowany»”. Szansa jedna na sto sprawiła, że te ostatnie słowa napisane były na górze nowego arkusza papieru. Opuściłem pokój i wyszedłem do ogrodu, oszołomiony tą straszną sposobnością.

Obeszliśmy dom dookoła i wtedy zdarzyły się jeszcze dwie rzeczy przemawiające na moją korzyść. Zaczął ksiądz podejrzewać Hindusa i znalazł sztylet, którym Hindus mógłby całkiem prawdopodobnie się posłużyć. Korzystając z okazji, wsunąłem go do kieszeni i poszedłem z powrotem do gabinetu Quintona, zamknąłem drzwi na klucz i podałem mu środek nasenny. Nie chciał w ogóle odpowiadać Atkinsonowi, ale przekonałem go, żeby do niego zawołał i jakoś go uciszył, bo potrzebowałem wyraźnego dowodu, że Quinton był żywy, kiedy wyszedłem od niego po raz drugi. Quinton leżał w oranżerii, a ja wychodziłem przez jego gabinet. Mam sprawne ręce i w półtorej minuty zrobiłem, co chciałem. Wrzuciłem cały początek poematu Quintona do kominka, gdzie zmienił się w popiół. Potem zobaczyłem, że cudzysłów wszystko psuje, więc odciąłem róg kartki i żeby wyglądało to bardziej prawdopodobnie, w ten sam sposób obciąłem wszystkie pozostałe. Wyszedłem ze świadomością, że przyznanie się do samobójstwa skreślone ręką Quintona leży na stole we frontowym pokoju, podczas gdy sam Quinton

leży żywy, ale pogrążony we śnie, w oranżerii poza nim.

Ostatni mój czyn był rozpaczliwy; może go ksiądz sam odgadnąć; udałem, że zobaczyłem Quintona martwego i wpadłem do jego pokoju. Odwróciłem uwagę księdza kartką papieru, a ponieważ mam sprawne ręce, zabiłem Quintona, kiedy ksiądz przyglądał się jego przyznaniu się do samobójstwa. Był pogrążony w półśnie pod wpływem lekarstwa, więc położyłem jego własną rękę na rękojęści sztyletu i wbiłem go w jego ciało. Nóż miał tak dziwny kształt, że tylko chirurg mógłby obliczyć, pod jakim kątem należy go wbić, by dotarł do serca. Ciekawe, czy ksiądz to zauważył?

Kiedy to zrobiłem, stało się coś niezwykłego. Natura zdradziła mnie. Poczulem się okropnie. Poczulem się tak, jakbym zrobił coś złego. Zdaje się, że mój mózg odmawia mi posłuszeństwa; czuję coś w rodzaju rozpaczliwej przyjemności na myśl, że komuś o tym opowiedziałem; że nie będę musiał żyć z tym sam, jeśli się ożenię i będę miał dzieci. Co się ze mną dzieje? Oszalałem... A może rzeczywiście można czuć skruchę, jakby się było bohaterem jednego z wierszy Byrona? Nie mogę pisać dalej.

James Erskine Harris

Ksiądz Brown ostrożnie złożył list i schował go do kieszeni na piersiach w tej samej chwili, gdy przy furtce ogrodowej rozległ się głośny dzwonek, a poza nią, na ulicy, załśniły mokre peleryny kilku policjantów.

GRZECHY KSIĘCIA SARADINE'A

Kiedy Flambeau wybrał się na miesięczny urlop ze swego biura w Westminsterze, postanowił spędzić go na małej żaglówce; była ona tak mała, że najczęściej służyła jako wiosłowa łódka. Co więcej, postanowił spędzić go na małych rzeczkach wschodniej Anglii, tak małych, że żaglówka sprawiała wrażenie zaczarowanej łódeczki płynącej po łądzie wśród łąk i pól kukurydzy. Ta niewielka łupinka mieściła wygodnie zaledwie dwie osoby; było w niej miejsce jedynie na najpotrzebniejsze rzeczy i Flambeau wyposażył ją w to wszystko, co jego szczególnie filozofia życiowa uznawała za niezbędne. Ograniczało się to najwyraźniej do czterech podstawowych potrzeb: puszek łososia – na wypadek, gdyby zachciało mu się jeść; naładowanego rewolweru – na wypadek, gdyby zechciał się bić; butelki brandy – prawdopodobnie na wypadek zasłabnięcia; oraz księdza – zapewne na wypadek śmierci. Tak zabezpieczony płynął niespiesznie w dół rzeczkami Norfolk, zamierzając dotrzeć w końcu do sieci rzek i jezior znanej jako Broads, a tymczasem rozkoszując się widokiem schodzących nad wodę łąk i ogrodów oraz odbijających się w rzece rezydencji i wiosek, zatrzymując się na łowieniu ryb w zakolach i rozlewiskach i w ogóle niejako tuląc się do brzegu.

Flambeau, jak prawdziwy filozof, nie wyznaczał swoim wakacjom żadnego celu, ale, także jak prawdziwy filozof, potrafił przedstawić ich uzasadnienie. Miał pewien połowiczny cel, który traktował wystarczająco poważnie, aby osiągnięcie go stało się ukoronowaniem całych wakacji, ale wystarczająco lekko, by niepowodzenie w tym względzie nie zdołało ich popsuć. Wiele lat wcześniej, kiedy był jeszcze królem złodziei i najbardziej znaną postacią Paryża, często otrzymywał szalone wyrazy potępienia, uznania, a nawet miłości; jeden z nich utkwiał mu jednak szczególnie w pamięci. Była to jedynie wizytówka w kopercie opatrzonej angielskim znaczkiem pocztowym. Na odwrocie wizytówki napisano po francusku zielonym atramentem: „Jeśli kiedyś przejdzie pan na emeryturę i zostanie szacownym obywatelem, proszę mnie odwiedzić. Chcę pana zobaczyć, bo widywałem wszystkich wielkich ludzi moich czasów. Pańska sztuczka z aresztowaniem jednego detektywa przez drugiego to najwspanialsza scena w historii Francji”. Na awersie wizytówki wydrukowano w oficjalnej formie: „Książę Saradine, Reed House, Reed Island, Norfolk”.

Nie zwracał sobie wówczas głowy księciem; upewnił się tylko, że był on wybitną, światową osobistością z południa Włoch. Powiadano, że w młodości uciekł z wysoko urodzoną męzatką; takie eskapady nie należały w tych sferach do rzadkości, ludzie jednak zapamiętali ją z powodu dodatkowej tragedii: domniemanego samobójstwa oszukanego męża, który rzekomo rzucił się z urwiska na Sycylii. Książę mieszkał potem przez jakiś czas w Wiedniu, ale w późniejszych latach podobno nieustannie i niezmordowanie podróżował. Kiedy Flambeau, podobnie jak sam książę, porzucił wielki europejski świat i osiadł w Anglii, przyszło mu do głowy, że mógłby złożyć niezapowiedzianą wizytę temu wybitnemu banicie mieszkającemu w okolicach Norfolk Broads. Nie miał pojęcia, czy uda mu się znaleźć wskazaną wyspę; w istocie była ona dość mała i zapomniana. Tak jednak się złożyło, że odnalazł ją o wiele szybciej, niż się tego spodziewał.

Pewnego wieczoru Flambeau i ksiądz Brown zacumowali swoją łódź pod urwistym

brzegiem porośniętym wysokimi trawami i nisko przyszczyżonymi drzewami. Po ciężkim dniu wiosłowania tak się złożyło, że sen opadł ich wcześniej i podobny przypadek sprawił, że obudzili się obaj zanim się rozjaśniło. Mówiąc ściślej, obudzili się, zanim dzień się rozjaśnił, bo wielki, cytrynowożółty księżyc zapadał dopiero za las wysokich traw nad ich głowami, a jaskrawe błękitno-fioletowe niebo było nocne, lecz jasne. Obu równocześnie nawiedziło wspomnienie z dzieciństwa, tego czarodziejskiego, pełnego przygód czasu, kiedy to wysokie chwasty zamykają się nad naszymi głowami jak las. Stokrotki widziane z dołu na tle wielkiego, niskiego księżyca wyglądały rzeczywiście jak stokrotki olbrzymy, a dmuchawce, jak dmuchawce giganty. Coś w tym widoku przypominało im papierowe tapety dziecięcego pokoju. Zagłębienie koryta rzeki wystarczyło, by znaleźli się niżej niż korzenie wszelkich krzewów i kwiatów i mogli patrzeć na trawę z zadartymi głowami.

– Na Jowisza! – odezwał się Flambeau. – Zupełnie, jakbyśmy byli w krainie czarów.

Ksiądz Brown usiadł w łodzi wyprostowany jak kołek i przeżegnał się. Zrobił to tak nagle, że jego przyjaciel spytał, co mu się stało.

– Ludzie, którzy pisali średniowieczne ballady – odparł ksiądz Brown – wiedzieli więcej o czarach niż ty i ja. W krainie czarów zdarzają się nie tylko miłe przygody.

– Ach, bzdury! – zaoponował Flambeau. – Tylko miłe przygody mogą się wydarzyć pod tak niewinnym księżycem. Jestem za tym, żebyśmy odbili od razu i zobaczyli, co naprawdę nas czeka. Może umrzemy i zgnijemy w grobie, zanim znów zdarzy się nam widzieć taki księżyc albo tak nastrojową noc.

– Dobrze – zgodził się ksiądz Brown. – Nie powiedziałem, że wkraczanie do krainy czarów zawsze musi być złe. Powiedziałem tylko, że zawsze jest niebezpieczne.

Wiosłowali wolno po coraz jaśniejszej rzece; połyskliwy fiolet nieba i blade złoto księżyca słabły powoli, aż wreszcie roztopiły się w olbrzymim, bezbarwnym kosmosie, który poprzedza kolory świtu. Kiedy pierwsze blade pasma czerwieni, złota i szarości przecięły horyzont od jednego krańca widnokregu do drugiego, na ich tle pojawiły się przed nimi czarne zarysy miasteczka czy też wioski położonej tuż nad rzeką. Półmrok pojaśniał już na dobre, ukazując wyraźnie wszystko dookoła, kiedy wpłynęli pod nisko zwieszające się dachy i mosty tej nadrzecznej miejscowości. Domy o długich, niskich, pochylonych dachach wyglądały jak wielkie szare i czerwone krowy, które zeszyły o świcie do wodopoju. Coraz mocniejszy i bielszy świt zdążył zmienić się w nadające się do pracy światło dnia, zanim zobaczyli jakąś żywą istotę na nabrzeżach i mostach tego cichego miasteczka. W końcu ujrzeli bardzo spokojnego, zażywnego człowieka w samej koszuli, z twarzą okrągłą jak niedawno oglądany księżyc, okoloną rudymi promieniami bokobrodów, opartego o słup nad wolno płynącą wodą. W odruchu, którego nie sposób zrozumieć, Flambeau stanął wyprostowany w chybotliwej łódce i zawołał do mężczyzny, aby zapytać, czy nie słyszał nazwy Reed House albo Reed Island. Uśmiech zażywnego człowieka rozszerzył się nieznacznie, wskazał po prostu ręką w dół rzeki, ku następnemu jej zakrętowi. Flambeau popłynął więc dalej, nie odezwawszy się więcej.

Łódka minęła jeszcze wiele takich trawiastych zakrętów i przemierzyła wiele zarośniętych trzciną, cichych odcinków rzeki; ale zanim poszukiwanie zdążyło im

się znudzić, wypłynęli z za wyjątkowo ostrego zakrętu i znaleźli się na czymś w rodzaju rozlewiska czy też jeziora, którego widok instynktownie przykuł ich uwagę. Na środku otwartego lustra wody leżała bowiem otoczona ze wszystkich stron trzcinami długa, niska wysepka, na której widniał długi, niski budynek z bambusa lub innej odpornej, tropikalnej trzciny. Pionowe bambusowe pnie tworzące ściany były bladożółte, natomiast ułożone pochyło pędy tworzące dach odcinały się od nich ciemniejszą czerwienią lub brązem, ale poza tym długi dom stanowił przykład powtarzalności i monotonii. Poranna bryza szeleściła w trzcinach okalających wyspę i grała na dziwnym żebrowaniu domu jak na olbrzymiej fletni pana.

– Do licha! – zawołał Flambeau. – A więc znaleźliśmy w końcu to miejsce. Oto wyspa, która zasługuje na miano Reed Island jak żadna inna. A jeśli dom o nazwie Reed House w ogóle istnieje, to musi być tutaj⁶. Ten grubas z bokobrodami musiał chyba być wróżką.

– Być może – zauważył obiektywnym tonem ksiądz Brown. – Jeśli tak, to był raczej złą wróżką.

Ale nim skończył mówić, porywczy Flambeau już przybił do brzegu wśród szeleszczących trzcin, i po chwili stali na długiej, osobliwej wysepce obok dziwnego, milczącego domu.

Budynek odwrócony był niejako tyłem do rzeki i jedynej przystani na wyspie; główne wejście znajdowało się od strony ciągnącego się wzdłuż całej wyspy ogrodu. Aby do niego dojść, goście musieli zatem obejść dom niemal z trzech stron wąską ścieżką biegnącą tuż pod ścianami, w cieniu niskich okapów. Zajrzeli przy tym z trzech różnych stron przez trzy różne okna do tego samego długiego, dobrze oświetlonego pokoju z jasną boazerią, wieloma lustrami na ścianach i stołem nakrytym jakby do eleganckiego obiadu. Z obu stron drzwi frontowych, kiedy wreszcie do nich dotarli, ujrzeli dwie turkusowe donice. Otworzył im kamerdyner dość ponurego aksamitu – wysoki, chudy, siwy i apatyczny. Wymamrotał, że księcia Saradine'a nie ma w tej chwili w domu, ale że należy się go spodziewać lada godzina; dom jest gotowy dla niego i dla jego gości. Okazanie wizytówki z gryzmołami nakreślonymi zielonym atramentem obudziło iskierkę życia w pergaminowej twarzy posępnego służącego, który ze swego rodzaju niepewną uprzejmością zaproponował, by nieznajomi zostali.

– Jego wysokość może się zjawić w każdej chwili – powiedział – i byłby niepokieszony, gdyby rozminął się z jakimś zaproszonym przez siebie gentlemanem. Mamy polecenie trzymać w pogotowiu niewielki obiad na zimno, i jestem pewien, że jego wysokość życzyłby sobie, aby go podać.

Zaciekawiony tą drobną przygodą Flambeau zgodził się grzecznie i poszedł za starszym służącym, który zaprosił go ceremonialnie do długiego pokoju z jasną boazerią. Nie było w nim nic godnego uwagi poza dość niezwykłym naprzemiennym układem wielu podłużnych, niskich okien i wielu podłużnych, niskich, owalnych lusterek, który nadawał temu pomieszczeniu niezwykle lekki i niematerialny wygląd. Zdawało się, że jedzą obiad na świeżym powietrzu. W narożnikach wisiało kilka stonowanych obrazów; jednym z nich była duża, szara fotografia bardzo młodego mężczyzny w mundurze, drugim – wykonany czerwoną kredką szkic dwóch długowłosych chłopców. Kamerdyner,

spytany przez Flambeau, czy ów wojskowy to młody książę, zaprzeczył krótko; był to młodszy brat księcia, kapitan Stephen Saradine, powiedział służący. Po tym wyznaniu starszek niespodziewanie zamilkł i stracił wszelką chęć do rozmowy.

Po obiedzie, który zakończył się wyborną kawą i likierami, gościom zaprezentowano ogród, bibliotekę i gospodynię – śniadą, przystojną, niepozabawioną dostojeństwa damę o wyglądzie nieco plutonicznej Madonny. Najwyraźniej ona i kamerdyner byli jedynymi niedobitkami z dawnej cudzoziemskiej służby księcia; wszyscy pozostali służący byli nowi, wyszukani w okolicy przez gospodynię. Tę ostatnią nazywano panią Anthony, mówiła jednak ze słabym włoskim akcentem i Flambeau nie wątpił, że Anthony to angielska wersja jakiegoś bardziej romańskiego nazwiska. Pan Paul, kamerdyner, także miał w sobie coś z cudzoziemca, ale mówił i zachowywał się po angielsku, jak wielu najlepiej ułożonych służących kosmopolitycznej arystokracji.

Dom, pomimo swojej urody i unikatowości, pełen był dziwnego, świetlistego smutku. Dni mijały w nim jak godziny. Długie, wyposażone w liczne okna pokoje wydawały się pełne dziennego światła, ale światło to było martwe. Spoza wszystkich przypadkowych odgłosów – dźwięku rozmów, brzęku kieliszków albo kroków przechodzącej służby – ze wszystkich stron dobiegał ich melancholijny szmer rzeki.

– Wzięliśmy niewłaściwy zakręt i trafiliśmy w niewłaściwe miejsce – powiedział ksiądz Brown, wyglądając przez okno na szarozielone trawy i srebrzysty nurt rzeki. – Ale to nic; czasem można zrobić coś dobrego, jeśli jest się właściwą osobą na niewłaściwym miejscu.

Ksiądz Brown, choć był małym, zwykle milczącym człowiekiem, miał jednak osobiście dużo współczucia dla innych i przez tych kilka wlokących się w nieskończoność godzin nieświadomie wniknął w tajemnice tego domu o wiele głębiej niż jego przyjaciel, zawodowy detektyw. Posiadał ten dar życzliwego milczenia, które jest niezbędnym warunkiem pogawędki; w ten sposób, prawie nie mówiąc słowa, uzyskał od swoich nowych znajomych prawdopodobnie wszystkie informacje, jakich tak czy inaczej zgodziliby się udzielić. Kamerdyner był rzeczywiście ze swej natury małomówny. Zdradzał posępne, niemal zwierzęce przywiązanie do swego pana, który, jak powiedział, został bardzo źle potraktowany. Głównym winowajcą był najwyraźniej młodszy brat jego wysokości, bo na sam dźwięk jego imienia pociągała twarz starego sługi wydłużała się jeszcze bardziej, a jego zakrzywiony nos marszczył się szyderczo. Kapitan Stephen był jak się zdawało nieudacznikiem, który pozbawił dobrodusznego brata setek i tysięcy funtów, przez co tamten zmuszony był porzucić wystawne życie i zaszyć się w tej kryjówce. Tyle był gotów zdradzić Paul, kamerdyner, który najwyraźniej trzymał stronę swego pana.

Włoska gospodyni okazała się nieco bardziej rozmowna, ponieważ, jak spodziewał się ksiądz Brown, miała mniej powodów do zadowolenia. Wypowiadała się o swoim panu tonem nieco zjadliwym, choć niepozabawionym podziwu. Flambeau i jego przyjaciel stali w pokoju z lustrami, przyglądając się czerwonemu rysunkowi dwóch chłopców, gdy gospodyni weszła pospiesznie w jakichś domowych sprawach. Osobliwością tego lśniącego, wyłożonego szkłem pomieszczenia było to, że każdy wchodzący odbijał się

w czterech czy pięciu lustrach naraz i ksiądz Brown, bez odwracania się, umilkł w połowie jakiegoś krytycznego zdania na temat rodziny. Ale Flambeau, z twarzą przysuniętą blisko obrazu, mówił właśnie podniesionym głosem:

– Bracia Saradine, jak sądzę. Obaj wyglądają dość niewinnie. Trudno powiedzieć, który brat jest dobry, a który zły. – A potem, zdając sobie sprawę z obecności damy, obrócił całą rozmowę w żart i wyszedł do ogrodu. Ale ksiądz Brown nadal wpatrywał się uważnie w rysunek wykonany czerwoną kredką; a pani Anthony nadal wpatrywała się uważnie w księdza Browna.

Miała duże, tragiczne brązowe oczy, a na jej oliwkowej twarzy malował się ciemny rumieniec dziwnego, bolesnego zdumienia – jak u kogoś, kto wątpi w tożsamość albo zamiar nieznajomego. Czy ubiór i przynależność religijna małego księdza wzbudziły w niej jakieś południowe wspomnienie spowiedzi, czy też wydawało się jej, że ksiądz wie więcej, niż wiedział w rzeczywistości, w każdym razie odezwała się do niego cicho, jak do współspiskowca:

– W pewnym sensie ma rację ten ksiądz przyjaciel. Powiedział, że trudno byłoby wskazać, który brat jest dobry, a który zły. O tak, byłoby trudno, bardzo trudno wskazać, który jest dobry.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi – powiedział ksiądz Brown i zaczął się wycofywać.

Kobieta podeszła o krok bliżej, z nachmurzonym czołem, pochylona bojowo do przodu, jak byk z opuszczonymi rogami.

– Żaden nie jest dobry – syknęła. – Było sporo złego w tym, że kapitan zabrał te wszystkie pieniądze, ale niech ksiądz nie myśli, że było coś dobrego w tym, że ksiązę mu je dawał. Kapitan nie jest jedynym, któremu można coś zarzucić.

Odwrócona twarz duchownego rozjaśniła się, a jego usta bezgłośnie wypowiedziały słowo „szantaż”. W tej samej chwili kobieta obróciła nagle zbiełałą twarz i niemal padła na ziemię. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i stanął w nich blady Paul niczym duch kamerdynera. Zwariowana sztuczka lustrzanych ścian sprawiła, że wyglądało to tak, jakby pięciu kamerdynerów weszło równocześnie przez pięć różnych drzwi.

– Jego wysokość – zaanonsował służący – właśnie przyjechał.

Równocześnie za pierwszym oknem przesunęła się postać mężczyzny, który przeszedł przez słoneczny prostokąt jak przez oświetloną scenę. W sekundę później przeszedł za drugim oknem, a liczne lustra powtórzyły w kolejnych ujęciach ten sam orli profil i maszerującą sylwetkę. Mężczyzna był wyprostowany i żwawy, ale włosy miał białe, a jego cera była dziwnie żółtawego koloru kości słoniowej. Miał krótki, garbaty, rzymski nos, który zazwyczaj idzie w parze z pociągłą twarzą i długim podbródkiem, tę część jego twarzy przysłaniały jednak częściowo wąsy i hiszpańska bródka. Wąsy były o wiele ciemniejsze od brody, co nadawało im nieco teatralny wygląd, sam ksiązę zaś ubrany był tak, jakby przygotowywał się do odegrania jakiejś olśniewającej roli – miał biały cylinder, storczyk w butonierce, żółtą kamizelkę i żółte rękawiczki, którymi trzepał i wymachiwał idąc. Kiedy doszedł do drzwi frontowych, usłyszeli, jak służbista Paul otwiera je, a nowo przybyły mówi wesoło:

– No widzisz, oto jestem.

Paul skłonił się sztywno i odpowiedział coś w swój niedosłyszalny sposób; przez kilka minut nie było słycać, o czym rozmawiali. Potem kamerdyner powiedział:

– Wszystko jest do dyspozycji waszej wysokości – i wymachujący rękawiczkami książe Saradine wszedł wesoło do pokoju, by się z nimi przywitać. Znow zobaczyli tę upiorną scenę – pięciu ksiąząt wchodzących pięciorgiem drzwi do tego samego pokoju.

Książe odłożył biały kapelusz i żółte rękawiczki na stolik i serdecznie wyciągnął do nich dłoń.

– Jestem zachwycony, że pana widzę, panie Flambeau – powiedział. – Znam pana bardzo dobrze ze słyszenia, jeśli nie jest to nietaktowne stwierdzenie.

– Bynajmniej – odparł Flambeau ze śmiechem. – Nie jestem wrażliwy. Mało kto zawdzięcza swój rozgłos nieposzlakowanej cności.

Książe obrzucił go szybkim spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy uwaga ta zawierała jakiś osobisty przytyk, a potem również się roześmiał i zaproponował wszystkim, nie wyłączając siebie, by usiedli w fotelach.

– Myślę, że to całkiem miły domek – powiedział z pewną obojętnością. – Nie za wiele tu do roboty, obawiam się, ale wędkować można wyśmienicie.

Ksiądz Brown, który przyglądał się mu poważnym spojrzeniem dziecka, nawiedziła jakaś nienazwana mrzonka. Patrzył na siwe, troskliwie ułożone loki, na białe-żółte oblicze i szczupłą, nieco fircykowatą sylwetkę. Nie było w nich nic nienaturalnego, choć może miały w sobie cień przerysowania, jakby stanowiły kostium postaci występującej w światłach rampy. Jego nieokreślone zainteresowanie budziło jednak coś innego – sama budowa twarzy; dręczyło go niejasne wspomnienie, jakby gdzieś już ją kiedyś widział. Ten mężczyzna robił wrażenie starego znajomego w przebraniu. Potem duchowny nagle przypomniał sobie lustra i złożył swoje odczucia na karb jakiegoś psychologicznego efektu spowodowanego tym powielaniem ludzkich masek.

Książe Saradine obdzielał swoich gości uprzejmościami z wielkim taktem i wesołością. Dowiedziawszy się, że detektyw ma sportową smykałkę i chce dobrze wykorzystać swoje wakacje, skierował Flambeau i jego łódkę w najlepsze do wędkowania miejsce na rzece, po czym w dwadzieścia minut obrócił swoim czółnem, by dołączyć do siedzącego w bibliotece księdza Browna i równie uprzejmie pogрузić się w przyjemnościach bardziej filozoficznej natury. Wyglądało na to, że wie sporo zarówno na temat wędkowania, jak i na temat ksiązek, chociaż nie tych najbardziej pouczających; władał pięcioma czy sześcioma językami, chociaż znał głównie gwarowe odmiany każdego z nich. Najwyraźniej pomieszkiwał w najróżniejszych miastach i obracał się w bardzo mieszanym towarzystwie, bo niektóre z jego najzabawniejszych historii dotyczyły jaskiń hazardu i palarni opium, zbiegłych skazańców w Australii czy też rozbójników we Włoszech. Ksiądz Brown wiedział, że niegdyś sławny książe Saradine spędził kilka ostatnich lat w niemal nieprzerwanej podróży, nie podejrzewał jednak, że jego podróże były tak zabawne i tak podejrzane.

W rzeczywistości, mimo całej powagi światowca, książe Saradine roztaczał, dla wrażliwych obserwatorów, takich jak ksiądz Brown, atmosferę niepokoju, a nawet nieodpowiedzialności. Twarz miał zadbaną, ale wzrok rozbiegany; dokuczały mu nerwowe tiki, jak człowiekowi nadwątłonemu narkotykami lub alkoholem; nie panował

też – i wcale nie twierdził, że panuje – nad prowadzeniem domu. Zostało ono powierzone dwójgu starych służących, zwłaszcza kamerdynerowi, który był najwyraźniej główną podporą gospodarstwa. Pan Paul był w istocie nie tyle kamerdynerem, co kimś w rodzaju zarządcy, a nawet kanclerza; jadał osobno, ale z niemal takim samym przepychem jak jego pan; był postrachem wszystkich służących; z księciem zaś rozmawiał poprawnie, ale dość nieustępliwie – jakby był jego prawnikiem. Posępna gospodyni była jedynie jego bladym cieniem; w istocie wydawało się, że trzyma się na uboczu i obsługuje jedynie kamerdynera; ksiądz Brown nie usłyszał więcej tych wybuchowych szeptów, które niemal otwarcie poinformowały go o szantażowaniu starszego brata przez młodszego. Czy książe rzeczywiście był w ten sposób wykorzystywany przez nieobecnego kapitana, nie mógł być pewien, ale Saradine miał w sobie jakąś niepewność i skrytość, która sprawiała, że historia ta wcale nie wydawała się niewiarygodna.

Kiedy znów przeszli do długiej sali z oknami i lustrami, nad wodą i zarośniętymi wierzbą brzegami zapadał żółty zmierzch, a w oddali odzywał się miarowy głos bąka, jakby jakiś elf grał na miniaturowym bębenu. Przez głowę księdza, niczym szara chmura, przesunęło się znów to samo odczucie, że znalazł się w smutnej krainie złych czarów.

– Chciałbym, żeby Flambeau już wrócił – wymamrotał.

– Wierzy ksiądz w przeznaczenie? – spytał ni stąd, ni zowąd niespokojny książe Saradine.

– Nie – odparł jego gość. – Wierzę w Sąd Ostateczny.

Książe odwrócił się od okna i zlustrował go w niezwykle sposób, jego twarz tonęła w cieniu na tle zachodu słońca.

– Co ksiądz przez to rozumie?

– Rozumiem przez to, że na tym świecie jesteśmy jakby po niewłaściwej stronie gobelinu – wyjaśnił ksiądz Brown. – Rzeczy, które tu się zdarzają, z pozoru nie mają żadnego sensu; ale gdzie indziej mają sens. Tam zasłużona kara spotka prawdziwego złoczyńcę. Tutaj często wydaje się, że spada ona na niewłaściwego człowieka.

Książe wydał zagadkowy, zwierzęcy dźwięk; w ocienionej twarzy jego oczy pałały dziwnym ogniem. Nowa, przenikliwa myśl eksplodowała bezgłośnie w umyśle jego rozmówcy. Czy mieszanina błyskotliwości i nieopanowania księcia miała jakieś inne znaczenie? Czy Saradine... czy był przy całkiem zdrowych zmysłach? Powtarzał: „niewłaściwego człowieka, niewłaściwego człowieka...” o wiele więcej razy, niż było to do przyjęcia w towarzyskiej rozmowie.

A potem ksiądz Brown powoli zdał sobie sprawę z jeszcze innej prawdy. W lustrach przed sobą ujrzał bezgłośnie otwarte drzwi i stojącego w nich milczącego Paula, bladego i obojętnego jak zawsze.

– Uznałem, że lepiej oznajmić to od razu – powiedział z tym samym oficjalnym szacunkiem, niczym stary prawnik rodziny – do przystani przybiła łódź z sześcioma ludźmi przy wiosłach i gentlemanem na rufie.

– Łódź! – powtórzył książe. – Gentleman? – I zerwał się z miejsca.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza, przerywana tylko dziwnym głosem ptaka ukrytego w wysokich trawach; a potem, zanim ktokolwiek zdążył znów przemówić,

kolejna widziana z profilu twarz i sylwetka przesunęła się przez trzy oświetlone słońcem okna, podobnie jak księżę godzinę czy dwie wcześniej. Ale oprócz przypadkowego podobieństwa w orlim zarysie nosa, obie twarze miały ze sobą niewiele wspólnego. Zamiast nowego, białego cylindra Saradine'a, pojawił się czarny cylinder staromodnego czy też cudzoziemskiego kroju; twarz pod nim była młoda i bardzo poważna, gładko ogolona, z niebieskawym cieniem na silnym podbródku, trochę przypominająca młodego Napoleona. Skojarzenie to umacniał jeszcze cały jego dziwnie staroświecki wygląd, jakby człowiek ten nigdy nie zadał sobie trudu, by zmienić ubiór swoich ojców. Nosił niebieski frak, czerwoną, jakby wojskową kamizelkę i szorstkie białe spodnie, popularne we wczesnej epoce wiktoriańskiej, ale dziwnie niepasujące do współczesności. Na tle tej zawartości sklepu ze starzyzną odcinała się jego oliwkowa twarz, dziwnie młoda i przerażająco szczerą.

– Do diaska! – zaklął księżę Saradine i wcisnąwszy biały cylinder na głowę sam ruszył do drzwi, które otworzył gwałtownie na oświetlony zachodzącym słońcem ogród.

Nowo przybyły i jego towarzysze zdążyli już ustawić się na trawniku jak mała, sceniczna armia. Sześciu wioślarzy wyciągnęło łódkę daleko na brzeg i strzegło jej niemal złowrogo, trzymając wiosła na sztorc niczym włócznie. Wszyscy byli ogorzali, a niektórzy mieli w uszach kolczyki. Jeden z nich wystąpił jednak naprzód obok śniadego młodzieńca w czerwonej kamizelce; niósł dużą, czarną skrzynkę o niecodziennym kształcie.

– Pańskie nazwisko – odezwał się młodzieniec – brzmi Saradine?

Saradine potwierdził od niechcienia.

Nowo przybyły miał apatyczne, brązowe psie oczy, skrajnie różne od niespokojnych, lśniących, szarych oczu księcia. I znów księżdz Brown zaczął dręczyć wrażenie, że widział już gdzieś replikę tej twarzy; i znów przypomniał sobie powtarzające się odbicia w lustrzanym pokoju i spisał na ich karb tę dziwną zbieżność.

– Do licha z tym kryształowym pałacem! – mruknął. – Widzi się tu wszystko zbyt wiele razy, jakby we śnie.

– Jeśli jest pan księciem Saradine'em – przemówił znowu młodzieniec – mogę panu powiedzieć, że moje nazwisko brzmi Antonelli.

– Antonelli – powtórzył księżę powoli. – Coś mi to nazwisko mówi.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię – oznajmił Włoch.

Lewą ręką grzecznie zdjął swój staroświecki cylinder; prawą zaś wymierzył księciu Saradine'owi tak siarczasty policzek, że biały cylinder potoczył się w dół po schodach, a jedna z turkusowych doniczek zadrżała na postumencie.

Księżę, kimkolwiek był, najwyraźniej nie był jednak tchórzem; rzucił się swojemu wrogowi do gardła i niemal przydusił go do trawnika. Wróg wyswobodził się jednak, zachowując przy tym zupełnie niepasującą do okazji pośpieszną grzeczność.

– W porządku – powiedział, dysząc, łamaną angielszczyzną. – Obraziłem. Dam satysfakcję. Marco, otwieraj skrzynkę.

Towarzyszący mu mężczyzna z kolczykami i dużą, czarną skrzynką, zaczął ją otwierać kluczem. Wyjął z niej dwa włoskie rapiery o wspaniałych stalowych rękojeściach i klingach, a następnie wbił je w trawnik. Dziwny młody człowiek o śniadej,

mściwej twarzy stojący naprzeciw wejścia, dwie szpady sterczące z dani jak dwa cmentarne krzyże i wiosłarze ustawieni za nimi w szeregu – wszystko to dziwnie upodabniało tę scenę do jakiegoś barbarzyńskiego sądu. Zamieszanie nastąpiło jednak tak nagle, że wszystko poza tym pozostało niezmienione. Złoty blask zachodzącego słońca wciąż jarzył się na trawniku, a bąk nadal buczał miarowo, jakby oznajmiał jakiś drobny, ale przerażający wyrok losu.

– Wasza wysokość – odezwał się człowiek o nazwisku Antonelli – kiedy byłem dzieckiem w kołysce, zabił pan mego ojca i zabrał mi matkę; ojciec miał więcej szczęścia od matki. Nie zabił go pan uczciwie, jak ja zabiję pana. Pan, mości księżę, i moja niegodziwa matka, zabraliście go na przejażdżkę na odludną przełęcz na Sycylii, zrzuciliście go z urwiska i pojechaliście w swoją drogę. Mógłbym wziąć z pana przykład, gdybym chciał, ale zbyt wielką hańbą byłoby pana naśladować. Goniłem za panem po całym świecie, a pan stale mi się wymykał. Ale oto koniec świata – i pański koniec. Dopadłem pana wreszcie i daję panu wybór, którego nigdy nie dał pan mojemu ojcu. Proszę wybrać jedną z tych szpad.

Księżę Saradine jakby przez chwilę wahał się ze zmarszczonym czołem, ale w uszach nadal dzwonił mu cios młodzieńca, więc skoczył naprzód i chwycił jedną ze stalowych rękojeści. Ksiądz Brown także skoczył naprzód, starając się załagodzić spór, ale szybko przekonał się, że jego obecność tylko pogarsza sprawę. Saradine był francuskim masonem i zaciekle ateistą, więc ksiądz działał na niego zgodnie z zasadą przeciwieństw. Zaś co do drugiego mężczyzny, żaden ksiądz ani świecki w ogóle na niego nie działał. Młodzieniec o twarzy Bonapartego i brązowych oczach był kimś znacznie surowszym od purytanina – był poganinem. Był zwyczajnym zabójcą z najwcześniejszej epoki świata; człowiekiem z epoki kamienia – i człowiekiem z kamienia.

Jedyną nadzieją pozostawało wezwanie służby i ksiądz Brown wpadł z powrotem do domu. Przekonał się jednak, że wszyscy pomniejsi służący dostali wolne od autokratycznego Paula i że tylko pani Anthony krąży niespokojnie po długich wnętrzach. Ale w chwili, gdy zwróciła ku niemu okropnie pobladłą twarz, ksiądz Brown rozwiązał jedną z zagadek lustrzanego domu. Ciężkie, brązowe spojrzenie Antonellego było ciężkim, brązowym spojrzeniem pani Anthony; i w mgnieniu oka zrozumiał połowę tej historii.

– Pani syn jest przed domem – powiedział bez zbędnych słów – zginie albo on, albo księżę. Gdzie jest pan Paul?

– Na przystani – odparła słabym głosem kobieta. – On... on... wzywa pomoc.

– Pani Anthony – powiedział ksiądz Brown poważnie. – Nie traćmy czasu na bzdury. Mój przyjaciel na swojej łodzi łowi ryby w dole rzeki. Łódź pani syna jest strzeżona przez jego ludzi. Jest tylko jedno jedyne czółno; co pan Paul z nim robi?

– Santa Maria! Nie mam pojęcia – odrzekła i padła jak długa na pokrytą matami podłogę.

Ksiądz Brown przeniósł ją na kanapę, oblał wodą, zawołał o pomoc, a potem pognał na przystań maleńkiej wysepki. Ale czółno było już na środku rzeki, a stary Paul napierał na wiosła, pchając łódkę w górę rzeki z niewiarygodną jak na swoje lata energią.

– Ocalę mego pana – wołał, a oczy płonęły mu szaleństwem. – Jeszcze go ocalę!

Księdzu Brownowi nie pozostało nic innego, jak tylko patrzeć za łodzią posuwającą się w górę strumienia i modlić się, by staremu słudze udało się na czas obudzić senne miasteczko.

– Pojedynek to nic dobrego – mamrotał, mierzwiąc swoje szorstkie, szare jak kurz włosy – ale ten pojedynek nie jest nawet porządnym pojedynkiem. Czuję to w kościach. Ale co z nim może być nie tak?

Kiedy tak stał zapatrzony w wodę, falujące zwierciadło zachodu, z drugiego końca ogrodu na wyspie dobiegł go cichy, ale niemożliwy do pomylenia dźwięk – zimne szczęknięcie stali. Odwrócił głowę.

W oddali, na najdalszym przylądku czy też cyplu wyspy, na pasie trawy za ostatnim rzędem róż, dwaj pojedynkujący się skrzyżowali już szpady. Wieczorne niebo nad nimi było kopułą dziewiczego złota i pomimo oddalenia każdy szczegół był wyraźnie widoczny. Zrzucili wierzchnie okrycia, ale żółta kamizelka i białe włosy Saradine’a oraz czerwona kamizelka i białe spodnie Antonellego połyskiwały w poziomych promieniach słońca jak kolory tańczących zegarowych figurek. Dwie szpady błyszczały od czubka ostrza aż po główce rękojeści jak dwie brylantowe spinki. Było coś przerażającego w tym, że te dwie postacie zdawały się tak małe i barwne. Wyglądały jak dwa motyle próbujące przyszpilić się nawzajem do kawałka korka.

Książ Brown puścił się biegiem najszybciej jak potrafił, a jego krótkie nogi obracały się prędko jak śmigła wiatraka. Ale kiedy dotarł na pole bitwy, przekonał się, że urodził się za późno i za wcześnie zarazem – za późno, żeby przerwać konflikt w cieniu ponurych Sycylijczyków opartych na wiosłach, i za wcześnie, żeby móc przewidzieć jakiś katastrofalny wynik tego zmagania. Obaj mężczyźni byli bowiem zdumiewająco dobranymi przeciwnikami; książe posługiwał się swoimi umiejętnościami ze swego rodzaju cyniczną pewnością siebie, natomiast Sycylijczyk – z morderczą precyzją. W zatłoczonych amfiteatrach oglądano niewiele świetniejszych pojedynków niż ten, który dźwięczał i błyszczał na zapomnianej wysepce wśród trzcin. Chwiejna równowaga utrzymywała się tak długo, że protestujący ksiądz zaczął odzyskiwać nadzieję; wedle wszelkiego zwykłego prawdopodobieństwa Paul powinien wkrótce wrócić z policją. Byłoby jakimś pocieszeniem, gdyby chociaż Flambeau wrócił z wędkowania, bowiem Flambeau, pod względem sprawności fizycznej, wystarczyłby za czterech ludzi. Nie było jednak ani śladu Flambeau, a co jeszcze dziwniejsze – ani śladu Paula i policji. Nie było żadnej tratwy ani kawałka drewna, na którym można by popłynąć do brzegu; na tej zagubionej wysepce na bezimiennym rozlewisku byli odcięci od świata jak na samotnej skale wśród fal Pacyfiku.

Niemal w tej samej chwili, gdy przyszła mu do głowy ta myśl, szcęk rapierów zmienił się w terkot, książe wyrzucił ręce w górę, a spomiędzy jego łopatek wystrzelił czubek ostrza. Saradine zatoczył się szerokim, kolistym ruchem, jak chłopiec próbujący zrobić gwiazdę. Szpada wystrzeliła z jego ręki jak spadająca gwiazda i utonęła daleko w rzece. On sam zaś padł na ziemię z tak wstrząsającym impetem, że złamał własnym ciałem duże drzewko różane, wzbijając przy tym chmurę czerwonego pyłu, który uniośł się w niebo jak dym jakiegoś pogańskiego obrzędu. Sycylijczyk złożył krwawą ofiarę duchowi swego ojca.

Ksiądz natychmiast rzucił się na kolana przy zabitym; ale tylko po to, by przekonać się aż za dobrze, że rzeczywiście nie żyje. Przeprowadzał jeszcze ostatnie, rozpaczliwe oględziny, gdy po raz pierwszy dosłyszał głosy dobiegające z górnego odcinka rzeki i zobaczył łódź policyjną przybijającą w pośpiechu do przystani, z posterunkowym i innymi ważnymi osobami na pokładzie, wśród których nie brakło rozemocjonowanego Paula. Mały ksiądz podniósł się z wyraźnym powątpiewaniem na twarzy.

– Dlaczego na Boga – mruzczał – dlaczego na Boga nie mógł się zjawić wcześniej?

Jakieś siedem minut potem wysepka znalazła się pod okupacją ludzi z miasta i policjantów; ci ostatni pochwycili zwycięskiego pojedyńkowicza, przypominając mu zwyczajowo, że wszystko, co powie, może być użyte przeciwko niemu.

– Nie powiem ani słowa – stwierdził maniak z cudownie spokojną twarzą. – Już nigdy nie powiem ani słowa. Jestem bardzo szczęśliwy i chcę tylko, żeby mnie powieszono.

Potem, gdy go odprowadzano, zamknął usta i niezwykłą, ale niepodważalną prawdą jest, że nie otworzył ich już nigdy na tym świecie; chyba tylko raz, by powiedzieć na swoim procesie „Przyznaję się do winy”.

Ksiądz Brown przyglądał się zatłoczonemu nagle ogrodowi, aresztowaniu krwawego człowieka i usunięciu ciała po jego uprzednim zbadaniu przez doktora trochę tak, jak człowiek patrzy na rozwiewający się zły sen; stał nieruchomo jak człowiek w sennym koszmarze. Podał swoje nazwisko i adres jako świadek, ale odrzucił propozycję przewiezienia łódką na brzeg i pozostał sam w ogrodzie na wyspie, przyglądając się złamanemu krzewowi róży i całej zielonej scenerii tej szybkiej i niewytłumaczalnej tragedii. Światło dnia zamarło nad rzeką; mgła podniosła się z podmokłych brzegów; kilka spóźnionych ptaków przemknęło niespokojnie po niebie.

W jego podświadomości (którą charakteryzowała wyjątkowa żywotność) wciąż tkwiło uparcie niewypowiedziane przekonanie, że w tej sprawie nadal pozostało coś niewyjaśnionego. Wrażenia, które nawiedzało go przez cały dzień, nie można było w pełni wyjaśnić złudzeniem z „krainy luster”. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że nie oglądał prawdziwej historii, tylko coś w rodzaju gry lub maski. A przecież ludzie nie dają się powiesić albo przebić szpadą na użytek komedii.

Gdy tak siedział pogrążony w rozmyślaniach na stopniach przystani, z wolna dotarła do niego świadomość, że po lśniącej rzece zbliża się do niego wysoki, ciemny kształt żagla i zerwał się na nogi ogarnięty tak nagłym przypiływem uczuć, że niemal wybuchnął płaczem.

– Flambeau! – wołał, ściskając raz po raz obie ręce zdumionego wędkarza, który zszedł na ląd ze sprzętem w ręku. – Flambeau – powiedział raz jeszcze ksiądz Brown – a więc ty żyjesz!

– Żyję? – powtórzył wędkarz z bezbrzeżnym zdumieniem. – A czemu miałbym nie żyć?

– Ach, bo prawie wszyscy inni nie żyją – odparł jego towarzysz nieco bezładnie. – Saradine zamordowany, Antonelli chce być powieszony, jego matka zemdląca, a ja sam nie wiem, czy jestem na tym, czy na tamtym świecie. Ale, dzięki Bogu, ty jesteś taki sam.

– I wziął oszołomionego Flambeau pod rękę.

Zawróciwszy od przystani, weszli pod niski okap bambusowego domu i zajrzeli do środka przez jedno z okien zupełnie tak samo, jak zaraz po przybyciu. Zobaczyli wnętrze oświetlone blaskiem lampy i dobrze obliczone na to, by przyciągnąć ich wzrok. Stół w długim pokoju jadalnym był już nakryty do kolacji, kiedy zabójca Saradine’a spadł na wyspę jak piorun z jasnego nieba. Teraz trwała ona w najlepsze, bo na końcu stołu siedziała nieco posępna pani Anthony, a u jego szczytu zasiadał pan Paul, majordomus, racząc się najlepszymi trunkami i potrawami; mętne niebieskawe oczy miał dziwnie wytrzeszczone, a na jego wymizerowanej twarzy malował się wyraz nieprzenikniony, ale niepozbawiony satysfakcji.

W przyplýwie wielkiego zniecierpliwienia Flambeau zastukał w okno, otworzył je siłą i, oburzony, wsunął głowę do oświetlonego wnętrza.

– No – zawołał – mogę sobie wyobrazić, że potrzebuje pan posiłku, ale doprawdy, kraść wieczerzę swego chlebobdawcy, podczas gdy on leży martwy w ogrodzie...

– Ukradłem wiele rzeczy w moim długim, przyjemnym życiu – odparł dziwny stary gentleman spokojnie – ten obiad jest jedną z niewielu rzeczy, których nie ukradłem. Ten obiad i ten dom, i ten ogród przypadkiem należą do mnie.

Jakaś nowa myśl odbiła się na twarzy Flambeau.

– Chce pan powiedzieć – zaczął – że testament księcia Saradine’a...

– Ja jestem księżę Saradine – odparł starszy pan, pogryzając solone migdały.

Ksiądz Brown, który przyglądał się ptakom na dworze, podskoczył jak oparzony i wsunął w okno bladą, podobną do rzepy twarz.

– Kim pan jest? – zawołał piskliwym głosem.

– Jestem Paul, ksiązę Saradine, *à vos ordres* – odparła grzecznie czcigodna osobistość, unosząc kieliszek sherry. – Będąc z natury domatorem, prowadziłem tu bardzo spokojne życie; z wrodzonej skromności występowałem jako pan Paul dla odróżnienia od mego nieszczęsnego brata, pana Stephena. Z tego, co słyszałem, podobno zginął niedawno w ogrodzie. Oczywiście, to nie moja wina, że wrogowie ścigali go aż tutaj. Wszystko przez jego pożałowania godny, nieuregulowany tryb życia. Nie miał charakteru domatora.

Pogrzyzył się znów w milczeniu i siedział ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę, tuż nad pochyloną, ciemną głową kobiety. Zobaczyli teraz wyraźnie rodzinne podobieństwo, które nie dawało im spokoju w twarzy zamordowanego. Potem jego starcze ramiona zaczęły unosić się i drgać, jakby się krztusił, ale jego twarz pozostała niezmienną.

– Mój Boże! – zawołał Flambeau po chwili milczenia. – On się śmieje!

– Chodźmy – powiedział ksiądz Brown, biały jak ściana. – Oddalmy się od tego piekielnego domu. Wsiądźmy z powrotem do jakiejś uczciwej łodzi.

Noc skrywała już trzciny i rzekę, gdy odbili od wyspy i popłynęli dalej, rozgrzewając się dwoma wielkimi cygarami, które świeciły w ciemnościach jak czerwone latarnie statku. Ksiądz Brown wyjął cygaro z ust i powiedział:

– Potrafisz chyba teraz odgadnąć całą historię? Ostatecznie jest dość prymitywna. To był mądry człowiek. Dlatego wpadł na to, że co dwóch wrogów, to nie jeden.

– Nie nadążam – bąknął Flambeau.

– Ach, to całkiem proste – ciągnął jego przyjaciel. – Proste, chociaż wcale nie niewinne. Obaj bracia byli łotrami, ale ksiązę, czyli starszy z nich, należał do łotrów, którzy wspinają się na szczyty, a młodszy, czyli kapitan, należał do tych, co idą na dno. Ten nędzny oficer z żebraka stał się szantażystą i pewnego okropnego dnia chwycił w swoje szpony brata, czyli księcia. Oczywiście, nie była to żadna błahostka, bo ksiązę Paul Saradine był prawdziwym hulaką i nie miał reputacji, którą mógłby stracić z powodu zwykłych towarzyskich przewinień. W istocie chodziło o sprawę, za którą grozi szubienica i Stephen dosłownie zarzucił bratu stryczek na szyję. Jakimś cudem dowiedział się prawdy o sycylijskiej awanturze i mógł udowodnić, że to Paul zamordował starego Antonellego w górach. Kapitan zgarniał grube kwoty w zamian za milczenie przez dziesięć lat, aż w końcu nawet świetna fortuna księcia zaczęła wyglądać trochę marnie.

Ksiązę Saradine jednak dźwigał jeszcze jeden ciężar poza bratem krwiopijcą. Wiedział, że syn Antonellego, który był ledwie dzieckiem w chwili morderstwa, został wychowany w poczuciu okrutnej sycylijskiej lojalności i żył tylko po to, by pomścić ojca, ale nie przez stryczek (bo brakowało mu dowodów, którymi dysponował Stephen) tylko przez stare narzędzie wendety. Chłopiec trenował posługiwanie się bronią ze śmiertelną precyzją i mniej więcej w tym czasie, gdy osiągnął wiek pozwalający mu na użycie broni, ksiązę Saradine, jak donosiły plotkarskie gazety, zaczął podróżować. W rzeczywistości uciekał w obawie o własne życie, przenosząc się z miejsca na miejsce jak zaszczute zwierzę; nieustępliwy młodzieniec wciąż jednak podążał jego śladem. Takie było wcale niełatwe położenie księcia Paula. Im więcej pieniędzy wydawał na ucieczkę przed Antonellim, tym mniej mu zostawało na ucieszenie Stephena. Im więcej dawał Stephenowi, by zapewnić sobie jego milczenie, tym mniejsze miał szanse na ostateczną ucieczkę przed Antonellim. Właśnie wtedy okazał się wielkim człowiekiem – geniuszem na miarę Napoleona.

Zamiast opierać się swoim dwóm przeciwnikom, nagle poddał się obu. Usunął się jak japoński zapaśnik, a jego wrogowie padli przed nim na ziemię. Zrezygnował z wyścigu dookoła świata i zdradził swój adres Antonellemu; a potem zrzekł się wszystkiego na rzecz brata. Wysłał Stephenowi kwotę wystarczającą na elegancki ubiór i wygodną podróż wraz z listem, w którym napisał mniej więcej tak: „To wszystko, co mi zostało. Oskubałeś mnie do czysta. Mam jeszcze dom w hrabstwie Norfolk, ze służbą i piwnicą, i jeśli chcesz jeszcze czegoś ode mnie, musisz wziąć ten dom. Przyjedź i obejmij go w posiadanie, a ja będę mieszkał tam cicho jako twój przyjaciel, agent czy ktokolwiek inny”. Wiedział, że Sycylijczyk nigdy nie widział braci Saradine, widywał tylko ich portrety; wiedział, że są do siebie podobni i że obaj mają siwe, szpiczaste bródki. Wtedy ogolił się i czekał. Pułapka zadziałała. Nieszczęsny kapitan, w nowym ubraniu, wszedł do domu triumfalnie jako ksiązę i nadział się na szpadę Sycylijczyka.

Była tylko jedna komplikacja, która świadczy na korzyść ludzkiej natury. Złe duchy takie jak Saradine często popełniają błąd przez to, że nie liczą na szlachetność rodzaju ludzkiego. Dla niego było oczywiste, że cios Włocha, gdy spadnie, będzie mroczny, potężny i bezimienny, jak ten wcześniejszy cios, który domagał się zemsty; że ofiara zostanie zasztyletowana w nocy albo zastrzelona z zażywością i że

zginie bez słowa. Zła chwila nadeszła dla księcia Paula, kiedy rycerskość Antonellego kazała mu zaproponować formalny pojedynek, ze wszystkimi możliwymi wyjaśnieniami. To wtedy zobaczyłem go, jak odpływał łodzią z obłędem w oczach. Uciekał z gołą głową, w otwartej łodzi, zanim Antonelli mógłby dowiedzieć się, kim on jest naprawdę.

Ale mimo wielkiego podniecenia nadzieja go nie opuszczała. Znał zarówno awanturnika, jak i fanatyka. Było całkiem prawdopodobne, że Stephen, awanturnik, będzie trzymał język za zębami, ze względu na czysto aktorską przyjemność odegrania swojej roli, pragnienie zatrzymania wygodnej siedziby, łajdacką ufność we własne szczęście i mistrzostwo w fechtunku. Można było być także pewnym, że Antonelli, fanatyk, będzie trzymał język za zębami i da się powiesić, nie rozpowszechniając plotek o swojej rodzinie. Paul czał się na rzece, dopóki nie stwierdził, że walka się skończyła. Wtedy zaalarmował miasteczko, sprowadził policję, zobaczył, jak dwaj pokonani wrogowie znikają na zawsze z jego życia i z uśmiechem zasiadł do kolacji.

– Na Boga, nawet ze śmiechem – dodał Flambeau i wzdrygnął się potężnie. – Skąd oni biorą takie pomysły? Od szatana?

– Księżę zaczerpnął ten pomysł od ciebie – odparł ksiądz.

– Niech Bóg broni! – wykrzyknął Flambeau. – Ode mnie! O czym ty mówisz?

Ksiądz Brown wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podniósł ją w nikłym blasku swojego cygara; była zabazgrana zielonym atramentem.

– Nie pamiętasz już tego pierwszego zaproszenia – spytał – i komplementów na temat twoich zbrodniczych osiągnięć? „Pańska sztuczka – jest tu napisane – z aresztowaniem jednego detektywa przez drugiego”. On zwyczajnie skopiował twoją sztuczkę. Jako że wrogowie nacierali na niego z obu stron, po prostu usunął się cichcem z drogi i pozwolił, by wpadli na siebie i pozabijali się nawzajem.

Flambeau wyrwał wizytówkę księcia z ręki duchownego i z wściekłością podarł ją na drobne kawałki.

– Koniec z tą starą trupią czaszką – powiedział, rozrzucając strzępy papieru po ciemnych, niksących w mroku falach rzeki – chociaż pewnie wytruje ryby.

Ostatni przeblysł białego papieru i zielonego atramentu pociemniał i utonął; barwa nieba ożywiła się nieco jakby zapowiedzią poranka, a księżyc za kępami wysokich traw stawał się coraz bledszy. Dryfowali dalej w milczeniu.

– Ojciec – odezwał się nagle Flambeau – myślisz, że to wszystko był tylko sen?

Ksiądz potrząsnął głową, czy na znak zaprzeczenia, czy też niewiedzy, ale pozostał niemy. Woń kwitnących głógów i sadów nadpłynęła do nich z ciemności, dając im odczuć, że wiatr się obudził; w następnej chwili bryza zakołysała ich łódką i napełniła żagiel, by nieść ich dalej krętą rzeką ku szczęśliwszym miejscom i domom niewinnych ludzi.

MŁOT BOGA

Mała wioska Bohun Beacon wznosiła się na tak stromym wzgórzu, że wysoka wieża tamtejszego kościoła wyglądała po prostu jak czubek niewielkiej góry. U stóp kościoła położona była kuźnia, zazwyczaj połyskująca czerwonym ogniem i pełna porzrzucanych młotków i kawałków żelaza; naprzeciwko niej, za przecięciem brukowanych uliczek tworzących nieregularny krzyż, mieściła się jedyna w tej miejscowości gospoda „Pod Błękitnym Dzikim”. Właśnie na tym skrzyżowaniu, pod ołowiano-srebrnym niebem poranka, spotkali się i rozmawiali ze sobą dwaj bracia, chociaż jeden dopiero zaczynał, a drugi kończył swój dzień. Przewielebny i Jaśnie Wielmożny Wilfred Bohun był człowiekiem bardzo pobożnym i o świcie spieszył na jakieś surowe ćwiczenia duchowe, modlitwę czy też kontemplację. Natomiast Jaśnie Wielmożny Pan Pułkownik Norman Bohun, starszy z dwóch braci, nie był ani trochę pobożny; siedział w wieczorowym stroju na ławce przed gospodą „Pod Błękitnym Dzikim” i popijał z kieliszka, który filozoficznie nastawiony obserwator mógł uznać albo za ostatni kieliszek we wtorek albo pierwszy w środę. Pułkownik nie przywiązywał wagi do takich drobiazgów.

Bohunowie byli jednym z bardzo nielicznych arystokratycznych rodów rzeczywiście wywodzących się ze średniowiecza, a ich chorągiew naprawdę widziała Palestynę. Byłoby jednak wielkim błędem przypuszczać, że rody takie zachowują wzniosłą rycerską tradycję. Tradycji nie zachowuje prawie nikt poza biedotą. Arystokraci nie żyją tradycjami, tylko modami. Bohunowie, idąc za modą, byli postrachem londyńskich ulic w czasach królowej Anny⁷ i postrachem kobiecych serc w czasach królowej Wiktorii⁸. Ale jak niejeden naprawdę starożytny ród, tak i ten popsuł się w ciągu ostatnich dwóch wieków, wydając pijaków i zdegenerowanych dandysów, aż w końcu zaczęto szeptać nawet o obłędzie. Z pewnością było coś nie do końca ludzkiego w wilczej pogoni pułkownika za przyjemnościami, a jego niezmiennie postanowienie, by nie wracać do domu przed świtem, miało w sobie coś z przerażająco trzeźwej bezsenności. Pułkownik był wysokim, pięknym okazem zwierzęcia, a pomimo podeszłego wieku jego włosy zachowały zaskakująco żółty kolor. Byłby wyglądał na zwykłego blondyna o lwiej grzywie, gdyby nie błękitne oczy zapadnięte tak głęboko, że robiły wrażenie czarnych, i osadzone nieco za blisko siebie. Miał bardzo długie, równie żółte wąsy, a po obu ich stronach biegnące od nosa do podbródka bruzdy, które sprawiały, że szydarczy grymas zdawał się wyryty na jego twarzy. Na wieczorowy strój miał narzucony dziwny bladożółty płaszcz, wyglądający bardziej na cienki szlafrok niż na wierzchnie okrycie, a na głowie zsunięty do tyłu niezwykle, rozłożysty kapelusz w kolorze jaskrawej zieleni, najwyraźniej jakieś wschodnie kuriozum złapane na chybił trafił. Pułkownik z dumą obnosił tak niestosowne stroje – dumą wynikała z faktu, że na nim zawsze wyglądały stosownie.

Jego brat, anglikański wikary, był równie żółtowłosy i elegancki, jednak czarny strój miał zapięty pod samą szyję, a gładko wygolona, zadbana twarz zdradzała oznaki nerwowości. Żył, jak się zdawało, wyłącznie dla swojej religii; niektórzy jednak (a zwłaszcza kowal, prezbiterianin), twierdzili, że bardziej niż Boga kocha gotycką

architekturę i że nawiedza kościół jak duch tylko dlatego, że trawi go czystsza odmiana tej samej, niemal chorobliwej namiętności do piękna, która jego bratu każe szaleć za kobietami i winem. Był to zarzut wielce wątpliwy, natomiast co do pobożnych praktyk duchownego nie mogło być wątpliwości. W istocie zarzut ten brał się w dużej mierze stąd, że nie rozumiano jego umiłowania samotności i ukrytej modlitwy, oraz z faktu, że wikarego często widywano na klęczkach nie przed ołtarzem, ale w różnych najdziwniejszych miejscach – w krypcie albo na chórze, albo nawet na dzwonnicy. W tej właśnie chwili miał wejść do kościoła przez podwórko kuźni, ale zatrzymał się i zmarszczył czoło, widząc, że zapadnięte oczy brata patrzą w tym samym kierunku. Rozważanie hipotezy, że pułkownik może być zainteresowany kościołem, uznał za zbędne. Pozostawała zatem kuźnia, a chociaż kowal był purytaninem i nie chodził do jego kościoła, Wilfred Bohun słyszał skandaliczne plotki na temat jego pięknej i raczej znanej żony. Rzucił podejrzliwe spojrzenie na warsztat, a wtedy pułkownik wstał i przemówił do niego ze śmiechem:

– Dzień dobry, Wilfredzie. Jako dobry dziedzic nieustannie troszczę się o swoich ludzi. Właśnie zamierzam odwiedzić kowala.

Wilfred wbił wzrok w ziemię i powiedział:

– Kowala nie ma. Pojechał do Greenford.

– Wiem – odparł tamten, śmiejąc się bezgłośnie – właśnie dlatego zamierzam go odwiedzić.

– Normanie – spytał duchowny, przyglądając się uważnie jakiemuś kamyczkowi na ulicy – nigdy nie bałeś się piorunów?

– O co ci chodzi? – odpowiedział pytaniem pułkownik. – Czy meteorologia to twoje nowe hobby?

– Chodzi mi o to – odparł Wilfred, nie podnosząc wzroku – czy nigdy nie myślałeś, że Bóg mógłby cię razić piorunem nawet tu, na ulicy?

– Wybacz, proszę – powiedział pułkownik. – Widzę, że twoje hobby to raczej folklor.

– A ja wiem, że twoje hobby to bluźnierstwo – odciął się duchowny, ukłuty w swój jedyny wrażliwy punkt. – Ale nawet jeśli nie boisz się Boga, masz wszelkie powody, by bać się człowieka.

Starszy brat uniósł uprzejmie brwi.

– Bać się człowieka? – powtórzył.

– Barnes, kowal, jest największym i najsilniejszym mężczyzną w promieniu czterdziestu mil – powiedział poważnie wikary. – Wiem, że nie jesteś tchórzem ani łamagą, ale on mógłby cię przerzucić przez ten mur.

Ta uwaga, jako prawdziwa, odniosła skutek, i ponure bruzdy między ustami a nosem pułkownika Bohuna pogłębiły się i pociemniały. Chwilę stał z wyrazem ciężkiego szyderstwa na twarzy. Ale już po chwili odzyskał cięte poczucie humoru i roześmiał się, odsłaniając pod żółtymi wąsami zęby podobne do psich kłów.

– W takim razie, mój drogi Wilfredzie – powiedział całkiem beztrzesko – ostatni z Bohunów miał rację, wychodząc z domu częściowo opancerzony.

To mówiąc, zdjął z głowy dziwny okrągły kapelusz z zielonym pokryciem

i odsłonił jego blaszane, stalowe wnętrze. Wilfred rozpoznał w nim lekki japoński czy też chiński hełm, porwany widocznie spośród trofeów wiszących w holu ich rodzinnej siedziby.

– To był pierwszy kapelusz, który wpadł mi w rękę – wyjaśnił jego brat z nonszalancją. – Jak zwykle, pierwszy lepszy kapelusz... i pierwsza lepsza kobieta.

– Kował wyjechał do Greenford – powiedział cicho Wilfred – i nie wiadomo, kiedy wróci.

Z tymi słowami odwrócił się i wszedł do kościoła z pochyloną głową, żegnając się znakiem krzyża jak ktoś, kto chce się uwolnić od nieczystego ducha. Chciał jak najszybciej zapomnieć o tym grubiaństwie w chłodnym półmroku wysokich gotyckich krużganków, ale tego ranka los chciał, że drobne wstrząsy na każdym kroku zakłócały stałą rutynę jego ćwiczeń duchowych. Kiedy wszedł do kościoła, który o tej godzinie zwykle świecił pustkami, jakiś człowiek zerwał się z kolan i ruszył w stronę jasnego wyjścia. Na jego widok wikary zamarł zaskoczony. Bowiem tym, kto oddawał cześć Bogu o tak wczesnej porze, był nie kto inny, tylko miejscowy głupek, siostrzeniec kowala, który nigdy wcześniej nie chciał ani nie potrafił interesować się kościołem ani czymkolwiek innym. Zawsze wołano na niego Głupi Joe, jakby nie miał żadnego innego imienia; był to ciemnowłosa, silny, zgarbiony chłopak o bladej twarzy, prostych ciemnych włosach i wiecznie otwartych ustach. Kiedy mijał duchownego, jego cieleca twarz nie zdradzała nic z tego, co robił albo o czym myślał. Nigdy przedtem nie widziano, aby się modlił. Jakie modlitwy mógł odmawiać teraz? Z pewnością niezwykle.

Wilfred Bohun stał przykuty do miejsca wystarczająco długo, by zobaczyć, że kretyn wychynął na słońce i że pułkownik przywitał się z nim z żartobliwą dobroduszością. Ostatnim widokiem, jaki ujrzał wikary, był jego rozwiązły brat rzucający pensami w kierunku otwartych ust Joego z takim zapamiętaniem, jakby naprawdę chciał w nie trafić.

Ten odrażający, opromieniony słońcem obraz ziemskiej głupoty i okrucieństwa skłonił wreszcie ascetę do modlitwy o oczyszczenie i odnowienie myśli. Wszedł na galeryjkę i ukląkł w ławce pod witrażowym oknem, które bardzo lubił i które zawsze go uspokajało; było to błękitne okno przedstawiające anioła niosącego lilie. Tam nie myślał już tyle o półgłówku, jego chorobliwie bladej twarzy i rybich ustach. Nie myślał już tyle o swoim złym bracie, krążącym jak wychudły, zgłodniały lew. Zapadał się coraz głębiej w chłodne, błogie kolory srebrzystych kwiatów i szafirowego nieba.

W tym samym miejscu pół godziny później znalazł go Gibbs, miejscowy szewc, którego posłano po niego w pewnym pośpiechu. Duchowny prędko zerwał się na nogi, bo wiedział, że żadna błahostka nie skłoniłaby Gibbsa do odwiedzenia takiego miejsca. Szewc, podobnie jak wielu innych wiejskich szewców, był ateistą, a jego pojawienie się w kościele było jeszcze dziwniejsze niż pojawienie się tam Głupiego Joe. Ten poranek był pełen teologicznych tajemnic.

– O co chodzi? – spytał Wilfred Bohun raczej sztywno, sięgając drżącą ręką po kapelusz.

Ateista przemówił tonem, jak na niego zaskakująco pełnym szacunku, a nawet lekko schrypniętym z powodu współczucia.

– Proszę wybaczyć – przemówił gardłowym szeptem – ale zdawało nam się, że nie będzie w porządku, jak księdza nie zawiadomimy od razu. Obawiam się, że stało się coś okropnego. Obawiam się, że księdza brat...

Wilfred zacisnął wątle dłońe.

– Jakie nowe diabelstwo wymyślił tym razem? – wykrzyknął z niepohamowaną pasją.

– Hm, proszę księdza – wymamrotał szewc i odkaszlnął. – Obawiam się, że nic nie wymyślił i już nic nie wymyśli. Obawiam się, że z nim koniec. Naprawdę lepiej, żeby ksiądz zszedł na dół.

Wikary zszedł za szewcem po krótkich, kręconych schodach, które doprowadziły ich do bocznego wyjścia powyżej poziomu ulicy. Bohun jednym spojrzeniem ogarnął scenę tragedii, rozciągającą się płasko jak mapa u jego stóp. Na podwórzu kuźni stało pięciu czy sześciu ludzi, ubranych przeważnie na czarno, jeden z nich w mundurze inspektora policji. Był tam lekarz, duchowny prezbiteriański i ksiądz z katolickiej kaplicy, do której chodziła żona kowala. I rzeczywiście, ten ostatni mówił coś w tej właśnie chwili bardzo szybko, przyciszonym głosem, do łkającej rozpaczliwie na ławie pięknej kobiety o złotorudych włosach. Między tymi dwiema grupami zebranych, tuż obok głównego stosu młotków, leżał mężczyzna w wieczorowym stroju, z rozrzuconymi rękami i nogami, twarzą do ziemi. Z wysokości schodów Wilfred mógłby przysiąc, że zna każdy szczegół jego stroju i wyglądu, aż po sygnety rodu Bohunów na palcach jego rąk; ale w miejscu czaszki widniał jedynie wstrętny rozbryzg, jakby gwiazda czerni i krwi.

Wilfred Bohun obrzucił to wszystko szybkim spojrzeniem i zbiegł po schodach na podwórze. Doktor, który był lekarzem rodziny, pozdrowił go, on jednak prawie nie zwrócił na to uwagi. Mógł tylko wyjąkać:

– Mój brat nie żyje. Co to znaczy? Cóż to za straszna zagadka?

Zapadła pełna przygnębienia cisza, a potem szewc, najbardziej wygadany ze wszystkich obecnych, odpowiedział:

– Koszmarnie wygląda, to prawda. Ale nie ma w tym nic zagadkowego.

– Jak to? – spytał Wilfred ze zbielełą twarzą.

– To całkiem jasne – odparł Gibbs. – Tylko jeden człowiek na czterdzieści mil wokoło mógł wymierzyć tak silny cios, i ten człowiek miał najlepszy powód, żeby to zrobić.

– Nie powinniśmy przedwcześnie wyrokować – wtrącił doktor, wysoki czarnobrody mężczyzna, dość nerwowym głosem – ale mam kwalifikacje, by potwierdzić to, co mówi pan Gibbs o tym uderzeniu; musiało być niewiarygodne. Pan Gibbs powiedział, że tylko jeden człowiek w tej okolicy mógł zadać taki cios. Ja ze swej strony powiedziałbym, że nikt nie mógł go zadać.

Szczupłą sylwetką wikarego wstrząsnął dreszcz przesądu.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział.

– Proszę księdza – powiedział cicho lekarz – wszelkie metafory zawodzą. Nie wystarczy powiedzieć, że czaszka została strzaskana jak skorupka jajka. Kawałki kości wbiły się w ciało i w ziemię jak kule w glinianą ścianę. Musiała tego dokonać ręka olbrzyma.

Umilkł na chwilę, spoglądając ponuro zza okularów, a potem dodał:

– Ma to swoje dobre strony, a mianowicie, że za jednym zamachem wyklucza większość ludzi z grona podejrzanych. Gdyby ksiądz albo ja, albo jakikolwiek inny normalnie zbudowany mężczyzna w tym kraju został oskarżony o popełnienie tej zbrodni, uniewinniono by nas, jak uniewinniono by dziecko oskarżone o kradzież kolumny Nelsona.

– To właśnie mówię – powtórzył uparcie szewc – jest tylko jeden człowiek, który mógł to zrobić i tylko jeden, który chciałby to zrobić. Gdzie jest Symeon Barnes, kowal?

– W Greenford – wyjąkał wikary.

– Chyba raczej we Francji – mruknął szewc.

– Nie. Nie ma go w żadnym z tych miejsc – odezwał się cichy, bezbarwny głos pochodzący od rzymskokatolickiego księdza, który przyłączył się do rozmawiających. – Prawdę mówiąc, właśnie nadchodzi drogą.

Mały ksiądz, człowieczek o brązowych, sztywnych włosach i okrągłej, beznamiętnej twarzy, nie miał w sobie nic, co przyciągałoby wzrok. Ale nawet gdyby był piękny jak Apollo, nikt nie patrzyłby na niego w tej chwili. Wszyscy obrócili się i spojrzeli w dół, na wijącą się po równinie drogę, którą rzeczywiście zbliżał się swoim długim krokiem i z młotem na ramieniu kowal Symeon Barnes. Był to kościsty, olbrzymi mężczyzna o ciemnych, głęboko osadzonych, groźnych oczach i krótkiej, ciemnej brodzie. Szedł rozmawiając cicho z dwoma innymi mężczyznami, a chociaż nigdy nie wyglądał na specjalnie wesołego, teraz zachowywał się całkiem swobodnie.

– Mój Boże! – wykrzyknął szewc ateista. – A oto młot, którym to zrobił!

– Nie – zaprzeczył inspektor, sensownie wyglądający mężczyzna z jasnym wąsem, który odezwał się po raz pierwszy. – Młotek, którym to zrobił leży tam, przy ścianie kościoła. Zostawiliśmy go i ciało dokładnie tak, jak je znaleźliśmy.

Wszyscy się obejrżeli, a niski ksiądz przeszedł przez podwórko i w milczeniu zaczął oglądać wspomniane narzędzie tam, gdzie leżało. Był to jeden z najmniejszych i najlżejszych młotków, który nie wyróżniałby się niczym od innych, gdyby nie krew i kilka żółtych włosów widocznych na żelaznej krawędzi.

Po chwili milczenia niski ksiądz odezwał się bez podnoszenia wzroku, ale w jego przytłumionym głosie zabrzmiał nowy ton.

– Pan Gibbs nie mógł mieć racji, mówiąc, że nie ma w tym nic zagadkowego – powiedział. – Zagadką jest choćby to, dlaczego tak wielki człowiek próbowałby zadać tak wielki cios tak małym młotkiem.

– Ach, mniejsza z tym! – zawołał rozgorączkowany Gibbs. – Co mamy zrobić z Symeonem Barnesem?

– Zostawić go w spokoju – odpowiedział cicho ksiądz. – Idzie tu dobrowolnie. Znam tych dwóch ludzi, którzy z nim są. To porządni mieszkańcy Greenford, przyszli w sprawie prezbiteriańskiej kaplicy.

Gdy jeszcze to mówił, wysoki kowal wychynął zza narożnika kościoła i wszedł na swoje podwórze. Potem zatrzymał się jak wryty, a młot wypadł mu z ręki. Inspektor, który nie stracił niewzruszonej poprawności, natychmiast znalazł się przy nim.

– Nie będę pana pytał, panie Barnes – powiedział – czy wie pan, co tutaj zaszło.

Nie musi pan odpowiadać. Mam nadzieję, że nic pan nie wie i będzie pan potrafił to udowodnić. Muszę jednak dokonać formalności aresztowania pana w imieniu króla za zamordowanie pułkownika Normana Bohuna.

– Nie musisz nic mówić – zawołał szewc w urzędowym podnieceniu. – Muszą wszystkiego dowieść. Nie dowiedli jeszcze nawet, że to pułkownik Bohun, z tą roztrzaskaną głową i tak dalej.

– Takie gadanie nie przejdzie – powiedział doktor na stronie do księdza. – To dobre w historiach detektywistycznych. Byłem lekarzem pułkownika i znałem jego ciało lepiej niż on sam. Miał bardzo piękne, ale dosyć szczególne dłonie. Drugi i trzeci palec były tej samej długości. To na pewno pułkownik, bez dwóch zdań.

Obrzucił spojrzeniem pozbawione mózgu zwłoki, a stalowy wzrok nieruchomego kowala poszedł za jego przykładem.

– Pułkownik Bohun nie żyje? – powiedział całkiem spokojnie kowal. – No, to poszedł do diabła.

– Nic nie mów! Ach, nie mów nic! – wołał szewc ateista, tańczący wokoło w ekstazie podziwu dla angielskiego systemu prawnego. Bowiem nikt nie jest takim legalistą, jak uczciwy zwolennik sekularyzacji.

Kowal obejrzał się przez ramię i zwrócił ku niemu wyniosłą twarz fanatyka.

– To dobre dla was, niewiernych, chować się jak lisy, kiedy prawo na to pozwala – powiedział. – Ale Bóg strzeże swoich i ukrywa ich w zanadrzu, jak zobaczycie jeszcze tego samego dnia.

Potem wskazał pułkownika i powiedział:

– Kiedy ten pies skończył w swoich grzechach?

– Niech pan powściągnie swój język – odezwał się doktor.

– Niech pan powściągnie język Biblii, a ja powściągnę swój. Kiedy on zginął?

– Widziałem go żywego dzisiaj o szóstej rano – wyjąkał Wilfred Bohun.

– Bóg jest dobry – powiedział kowal. – Panie inspektorze, nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie pan aresztował. To pan powinien mieć coś przeciwko temu, żeby mnie aresztować. Nie mam nic przeciwko temu, żeby iść do sądu i wyjść całkowicie czystym. Ale może pan ma coś przeciwko temu, żeby wyjść z sądu z poważnym uszczerbkiem dla swojej kariery.

Służbisty inspektor po raz pierwszy spojrzał uważniej na kowala, podobnie jak wszyscy inni poza dziwnym, niskim księdzem, nadal patrzącym na mały młotek, którym zadano straszliwy cios.

– Przed tym warsztatem stoi dwóch ludzi – ciągnął kowal z mozolną przejrzystością – uczciwych rzemieślników z Greenford, których wszyscy znacie i którzy przysięgną, że widzieli mnie przed północą i aż do świtu, a także długo potem w siedzibie rady naszej Misji Odnowy, która obraduje przez całą noc, tak szybko zbawiamy dusze. W samym Greenford dwadzieścia osób może przysiąc, że widziało mnie przez cały ten czas. Gdybym był poganinem, panie inspektorze, pozwoliłbym panu dążyć do upadku. Ale jako chrześcijanin czuję, że muszę dać panu szansę i zapytać, czy chce pan wysłuchać mojego alibi tutaj, czy w sądzie.

Inspektor, który po raz pierwszy wyglądał na zaniepokojonego, powiedział:

– Oczywiście, będzie mi miło oczyścić pana całkowicie już teraz.

Kowal opuścił podwórze tym samym długim, swobodnym krokiem i wrócił z dwoma znajomymi z Greenford, którzy w rzeczywistości byli znani wszystkim obecnym. Każdy z nich powiedział kilka słów, w które nikt nie śmiałyby wątpić. Kiedy skończyli mówić, niewinność Symeona stała się równie konkretna, jak wielki kościół nad ich głowami.

Wszystkich ogarnęło to dziwne milczenie, które bywa bardziej nieznośne niż jakiegokolwiek słowa. Podejmując szaleńczą próbę wszczęcia rozmowy, wikary odezwał się do katolickiego księdza:

– Widzę, że ksiądz Brown bardzo interesuje się tym młotkiem.

– Tak, bardzo – odparł ksiądz Brown. – Dlaczego jest taki mały?

Doktor obrócił się nagle w jego stronę.

– Na Boga, to prawda! – zawołał. – Kto używałby małego młotka, gdy ma na podorędziu dziesięć większych?

Potem zniżył głos i mówił do ucha wikarego:

– Mógłby to zrobić tylko ktoś, kto nie może podnieść dużego młota. Nie chodzi o różnicę siły czy odwagi między płciami. Chodzi o siłę ramion. Odważna kobieta mogłaby popełnić dziesięć zabójstw lekkim młotkiem bez mrugnięcia okiem. Ale ciężkim młotem nie dałaby rady zabić chrabąszcza.

Wilfred Bohun przyglądał się mu jakby zahipnotyzowany przerażeniem, natomiast ksiądz Brown słuchał z głową przechyloną na bok, z prawdziwym zaciekawieniem i uwagą. Doktor ciągnął dalej, jeszcze ciszej i jeszcze dobitniej:

– Dlaczego ci idioci zawsze zakładają, że jedyną osobą, która nienawidzi kochanka żony jest jej mąż? Dziewięć razy na dziesięć osobą, która najbardziej nienawidzi kochanka żony jest sama żona. Kto wie, jak zuchwale albo jak zdradliwie ją traktował – patrzcie!

Szybkim ruchem ręki wskazał rudą kobietę siedzącą na ławie. Wreszcie uniosła głowę, a łzy obsychały na jej zachwycającej twarzy. Ale jej oczy, utkwione w ciele zmarłego, lśniły pełnym napięcia blaskiem, który miał w sobie jakieś szaleństwo.

Wielebny Wilfred Bohun wykonał słaby gest, jakby odpędzał od siebie wszelkie pragnienie poznania; ale ksiądz Brown, strzepując z rękawa popiół wywiany z paleniska, przemówił znów swoim obojętnym głosem.

– Jest pan podobny do tylu innych doktorów – powiedział. – Wasza naukowa wiedza o zjawiskach psychicznych naprawdę robi wrażenie. Ale wasza naukowa wiedza o zjawiskach fizycznych jest absolutnie nie do przyjęcia. Zgadzam się, że kobieta o wiele bardziej pragnie śmierci współwinnego niż sam powód w sprawie. I zgadzam się, że kobieta wybierze zawsze mały młotek zamiast wielkiego. Ale trudność stanowi fizyczna niemożliwość tego czynu. Żadna kobieta nie dałaby rady w taki sposób zmiażdżyć głowy człowieka. – Następnie dodał po chwili namysłu: – Ci ludzie nie pojęli jeszcze wszystkiego. Ten człowiek w rzeczywistości miał na sobie stalowy hełm, a uderzenie to rozbiło go jak szkło. Spójrzcie na tę kobietę. Popatrzcie na jej rękę.

Milczenie znów owładnęło nimi na chwilę, a potem doktor odezwał się nieco urażonym tonem:

– No cóż, mogę się mylić; do wszystkiego można zgłaszać obiekcje. Ale obstaję przy głównej tezie. Nikt poza kompletnym kretynem nie wzięłby małego młotka, gdyby mógł posłużyć się większym.

Na dźwięk tych słów chude, drżące ręce Wilfreda Bohuna uniosły się ku głowie i jakby wczepiły się w rzadkie, żółte włosy. Po chwili opadły, a on sam zawołał:

– Tego słowa mi brakowało; pan je powiedział.

Następnie ciągnął, opanowując wzburzenie:

– Powiedział pan: „Nikt poza kompletnym kretynem nie wzięłby małego młotka”.

– Tak – potwierdził doktor. – No i...?

– Otóż – odparł wikary – nie zrobił tego nikt poza kompletnym kretynem. – Pozostali wbili w niego pytające, nieruchome spojrzenia, a on ciągnął w gorączkowym, niemal kobiecym rozdygotaniu.

– Jestem kapłanem – wołał drżącym głosem – a kapłan nie powinien przelewać niczyjej krwi. To... to znaczy, nie powinien nikogo prowadzić na szubienicę. I dziękuję Bogu, że widzę teraz wyraźnie zbrodniarza... bo jest to zbrodniarz, którego nie można skazać na szubienicę.

– Nie wskaże go ksiądz? – spytał doktor.

– Nie powieszę go, nawet jeśli go wskaże – odparł Wilfred z szalonym, ale radosnym uśmiechem. – Kiedy wszedłem do kościoła dziś rano, zastałem tam modlącego się wariata, tego biedaka Joe, z którym zawsze było coś nie tak. Bóg wie, o co się modlił, ale nie można wykluczyć, że modlitwy takich dziwaków są zupełnie paranoiczne. Bardzo prawdopodobne, że szalenciec modli się, zanim kogoś zabije. Kiedy widziałem go ostatni raz, był z moim bratem. Mój brat kpił sobie z niego.

– Na Jowisza! – wykrzyknął doktor. – Nareszcie jakieś konkrety. Ale jak ksiądz wyjaśni...

Wielebny Wilfred cały niemal dygotał, tak był podekscytowany przebłyskiem dostrzeżonej prawdy.

– Nie rozumiecie, nie rozumiecie – wołał gorączkowo – że tylko ta hipoteza obejmuje oba niezwykle zjawiska i rozwiązuje obie zagadki? Dwie zagadki to mały młotek i potężny cios. Kowal mógł wymierzyć potężny cios, ale nie wzięłby małego młotka. Jego żona wzięłaby mały młotek, ale nie potrafiłaby zadać tak potężnego ciosu. Ale szalenciec mógł zrobić jedno i drugie. Co do małego młotka, to jako wariat mógł złapać pierwsze lepsze narzędzie. A co do potężnego ciosu; nigdy pan nie słyszał, doktorze, że maniak w ataku szału może mieć siłę dziesięciu ludzi?

Doktor wciągnął głęboko powietrze do płuc, a potem powiedział:

– Wielkie nieba, chyba ma ksiądz rację.

Ksiądz Brown wpatrywał się w mówiącego tak długo i tak uważnie, jakby chciał udowodnić, że jego duże, szare, bawole oczy nie są tak nieistotne jak pozostałe rysy jego twarzy. Kiedy zapadła cisza, odezwał się z wyraźnym szacunkiem:

– Proszę księdza, to jedyna jak dotąd zaproponowana teoria, która sprawdza się w obie strony i jest zasadniczo nie do podważenia. Dlatego uważam, że zasługuje ksiądz na to, by go poinformować, że zgodnie z moją najlepszą wiedzą, nie jest ona prawdziwa. – I z tymi słowy starszy, niski ksiądz odszedł na bok i znów zaczął wpatrywać się

w młotek.

– Ten gość wie chyba więcej niż powinien – szepnął doktor z irytacją do Wilfreda.

– Ci papiści są diabelnie sprytni.

– Nie, nie – mruknął Bohun, jakby wyczerpany szalonym wystąpieniem. – To był ten wariat. Wariat, na pewno.

Grupka złożona z dwóch księży i doktora już wcześniej odłączyła się od bardziej oficjalnej grupki, do której należał inspektor i aresztowany przez niego człowiek. Teraz jednak, gdy ich własne towarzystwo się rozeszło, usłyszeli głosy tamtych. Mały ksiądz podniósł wzrok, potem znów go opuścił, słuchając, jak kowal mówi głośno:

– Mam nadzieję, że przekonałem pana, inspektorze. Jak pan mówił, jestem silnym człowiekiem, ale nie dałbym rady rzucić młotem z Greenford aż tutaj. Mój młot nie ma skrzydeł, żeby mógł przelecieć pół mili przez pola i miedze.

Inspektor roześmiał się przyjaźnie i powiedział:

– Nie, może pan przyjąć, że jest pan poza podejrzeniem, chociaż to najdziwniejszy zbieg okoliczności, jaki widziałem w życiu. Mogę tylko prosić pana o pomoc w znalezieniu człowieka równie potężnego i silnego jak pan. Bez dwóch zdań, przydałby się pan, choćby po to, żeby go przytrzymać! Pan pewnie sam nie ma żadnego przypuszczenia co do tego mężczyzny?

– Może mam swoje przypuszczenia – odparł bladolicy kowal – ale nie co do mężczyzny. – A widząc, że przerażone oczy zwracają się ku jego żonie, położył swoją wielką dłoń na jej ramieniu i powiedział: – Ani co do kobiety.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał żartobliwie inspektor. – Nie myśli pan chyba, że krowy używają młotków?

– Myślę, że tego młotka nie trzymało żadne cielesne stworzenie – powiedział kowal stłumionym głosem – jeśli chodzi o śmiertelników, to myślę, że ten człowiek skonał sam.

Wilfred zrobił szybki krok naprzód i wpatrywał się w kowala płonącymi oczami.

– Chcesz przez to powiedzieć, Barnes – rozległ się ostry głos szewca – że młotek skoczył sam z siebie i powalił go na ziemię?

– Ach, wielcy panowie mogą się gapić i śmiać – zawołał Symeon – wielcy duchowni, co mówią nam w niedzielę, jak w wielkiej ciszy Pan powalił Sennacheryba. Wierzę, że Ten, który przechadza się niewidzialny w każdym domu, ujął się i za moim domem i położył trupem tego, który chciał go sprofanować, zanim ten człowiek przekroczył jego próg. Wierzę, że siła tego uderzenia to ta sama, równie wielka siła, co przy trzęsieniu ziemi.

Wilfred powiedział głosem, którego nie sposób opisać:

– Mówiłem Normanowi, żeby się strzegł pioruna.

– Taki sprawca nie podlega mojej jurysdykcji – zauważył inspektor z nieznacznym uśmiechem.

– Ale pan podlega Jego jurysdykcji, inspektorze – odrzekł kowal. – I niech pan o tym pamięta. – To rzekłszy, odwrócił się szerokimi plecami do zebranych i wszedł do wnętrza domu.

Roztrzęsiony Wilfred został odprowadzony przez księdza Browna, który przemawiał do niego przyjaźnie i łagodnie.

– Oddalmy się z tego okropnego miejsca – powiedział. – Mogę obejrzeć księdza kościół? Słyszałem, że to jeden z najstarszych w Anglii. Rozumie ksiądz, interesują nas trochę – dodał z komicznym grymasem – stare angielskie kościoły.

Wilfred Bohun nie uśmiechnął się, bo poczucie humoru nigdy nie należało do jego mocnych stron. Pokiwał jednak głową z niejaką gorliwością, był bowiem więcej niż gotów objaśnić wszystkie gotyckie wspaniałości komuś, kto prędzej wykazałby się jakimś zrozumieniem niż prezbiteriański kowal albo szewc ateista.

– Jak najbardziej – powiedział – wejdźmy od tej strony. – I poszedł przodem do bocznych schodów. Ksiądz Brown postawił już stopę na pierwszym schodku, gotowy pójść za nim, kiedy poczuł rękę na swoim ramieniu i, obróciwszy się, zobaczył ciemną, chudą postać doktora, którego twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza z powodu malującego się na niej podejrzenia.

– Proszę księdza – powiedział szorstko lekarz – zdaje się, że zna ksiądz jakieś tajemnice tej mrocznej sprawy. Chciałbym zapytać, czy zamierza ksiądz zachować je dla siebie?

– No cóż, doktorze – odparł ksiądz Brown z miłym uśmiechem – jest jeden bardzo dobry powód, dla którego człowiek mojego zawodu powinien zachować dla siebie sprawy, których nie jest pewien, a mianowicie taki, że bardzo często jest jego obowiązkiem zachować je dla siebie, kiedy jest ich pewien. Ale jeśli uważa pan, że byłem nieuprzejmie skryty wobec pana czy kogokolwiek innego, posunę się tak daleko, jak mi pozwala mój obyczaj. Udzielę panu dwóch bardzo poważnych wskazówek.

– A więc? – spytał ponuro doktor.

– Po pierwsze – powiedział ksiądz Brown cicho – sprawa ta należy całkowicie do pańskiej dziedziny. To sprawa zjawisk fizycznych. Kowal myli się może nie w tym, że uważa ten cios za Boski wyrok, ale na pewno w tym, że uważa go za wynik cudu. To nie był cud, doktorze, chyba tylko o tyle, o ile cudem jest sam człowiek ze swoim dziwnym, niegodziwym, a jednak na wpół heroicznym sercem. Siła, która zmiażdżyła tę czaszkę jest dobrze znana nauce – to jedno z najczęściej dyskutowanych praw natury.

Doktor, który przyglądał mu się uważnie ze zmarszczonymi brwiami, powiedział tylko:

– A po drugie?

– Druga wskazówka jest taka – powiedział ksiądz. – Czy pamięta pan, jak kowal, choć wierzy w cuda, drwił sobie z nieprawdopodobnej bajki o młocie, który miał skrzydła i przeleciał pół mili przez okolicę?

– Tak – potwierdził doktor – pamiętam.

– No – dokończył ksiądz Brown z szerokim uśmiechem – ta bajka jest bliższa prawdy niż wszystko, co zostało tu dziś powiedziane. – I z tymi słowami odwrócił się na pięcie i podreptał po schodach za wikarym.

Wielebny Wilfred, który czekał na niego blady i zniecierpliwiony, jakby ta mała zwłoka była ostatnią kroplą, która przebrała miarę jego wytrzymałości nerwowej, zaprowadził go od razu do swojego ulubionego zakątka kościoła – tej części galerii najbliższej rzeźbionego sklepienia, którą oświetlało wspaniałe okno przedstawiające anioła. Mały katolicki ksiądz oglądał i podziwiał wszystko z najmniejszymi szczegółami,

cały czas snując pogodną, choć przyciszoną pogawędkę. Kiedy w czasie swoich oględzin znalazł boczne wyjście i kręcone schodki, którymi Wilfred pospieszył w dół, by ujrzeć swojego martwego brata, ksiądz Brown pobiegł nimi ze zrećznością małpy nie w dół, tylko do góry i jego dźwięczny głos wkrótce dobiegł z położonej wyżej zewnętrznej platformy.

– Proszę, niech ksiądz tu przyjdzie – zawołał. – Świeże powietrze dobrze księdzu zrobi.

Bohun poszedł za jego przykładem i wyszedł na coś w rodzaju kamiennej galerii czy też balkonu na zewnątrz budynku, skąd widać było całą bezkresną równinę otaczającą ich niewielki pagórek. Aż po fioletowy horyzont porastały ją lasy upstrzone tu i ówdzie wioskami i gospodarstwami. Podwórze kuźni rysowało się pod nimi jako wyraźny, ale zupełnie mały prostokąt, na którym inspektor nadal stał, uzupełniając notatki, a ciało zamordowanego leżało niczym zgnieciona mucha.

– Można by pomyśleć, że to mapa świata, prawda? – spytał ksiądz Brown.

– Tak – odparł Bohun bardzo poważnie i pokiwał głową.

Tuż pod nimi i wokół nich linie gotyckiej budowli wybiegały w pustkę z zawrotną szybkością nasuwającą myśl o samobójstwie. W tytanicznej energii architektury średniowiecza jest coś, co sprawia, że niezależnie od perspektywy, z jakiej ją oglądamy, zawsze mamy wrażenie, jakby się od nas oddalała, jak mocny grzbiet jakiegoś szalonego wierzchowca. Kościół, wyciosany ze starożytnego, milczącego kamienia, porośnięty był brodami starych porostów i upstrzony gniazdami ptaków. A jednak, gdy patrzyli nań z dołu, strzelał jak fontanna w kierunku gwiazd; a kiedy, tak jak teraz, spoglądali nań z góry, spadał niczym wodospad w niemą otchłań. Dwaj ludzie na wieży zostali sam na sam z najbardziej przerażającym aspektem gotyku: z potwornością skrótu i dysproporcji, z zawrotną perspektywą, w której rzeczy wielkie wydają się małe, a małe – wielkie; z zawieszonym w powietrzu chaosem kamienia. Wyolbrzymione przez bliskość kamienne detale rysowały się na tle ornamentu pomniejszonych przez odległość pól i gospodarstw. Rzeźbiony ptak lub zwierzę zdobiące jakiś narożnik wyglądało jak kroczący lub latający smok, pustoszący pastwiska i wioski widoczne w dole. Nastrój tego miejsca był oszalamiający i groźny, jakby podtrzymywały ich w powietrzu wirujące skrzydła kolosalnych geniuszy; cały ten stary kościół, wysoki i ozdobny jak katedra, zdawał się wisieć nad słoneczną okolicą jak gradowa chmura.

– To chyba dość niebezpieczne wchodzić tak wysoko, nawet po to, żeby się pomodlić – powiedział ksiądz Brown. – Wyżyny zostały stworzone po to, by je podziwiać, a nie po to, by z nich spoglądać w dół.

– Myśli ksiądz, że grozi to upadkiem? – spytał Wilfred.

– Myślę, że grozi to upadkiem, jeśli nie ciała, to duszy – odparł drugi duchowny.

– Nie bardzo rozumiem – wymamrotał Bohun.

– Weźmy na przykład kowala – ciągnął spokojnie ksiądz Brown – to dobry człowiek, ale nie jest chrześcijaninem; jest twardy, apodyktyczny, zawzięty. Otóż jego szkocka religia została stworzona przez ludzi, którzy modlili się na szczytach gór i wyniosłych skał i nauczyli się bardziej patrzeć z góry na świat niż z dołu na niebo. Pokora jest matką olbrzymów. Z nizin widzi się wielkie rzeczy, ze szczytów wszystko

wydaje się małe.

– Ale on... on tego nie zrobił – powiedział drżącym głosem Bohun.

– Nie – powiedział ksiądz Brown jakimś szczególnym tonem – obaj wiemy, że tego nie zrobił.

Po chwili mówił dalej, rozglądając się spokojnie po równinie swoimi wyblakłymi, szarymi oczami.

– Znałem kiedyś człowieka – powiedział – który na początku oddawał cześć Bogu razem z innymi przed ołtarzem, ale potem upodobał sobie wyniosłe, samotne miejsca modlitwy, zakątki i nisze w dzwonnicy albo na wieży kościoła. A kiedy znalazł się w jednym z tych zawrotnych miejsc, z których cały świat wyglądał tak, jakby kręcił się pod nim, w jego mózgu też coś się przekręciło i zaczęło mu się wydawać, że jest Bogiem. I dlatego, chociaż był dobrym człowiekiem, popełnił wielką zbrodnię.

Twarz Wilfreda była odwrócona, ale jego kościste dłonie zbieleły, a nawet zsiniały od zaciskania się na kamiennym parapecie.

– Myślał, że została mu dana władza, by osądzić świat i ukarać grzesznika. Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy, gdyby klęczał na posadzce razem z innymi. Ale z tej wysokości ludzie wydawali mu się podobni do owadów. Szczególnie jeden, pełznący tuż pod nim, bezczelnie wyraźny pod jaskrawo zielonym kapeluszem... kąśliwy owad.

Na rogach dzwonnicy krakały gawrony; żaden inny dźwięk nie odezwał się, dopóki ksiądz Brown nie podjął na nowo swojego opowiadania.

– Skusiło go także to, że miał w ręku jedno z najmocniejszych narzędzi natury, to znaczy grawitację; ten zawrotny, coraz większy pośpiech, z jakim wszystkie stworzenia Ziemi pędzą z powrotem do jej serca, kiedy się je uwolni. Proszę spojrzeć, inspektor drepcze tuż pod nami w kuźni. Gdybym strącił kamyczek z tego parapetu, stałby się on czymś w rodzaju pocisku, zanim by go dosięgnął. Gdybym zrzucił młotek... nawet najmniejszy młotek...

Wilfred Bohun przerzucił jedną nogę przez parapet, ale ksiądz Brown w jednej chwili chwycił go za kołnierz.

– Nie tędy – powiedział całkiem łagodnie. – Te drzwi prowadzą do piekła.

Bohun zatoczył się do tyłu na ścianę i patrzył na niego przerażonymi oczami.

– Skąd to wszystko wiesz? – zawołał. – Jesteś diabłem?

– Jestem człowiekiem – oparł poważnie ksiądz Brown – i wszystkie diabły mam we własnym sercu. Niech ksiądz posłucha – dodał po chwili milczenia. – Wiem, co ksiądz zrobił, a w każdym razie potrafię odgadnąć większą część. Kiedy rozstawał się ksiądz z bratem, ogarnął księdza całkiem sprawiedliwy gniew, do tego stopnia, że chwycił ksiądz mały młotek z myślą, by zabić go na miejscu, jeszcze z ordynarnymi słowami na ustach. Ale wzdrygnąwszy się, schował go ksiądz pod ubranie i pospieszył do kościoła. Modlił się ksiądz w najdalszych miejscach, pod anielskim oknem, na galerijce nad nim i na jeszcze wyższej galerii, z której wschodni kapelusz pułkownika wyglądał jak grzbiet pełzającego w dole zielonego żuka. Wtedy coś pękło w księdza duszy i uwolnił ksiądz Boski piorun.

Wilfred podniósł słabą dłoń do czoła i spytał cichym głosem:

– Skąd ksiądz wiedział, że ten kapelusz wyglądał jak zielony żuk?

– Ach, to – odparł tamten z cieniem uśmiechu na twarzy – zdrowy rozsądek, to wszystko. Ale proszę posłuchać dalej. Powiedziałem, co wiem, ale nie dowie się o tym nikt więcej. Kolejny ruch należy do księdza; ja nie podejmę żadnych kroków, położę na tym pieczęć spowiedzi. Jeśli spyta ksiądz, dlaczego, to odpowiem, że z wielu powodów, z których tylko jeden dotyczy księdza. Zostawiam sprawy w księdza rękach, bo wiem, że nie zszedł ksiądz jeszcze tak daleko na złą drogę jak inni zabójcy. Nie pomógł ksiądz rzucić przestępstwa na kowala, kiedy było to łatwe, ani na jego żonę, kiedy nadarzyła się okazja. Starał się ksiądz rzucić je na imbecyla, bo wiedział ksiądz, że nie poniesie on kary. To był jeden z tych przebłysków, które jest moim obowiązkiem dostrzegać u zabójców. A teraz zejźmy na dół do wioski, i niech ksiądz idzie w swoją stronę, wolny jak wiatr; to moje ostatnie słowo.

Zeszli po kręconych schodach w zupełnym milczeniu i wychynęli na słońce przy kuźni. Wilfred Bohun ostrożnie odemknął drewnianą furtkę podwórza i podszedłszy do inspektora, powiedział:

– Chcę się oddać w ręce policji; to ja zabiłem brata.

OKO APOLLA

Wyjątkowy przyćmiony blask, równocześnie zwodniczy i przejrzysty, który stanowi przedziwną tajemnicę Tamizy, zmieniał się stopniowo z szarego w oślepiająco migotliwy, w miarę jak słońce nad Westminsterem zbliżało się do zenitu. Niemal równie wolno dwóch ludzi przemierzało most Westminsterski. Jeden z nich był bardzo wysoki, a drugi bardzo niski. Można by ich nawet w wyobraźni porównać do aroganckiej wieży zegarowej parlamentu i skromniejszej, przygarbionej sylwetki opactwa westminsterskiego, bowiem niższy z nich nosił strój duchownego. Wysoki mężczyzna oficjalnie znany był jako Monsieur Hercule Flambeau, prywatny detektyw, i szedł do swojego nowego biura w nowym, wysokim wieżowcu stojącym naprzeciw wejścia do opactwa. Niski mężczyzna znany był oficjalnie jako ks. J. Brown z kościoła św. Franciszka Ksawerego w Camberwell i odszedł właśnie od łoża śmierci jakiegoś parafianina, aby obejrzyć nowe biuro swojego przyjaciela.

Budynek miał iście amerykańską wysokość drapacza chmur i iście amerykańską precyzję dobrze naoliwionej maszynierii telefonów i wind. Był jednak ledwie wykończony i nadal nie posiadał pełnej obsługi; wprowadziło się dopiero trzech najemców; wynajęto biuro bezpośrednio nad biurem Flambeau i drugie bezpośrednio pod nim; trzy niższe i dwa wyższe piętra ziały pustkami. W nowym wieżowcu zwracało jednak uwagę coś innego. Jeśli nie liczyć kilku pozostałości rusztowań, jedyny przyciągający wzrok, interesujący obiekt, który zwracał uwagę, znajdował się na zewnątrz lokalu mieszczącego się tuż nad biurem Flambeau. Była to olbrzymia połączana rzeźba ludzkiego oka otoczonego złotymi promieniami, zajmująca powierzchnię dwóch albo nawet trzech okien.

– Co to ma być do licha? – spytał ksiądz Brown i stanął jak wryty.

– Ach, jakaś nowa religia – odparł ze śmiechem Flambeau – jedna z tych nowych religii, która odpuszcza grzechy, wmawiając ludziom, że nigdy ich nie mieli. Coś podobnego do Chrześcijańskiej Nauki⁹, zdaje się. Rzecz wygląda tak: gość, który przedstawia się jako Kalon (nie wiem, jak ma naprawdę na nazwisko, ale na pewno nie tak) wynajął mieszkanie tuż nade mną. Pod sobą mam dwie maszynistki, a nad sobą tego szarlatana amatora. Nazywa siebie Nowym Kapłanem Apolla i oddaje cześć słońcu.

– Niech lepiej ma się na baczności – powiedział ksiądz Brown. – Słońce było najokrutniejszym ze wszystkich bogów. Ale co oznacza to monstrualne oko?

– Jak rozumiem, ma to związek z ich teorią – wyjaśnił Flambeau – że człowiek może znieść wszystko, jeśli tylko ma całkiem opanowany umysł. Ich dwa najważniejsze symbole to słońce i otwarte oko, bo uważają, że gdyby człowiek był naprawdę zdrowy, to mógłby patrzeć prosto w słońce.

– Gdyby człowiek był naprawdę zdrowy – zauważył ksiądz Brown – nie zawracałby sobie głowy patrzeniem prosto w słońce.

– No, tyle potrafię powiedzieć o tej ich nowej religii – powiedział bez troski Flambeau. – Oczywiście twierdzą, że leczy wszelkie choroby ciała.

– A czy potrafi wyleczyć jedyną chorobę duszy? – spytał ksiądz Brown z poważnym zainteresowaniem.

– A jaka jest jedyna choroba duszy? – spytał z uśmiechem Flambeau.

– Och, przekonanie o tym, że jest się zupełnie zdrowym – wyjaśnił jego przyjaciel.

Flambeau interesował się bardziej cichym, małym biurem piętro niżej niż krzykliwą świątynią na górze. Był czystym Południowcem; nie wyobrażał sobie, że mógłby być kimś innym niż katolikiem albo ateistą, i nie pociągały go żadne nowe, świetliste i mdłe religie. Ale zawsze pociągała go ludzkość, zwłaszcza powabniejsza jej część, a poza tym damy z dołu były na swój sposób niezwykle. Biuro prowadziły dwie siostry, obie szczupłe i ciemnowłose. Jedna z nich, wysoka i zwracająca uwagę, miała ciemny, ostry rzymski profil przypominający wyszlifowane ostrze jakiegoś oręża. Zdawało się, że ostrzem tym toruje sobie drogę przez życie. Jej oczy pały wyjątkowym blaskiem, ale był to raczej blask stali niż brylantów, a jej wyprostowana, szczupła sylwetka była odrobinę za sztywna jak na tak wdzięczną osobkę. Młodsza siostra przypominała jej skrócony cień; była nieco bardziej poszarzała, bledsza i mniej rzucająca się w oczy. Obie ubierały się w oficjalną czerń, z małymi męskimi mankietami i kołnierzykami. Takich szorstkich, niestrudzonych dam są w londyńskich biurach tysiące, ale te dwie były interesujące raczej ze względu na swoją prawdziwą, a nie pozorną pozycję społeczną.

Bowiem starsza siostra, Paulina Stacey, była w rzeczywistości dziedziczką herbu rodowego i połowy hrabstwa, a także wielkiego majątku; wychowywała się w zamkach i ogrodach, zanim oziębła zawziętość (tak charakterystyczna dla współczesnych kobiet) skłoniła ją do podjęcia czegoś, co uważała za trudniejszą i wznioślejszą egzystencję. W rzeczywistości nie wyrzekła się swoich pieniędzy; byłaby w tym jakaś romantyczna czy też małpia żywiołowość zupełnie obca jej władcemu utylitaryzmowi. Zachowała swój majątek, jak mówiła, aby użyć go do praktycznych, społecznych celów. Część zainwestowała w swoje biuro, będące załącznikiem imperium maszynopisania, a część rozdzieliła między rozmaite ligi i akcje promujące taką pracę wśród kobiet. Do jakiego stopnia Joanna, jej siostra i współpracowniczka, podzielała ten nieco przyziemny idealizm, nikt nie mógł być pewien. Podążała jednak za swoją przewodniczką z psim oddaniem, które ów rys tragizmu czyniło bardziej pociągającym niż twardy, pogodny nastrój, jakim odznaczała się starsza siostra. Bowiem Paulina Stacey nie miała nic do powiedzenia w obliczu tragedii; należało rozumieć, że neguje jej istnienie.

Jej bezwzględna gwałtowność i chłodna niecierpliwość niezmiernie rozbawiły Flambeau, kiedy po raz pierwszy zjawił się w budynku. Wałęsał się przy windzie w holu wejściowym, czekając na windziarza, który zazwyczaj rozwozi obcych na rozmaite piętra. Ale promiennooka dziewczyna sokół otwarcie stwierdziła, że nie zamierza znosić takiej urzędowej zwłoki. Powiedziała ostro, że zna się na windach i że nie jest uzależniona od windziarzy – ani od mężczyzn w ogóle. Chociaż jej pokoje znajdowały się tylko trzy piętra wyżej, zdołała w ciągu kilku sekund jazdy na poczekaniu przekazać Flambeau wiele ze swoich zasadniczych poglądów; wynikało z nich najogólniej rzecz biorąc, że jest nowoczesną, pracującą kobietą i kocha nowoczesne, pracujące maszyny. Jej lśniące czarne oczy spoglądały z abstrakcyjnym gniewem na tych, którzy śmia potępiać technikę i domagać się powrotu romantyczności. Każdy, powiedziała, powinien umieć obsługiwać maszyny, tak samo jak ona umie obsługiwać windę. Niemal z odrazą przyjęła gest

Flambeau, który otworzył przed nią drzwi windy; gentleman ten udał się następnie na górę do swoich apartamentów, uśmiechając się z nieco mieszanymi uczuciami na wspomnienie tej płomiennej niezależności.

Na pewno panna Stacey odznaczała się ciętym, praktycznym temperamentem; gesty jej szczupłych, eleganckich rąk były gwałtowne, a nawet niszczące. Pewnego razu Flambeau zaszedł do jej biura z czymś do przepisania na maszynie i zobaczył, że dopiero co zrzuciła na podłogę i rozdeptała ze złością należące do siostry okulary. Była właśnie w trakcie potocznej, moralizatorskiej tyrady na temat „chorej medycyny” i niezdrowego przyznawania się do słabości, przejawiającego się noszeniem takich wynalazków. Groziła siostrze, żeby nie ważyła się przynosić do biura tej sztucznej, niezdrowej tandety. Pytała, czy w takim razie ona ma nosić drewniane nogi, sztuczne włosy albo szklane oczy, a kiedy to mówiła, jej oczy lśniły jak prerażający kryształ.

Flambeau, całkiem zaskoczony tym wybuchem fanatyzmu, nie mógł nie zapytać panny Pauliny (z prostą, francuską logiką) dlaczego okulary miały być bardziej chorobliwą oznaką słabości niż winda i dlaczego, skoro nauka może nam pomóc w jednej czynności, nie wolno jej wspomagać w innej.

– To dwie zupełnie różne rzeczy – wyjaśniła z wyższością Paulina Stacey. – Baterie i motory, i wszystkie tym podobne rzeczy są świadectwem siły człowieka... tak, panie Flambeau, także siły kobiet! My także zajmiemy miejsce w tych wielkich pojazdach, które pożerają odległość i czas. To jest wzniosłe i wspaniałe; to właśnie jest nauka. Ale te ohydne protezy i plastry sprzedawane przez lekarzy! Przecież to tylko odznaki za tchórzostwo! Lekarze przyczepiają je nam do rąk i nóg, jakbyśmy urodzili się kalekami albo chorymi niewolnikami. Ale ja, panie Flambeau, urodziłam się wolna! Ludziom wydaje się tylko, że potrzebują tych rzeczy, bo wpojono im strach, zamiast wpoić im moc i odwagę, tak samo jak głupie niańki mówią dzieciom, żeby nie patrzyły w słońce i dlatego dzieci nie mogą na nie patrzeć bez mrużenia oczu. Ale dlaczego wśród wszystkich gwiazd miałaby być jedna, której nie wolno mi widzieć? Słońce nie jest moim panem; otworzę oczy i będę patrzeć na nie, kiedy tylko zechcę.

– Pani oczy – stwierdził Flambeau z cudzoziemskim ukłonem – olśniłyby słońce. – Znajdował przyjemność w prawieniu komplementów tej osobliwej, sztywnej piękności, po trosze dlatego, że nieco wytrącało ją to z równowagi. Ale idąc do siebie na górę, wciągnął głęboko powietrze i gwizdnął, mówiąc do siebie: – A więc dostała się w ręce tego magika z góry z jego złotym okiem. – Bo chociaż niewiele wiedział o nowej religii Kalona i niewiele o nią dbał, słyszał przecież o dziwnej idei patrzenia prosto w słońce.

Wkrótce przekonał się, że duchowa więź między piętrami powyżej i poniżej jego biura była bliska i stale się zacieśniała. Mężczyzna przedstawiający się jako Kalon był imponującym stworzeniem i przynajmniej fizycznie zasługiwał na to, by być kapłanem Apolla. Niemal tak samo wysoki jak sam Flambeau i znacznie od niego przystojniejszy, miał złotą brodę, nieustępliwe niebieskie oczy i włosy zaczesane do tyłu na podobieństwo lwiej grzywy. Z wyglądu był blond bestią Nietzschego, ale prawdziwy intelekt oraz uduchowanie uwypuklały, rozświetlały i łagodziły jego zwierzęcą urodę. Jeśli wyglądał jak jeden z wielkich saksońskich królów, to raczej jak jeden z tych, którzy byli równocześnie świętymi. A wszystko to pomimo niepasującego londyńskiego otoczenia:

pomimo biura mieszczącego się na jednym z wyższych pięter budynku przy Victoria Street, pomimo siedzącego w recepcji pomiędzy korytarzem a biurzem urzędnika (zwykłego młodzieńca w garniturze), pomimo nazwiska na mosiężnej tabliczce i złotego emblematu zawieszzonego nad ulicą niczym reklama okulisty. Cała ta pospolitość nie mogła odebrać mężczyźnie o imieniu Kalon żywego poczucia uciemnienia i inspiracji, pochodzących z jego duszy i ciała. Koniec końców w obecności tego szarlatana człowiek czuł się tak, jakby spotkał wielkiego człowieka. Nawet w luźnym lnianym odzieniu, które nosił w swoim biurze jako ubranie robocze, wyglądał wspaniale i fascynująco; a kiedy przywdziewał białe szaty i złoty diadem, w których codziennie oddawał cześć słońcu, prezentował się rzeczywiście tak doskonale, że ludziom na ulicy śmiech zamierał na ustach. Bowiem trzy razy w ciągu dnia ów nowy czciciel słońca na oczach całego Westminsteru wychodził na swój mały balkon, aby odmówić jakąś litanię do swego jaśniejszego pana: raz o świcie, raz o zmierzchu i raz z wybicciem południa. Właśnie w chwili, gdy uderzenie to rozchodziło się jeszcze z drzeniem z wież parlamentu i parafialnego kościoła, ksiądz Brown i jego przyjaciel Flambeau po raz pierwszy spojrzeli w górę i zobaczyli białego kapłana Apolla.

Flambeau widywał wiele tych codziennych pozdrowień Febusa i znikł w sieni wysokiego budynku nie czekając nawet na swego przyjaciela duchownego. Ale ksiądz Brown, czy to z powodu zawodowego zainteresowania rytuałem, czy z powodu osobistego zainteresowania błaznowaniem, zatrzymał się i patrzył na balkon czciciela słońca całkiem tak samo, jak zatrzymałby się, by popatrzeć na przedstawienie kukielkowe o Punchu i Judy. Prorok Kalon stał już wyprostowany, w srebrzystych szatach i z uniesionymi rękami, a jego dziwnie przenikliwy głos, wypowiadający słoneczną litanię, słyhać było na całej ruchliwej ulicy. Był już w połowie, a jego oczy utkwione były w płonącej tarczy słońca. Wątpliwe, czy w ogóle widział coś albo kogoś na tej ziemi; natomiast całkiem na pewno nie widział niskiego, pucołowatego księdza, który stojąc w tłumie na dole, przyglądał się mu mrugając oczami. Była to być może najbardziej zaskakująca różnica nawet między tak odległymi od siebie osobami. Ksiądz Brown nie mógł patrzeć na nic bez mrugania; natomiast kapłan Apolla mógł patrzeć w płomień południa i powieka mu nawet nie drgnęła.

– O, słońce! – wołał prorok. – O, gwiazdo zbyt wielka, by zaliczyć cię w poczet gwiazd! O, źródło bijące cicho w tajni zwanej kosmosem. Biały Ojczy wszystkich, co białe i niestrudzone: białych płomieni i białych kwiatów, i białych gór. Ojczy, któryś jest niewinniejszy od wszystkich twych dzieci, niewinnych i cichych; pierwotna czystości, w której pokój...

Wizg i huk przypominający odwrócony odgłos startującej rakiety złał się w jedno z niemilkącym, przesywającym wrzaskiem. Pięciu ludzi wpadło w bramę budynku, trzech innych z niej wyskoczyło, i przez chwilę kompletnie zagłuszały się krzykiem. Przeczucie jakiejś zupełnie niespodziewanej katastrofy ogarnęło połowę ulicy jak zła nowina – tym gorsza, że nie wiadomo, czego dotyczy. Dwie postacie nie poruszyły się mimo wybuchu zamieszania: piękny kapłan Apolla na górze oraz brzydki kapłan Chrystusa na dole.

Wreszcie wyniosła postać Flambeau pojawiła się w drzwiach wieżowca, a jego

gigantyczna energia zdominowała małe zbiegowisko. Głosem przypominającym syrenę przeciwmgielną rozkazał, aby ktoś – nieważne kto – pobiegł po lekarza; a gdy odwrócił się i wszedł z powrotem do ciemnego, zatłoczonego holu, jego przyjaciel ksiądz Brown wcisnął się niepostrzeżenie za nim. Nawet przeciskając się i nurkując w tłumie, słyszał wciąż jeszcze wspaniale melodyjny i monotony głos kapłana słońca, nadal wzywający swego szczęśliwego boga, przyjaciela fontann i kwiatów.

Ksiądz Brown zastał Flambeau i chyba z sześciu innych ludzi stojących wokół zamkniętej przestrzeni, gdzie zazwyczaj opadała winda. Ale tym razem winda nie opadła. Coś innego spadło w to miejsce zamiast niej; coś, co powinno było zjechać windą.

Flambeau przyglądał się temu już cztery minuty; widział roztrzaskane, krwawiące ciało pięknej kobiety, która negowała istnienie tragedii. Ani przez chwilę nie miał najmniejszej wątpliwości, że to Paulina Stacey; i chociaż posłał po lekarza, nie miał najmniejszej wątpliwości, że kobieta nie żyje.

Nie był całkiem pewien, czy ją lubił, czy nie; tak wiele rzeczy można było w niej lubić albo nie lubić. Na pewno jednak była dla niego osobą i odczuwał stratę kłującą go nieznośnym patosem szczegółów i przyzwyczajęń. Przypomniawszy sobie jej ładną twarz i zarozumiałe przemowy z tą nagłą, intymną wyrazistością, która stanowi całą gorycz śmierci. W jednej chwili, która uderzyła jak grom z jasnego nieba, jak bezimienna błyskawica, to piękne, zuchwałe ciało zostało zrzucone w otwarty szyb windy ku śmierci na jego dnie. Czy było to samobójstwo? Dla tak beczelnej optymistki wydawało się ono niemożliwe. Morderstwo? Ale kto w tych prawie niezamieszkałych apartamentach mógłby kogoś zamordować? W natłoku ochrypłych słów, które miały zabrzmieć mocno, a wypadły słabo, spytał, gdzie się podziewa ten gość Kalon. Głos, jak zwykle poważny, cichy i głęboki, zapewnił go, że Kalon od piętnastu minut przebywa na balkonie, oddając cześć swojemu bogu. Kiedy Flambeau usłyszał ten głos i poczuł rękę księdza Browna, odwrócił śniadą twarz i spytał gwałtownie:

– W takim razie, jeśli on tam był przez cały czas, to kto mógł to zrobić?

– Być może – odparł tamten – moglibyśmy pójść na górę, żeby się przekonać. Mamy pół godziny, nim zjawi się policja.

Zostawiwszy ciało zgładzonej dziedziczki pod nadzorem lekarzy, Flambeau pognął schodami do biura maszynistek, zobaczył, że jest ono całkowicie puste, a potem pobiegł na górę do siebie. Znalazłszy się w swoim biurze, odwrócił nagle do przyjaciela zmienioną, pobladłą twarz.

– Jej siostra – powiedział ze złowróżbną powagą – wygląda na to, że jej siostra poszła na spacer.

Ksiądz Brown przytaknął.

– Albo poszła do tego słonecznego gościa na górę – powiedział. – Na twoim miejscu sprawdziłbym to, a potem obgadamy to w twoim biurze. Nie – dodał nagle, jakby coś sobie przypomniał – czy kiedykolwiek wyleczę się z głupoty? Oczywiście, w ich biurze na dole.

Flambeau wytrzeszczył oczy ze zdumienia, ale zszedł za niskim księdzem do pustych pokoi pań Stacey, gdzie ten nieprzenikniony duszpasterz ustawił duże, obite czerwona skórą krzesło w drzwiach, skąd mógł widzieć schody i korytarze, i czekał. Nie

musiał czekać długo. Po około czterech minutach na schodach pojawiły się trzy osoby, których jedyne podobieństwo stanowiła powaga. Pierwszą była Joanna Stacey, siostra zmarłej – najwyraźniej była na gorze, w tymczasowej świątyni Apolla; drugą był sam kapłan Apolla, który zakończył już swoją litanie, sunący w dół po pustych schodach w całym majestacie – coś w jego białych szatach, brodzie i rozdzielonych przedziałkami włosach przypominało Chrystusa opuszczającego pretorium, pędzła Gustawa Doré; trzecią osobą był Flambeau ze zmarszczonym czołem i nieco oszołomioną miną.

Panna Joanna Stacey, ciemnowłosa, z wymizerowaną twarzą i włosami przyprószonymi przedwcześnie siwizną, podeszła wprost do swojego biurka i rozłożyła papiery z energicznym klapnięciem. Ta zwykła czynność otrzeźwiła wszystkich. Jeśli panna Joanna Stacey była zbrodniarką, to musiała popełnić zbrodnię z wyjątkowo zimną krwią. Ksiądz Brown przyglądał się jej przez jakiś czas z zagadkowym uśmiechem, a potem, nie odrywając od niej wzroku, zwrócił się do kogoś innego.

– Proroku – powiedział, najwyraźniej zwracając się do Kalona – chciałbym usłyszeć jak najwięcej o twojej religii.

– To dla mnie zaszczyt – odparł Kalon, skłaniając nadal ozdobioną diademem głowę – ale nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

– Otóż, wygląda to mniej więcej tak – powiedział ksiądz Brown w swoim zwykłym tonie szczerego powątpiewania. – Uczy się nas, że jeśli człowiek wyznaje naprawdę złe zasady pierwsze, to musi częściowo ponosić za to winę. Ale mimo to możemy uczynić pewne rozróżnienie między człowiekiem, który ubliża w ten sposób własnemu całkiem czystemu sumieniu a człowiekiem, którego sumienie zostało mniej lub bardziej zaćmione sofistyką. A zatem, czy w ogóle uważa pan morderstwo za coś złego?

– Czy to oskarżenie? – spytał Kalon bardzo cichym głosem.

– Nie – odpowiedział ksiądz Brown równie cicho – to mowa obrończa.

W trakcie długiego, pełnego zaskoczenia milczenia, które zapadło w pokoju, prorok Apolla powoli wstał z miejsca; i naprawdę wyglądało to jak wschód słońca. Jego blask i żywotność wypełniły pomieszczenie w taki sposób, że czuło się, iż równie łatwo mogłyby zapelnąć całą równinę Salisbury. Fałdy jego szat zdawały się otulać cały pokój niczym greckie draperie; jego imponujący gest zdawał się rozszerzać perspektywę pomieszczenia, aż wreszcie mała czarna postać współczesnego kapłana wyglądała jak skaza i wtřet; czarna, okrągła plama na świetności Hellady.

– Spotykamy się wreszcie, Kajfaszu – powiedział prorok. – Twój Kościół i mój są na tej ziemi jedyną rzeczywistością. Ja adoruję słońce, a ty zaćmienie słońca; ty jesteś kapłanem umierającego, a ja – żyjącego Boga. Czyn, którego teraz dokonujesz, rzucając na mnie podejrzenie i oszczerstwo, wart jest twojego stroju i wyznania. Cały ten twój Kościół to czarna policja; jesteście tylko szpiegami i donosicielami starającymi się podstępem albo torturami wydusić z ludzi wyznanie winy. Wy przypisujecie ludziom zbrodnie, ja przypisuję im niewinność. Wy chcecie ich przekonać o grzechu, ja chcę ich przekonać o cnocie.

Czytelniku niegodziwych ksiąg! Jeszcze tylko jedno słowo, zanim raz na zawsze rozwieję twoje bezpodstawne złudzenia! Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak mało dbam o to, czy możesz mnie skazać, czy nie. To, co ty nazywasz hańbą

i straszną szubienicą znaczy dla mnie tyle, co zły olbrzym z bajki dla kogoś, kto jest już dorosły. Powiedziałeś, że występujesz jako mój obrońca. Ja jednak tak niewiele dbam o mglistą krainę tego życia, że sam wystąpię w roli oskarżyciela. W sprawie tej można wytoczyć mi tylko jeden zarzut, i sam go wytoczę. Kobieta, która zginęła, była miłością mojego życia i moją oblubienicą; nie według zwyczaju uznawanego za zgodny z prawem przez wasze blaszane kaplice, ale zgodnie z prawem czystszy i surowszy niż to, które potrafisz zrozumieć. Ona i ja przemierzaliśmy inne niż ty świąty i stąpaliśmy po pałacach z kryształu, podczas gdy ty snułeś się tunelami i korytarzami z cegieł. Otóż wiem dobrze, iż policja, czy to teologiczna, czy inna, zawsze wyobraża sobie, że tam, gdzie pojawiła się miłość, musi wkrótce pojawić się nienawiść; oto zatem pierwszy punkt oskarżenia. Ale drugi punkt jest mocniejszy; nie pominę i tego. Prawdą jest nie tylko, że Paulina mnie kochała; jest także prawdą, że dziś rano, zanim zginęła, spisała przy tym biurku testament, w którym zostawiła mnie i mojemu nowemu Kościołowi pół miliona funtów. No, gdzie są kajdanki? Myślicie, że obchodzi mnie, jakie bzdury będziecie ze mną wyczyniać? Więzienie będzie tylko oczekiwaniem na nią na zapomnianej stacyjce. Szubienica będzie tylko zawrotną jazdą samochodem na spotkanie z nią.

Kalon mówił ze wstrząsającym autorytetem dobrego mówcy; Flambeau i Joanna Stacey patrzyli na niego z pełnym zdumieniem i podziwem. Twarz księdza Browna nie wyrażała nic poza skrajnym zaniepokojeniem; wpatrywał się w ziemię, a jego czoło przecinała głęboka zmarszczka cierpienia. Prorok słońca oparł się wygodnie o kominek i znów podjął swoją mowę.

– W kilku słowach przedstawiłem cały dowód przeciwko mnie; jedyny możliwy dowód przeciwko mnie. Jeszcze mniej słów potrzebuję, by rozbić go w pył, tak że nawet ślad po nim nie zostanie. Na pytanie, czy to ja popełniłem tę zbrodnię, odpowie prawda wyrażona jednym zdaniem: nie mogłem popełnić tej zbrodni. Paulina Stacey spadła z tego piętra na sam dół pięć minut po dwunastej. Stu ludzi stanie w charakterze świadków i zezna, że stałem na balkonie własnego biura od chwili tuż przed wybiciem południa aż do piętnaście po dwunastej; tyle zwykle trwa moja publiczna modlitwa. Mój urzędnik (szacowny młodzieniec z Clapham, niepowiązany ze mną w żaden sposób) przysięgnie, że cały ranek spędził w recepcji i że nikt tamtędy nie przechodził. Przysięgnie, że zjawiłem się całe dziesięć minut przed wybiciem godziny, na piętnaście minut przed pierwszą pogłoską o wypadku i że ani na chwilę nie opuszczałem biura ani balkonu. Nikt nigdy nie miał tak doskonałego alibi; mógłbym wezwać na świadka pół Westminsteru. A więc jednak proszę odłożyć kajdanki. Rozprawa skończona.

Ale na koniec, aby nie pozostał nawet cień tego idiotycznego podejrzenia, powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć. Wydaje mi się, że wiem, jak moją nieodżałowaną przyjaciółkę spotkała śmierć. Jeśli chcecie, możecie oskarżyć o to mnie albo przynajmniej moją wiarę i filozofię; ale na pewno nie możecie zamknąć mnie w więzieniu. Jak dobrze wiadomo badaczom prawd wyższych, niektórzy adepci i oświeceni osiągnęli zdolność lewitacji – to znaczy samodzielne unoszenia się w powietrzu. Jest to jedynie część powszechnego podboju materii, stanowiącego główny element naszej tajemnej mądrości. Biedna Paulina miała porywczy, ambitny charakter. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że uważała się za nieco bardziej wtajemniczoną, niż była w rzeczywistości; często

mówiła mi, kiedy zjeżdżaliśmy razem windą, że gdyby ktoś miał dość siły, mógłby opaść na dół jak piórko, bez żadnej szkody. Jestem święcie przekonany, że w uniesieniu, pod wpływem jakichś szlachetnych myśli, spróbowała dokonać tego cudu. Jej wola czy też wiara musiały ją zawieść w krytycznej chwili i niższe prawo natury zemściło się na niej okrutnie. Oto cała historia, panowie, bardzo smutna i waszym zdaniem zapewne bardzo arogancka i zła, ale z pewnością nie zbrodnicza i w żaden sposób niepowiązana ze mną. W stenograficznym zapisie sądów kryminalnych lepiej określić ją jako samobójstwo. Ja zawsze będę ją nazywał bohaterską porażką w dążeniu do postępu w nauce i powolnej wspinaczce ku niebu.

Flambeau po raz pierwszy widział, że ksiądz Brown został pokonany. Duchowny nadal siedział wpatrzony w ziemię, z czołem pobrużdżonym cierpieniem, jakby się wstydził. Nie sposób było uniknąć wrażenia, które podsycaly skrzydlate słowa proroka, że oto siedzi tu posępny, zawodowy oskarżyciel ludzi zwyciężony przez czystsze go ducha naturalnej wolności i zdrowia. Wreszcie duchowny odezwał się, mrugając jakby w wielkim zaniepokojeniu:

– No cóż, jeśli to wszystko prawda, nie pozostaje panu nic innego, jak zabrać testament, o którym pan mówił i odejść. Ciekawe, gdzie go biedaczka zostawiła.

– Powinien być tam, na jej biurku przy drzwiach – odparł Kalon z tą samą imponującą niewinnością, która zdawała się całkowicie go usprawiedliwiać. – Powiadomiła mnie specjalnie, że napisze go dziś rano i ja sam widziałem ją, jak pisała, kiedy jechałem windą do moich pokoi.

– A więc jej drzwi były wtedy otwarte? – spytał ksiądz, wpatrując się w róg dywanu.

– Tak – potwierdził Kalon spokojnie.

– Ach, i od tamtej pory cały czas są otwarte – zauważył tamten i wrócił do milczących oględzin dywanu.

– Jest tu jakiś papier – odezwała się ponura panna Joanna dość szczególnym głosem. Zdażyła już podejść do biurka siostry przy drzwiach i trzymała w ręku arkusz niebieskiego papieru kancelaryjnego. Na jej twarzy gościł kwaśny uśmieszek, niezbyt pasujący do tej sceny i okoliczności, i Flambeau przyglądał się jej z coraz bardziej marsowym czołem.

Prorok Kalon trzymał się z dala od papieru z tą lojalną nieświadomością, która niosła go do tej pory. Flambeau jednak wziął dokument z rąk damy i czytał go w największym zdumieniu. Rzeczywiście zaczynał się on oficjalnie jak testament, ale po słowach „na wypadek mojej śmierci cały posiadany majątek przekazuję” pismo urywało się nagle na kilku skrobnięciach; nie było ani śladu nazwiska żadnego spadkobiercy. Flambeau, zdumiony, wręczył ten niedokończony testament swemu przyjacielowi, który rzucił na niego okiem w milczeniu i podał go kapłanowi słońca.

W chwilę potem arcykapłan w olśniewających, powłóczystych szatach dwoma wielkimi susami przeskoczył pokój i stanął, górując nad Joanną Stacey, a niebieskie oczy niemal wychodziły mu z orbit.

– Co to mają być za sztuczki?! – wrzasnął. – To nie wszystko, co napisała Paulina! Ze zdumieniem stwierdzili, że mówi teraz zupełnie innym, piskliwym, jankeskim

głosem; całe dostojęstwo poprawnej angielszczyzny opadło z niego jak ubranie.

– Tylko to leżało u niej na biurku – odpowiedziała Joanna i spojrzała na niego nieustraszenie z tym samym złośliwym uśmiechem.

Naraz mężczyzna wybuchnął stekiem przekleństw i potokami niewiarygodnych słów. Gdy opadła z niego maska, było w tym coś szokującego; jakby z żywego człowieka opadła jego własna twarz.

– Słuchaj no! – zawołał jak pospolity Amerykanin, kiedy już tchu mu zabrakło, by dalej przeklinać. – Może i jestem awanturnikiem, ale zdaje się, że ty jesteś morderczynią. Tak, panowie, oto wasze wyjaśnienie tajemniczej śmierci, i to bez żadnej lewitacji. Biedna dziewczyna pisze testament na moją korzyść; jej przekłeta siostrzyczka wchodzi do pokoju, stara się wyrwać jej pióro, ciągnie ją do szybu windy i zrzuca w dół, zanim tamta zdoła dokończyć pisanie. Rany! Chyba jednak przydadzą się tu kajdanki.

– Jak słusznie pan zauważył – odparła Joanna z przerażającym spokojem – pański urzędnik jest bardzo szacownym młodym człowiekiem, który rozumie, co znaczy przysięga; a on przysięgłby w każdym sądzie, że byłam w pańskim biurze w sprawie maszynopisu na pięć minut przed i pięć minut po upadku mojej siostry. Pan Flambeau potwierdzi, że tam mnie zastał.

Zapadła cisza.

– Ale w takim razie – zawołał Flambeau – Paulina była sama, gdy spadła, a więc było to samobójstwo!

– Była sama, gdy spadła – przytaknął ksiądz Brown – ale to nie było samobójstwo.

– No to dlaczego zginęła?

– Została zamordowana.

– Ale była zupełnie sama – zaproponował detektyw.

– Została zamordowana, gdy była zupełnie sama – odpowiedział mu ksiądz.

Wszyscy pozostali wpatrywali się w niego, on jednak siedział nadal w tej samej pozie przygnębienia, ze zmarszczką na wypukłym czole i w nastroju jakby bezosobowego wstydu i żalu; jego głos był bezbarwny i smutny.

– Chciałbym tylko wiedzieć – wykrzyknął Kalon i zaklął – kiedy policja przymknie tę cholerną siostrzyczkę-morderczynię. Zabiła swoją najbliższą krewną, a mnie ukradła pół miliona, które należały mi się jak...

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił Flambeau trochę drwiąco – niech prorok nie zapomina, że cały ten świat to jedynie mglista kraina.

Hierofant boga-słońca spróbował z wysiłkiem wspiąć się ponownie na swój piedestał.

– Nie chodzi tylko o pieniądze – zawołał – chociaż wsparłyby one naszą sprawę na całym świecie. Było to także życzeniem mojej ukochanej. Dla Pauliny wszystko to było święte. W oczach Pauliny...

Ksiądz Brown nagle skoczył na równe nogi, aż jego krzesło przewróciło się do tyłu. Był śmiertelnie blady, ale najwyraźniej zbudziła się w nim nadzieja; oczy mu płonęły.

– O to chodzi! – zawołał dźwięcznym głosem. – Od tego należało zacząć. W oczach Pauliny...

Wysoki prorok cofał się przed miniaturowym księdzem w niemal szalonej panice.

– Co to ma znaczyć? Jak śmiesz! – wołał raz po raz.

– W oczach Pauliny – powtórzył ksiądz, a jego własne oczy rozjaśniały się coraz bardziej. – No, dalej... na Boga, dalej! Najohydniejsza, szatańska zbrodnia staje się lżejsza, gdy się ją wyzna; błagam pana, niech pan ją wyzna! No, dalej, dalej... W oczach Pauliny...

– Zostaw mnie, ty diable! – ryknął Kalon, szamocząc się jak olbrzym w okowach.

– Kim ty jesteś, przeklęty szpiegu, żeby snuć swoje pajęczce sieci wokół mnie, żeby podglądać i podpatrywać? Zostaw mnie!

– Czy mam go zatrzymać? – spytał Flambeau, rzucając się do wyjścia, bo Kalon już zdążył otworzyć drzwi na oścież.

– Nie, wypuść go – polecił ksiądz Brown z dziwnym, głębokim westchnieniem, które zdawało się pochodzić z głębin wszechświata. – Pozwól odejść Kainowi, bo on należy do Boga.

Po jego wyjściu w pokoju zapadła przedłużająca się cisza, która była dla Flambeau jedną niekończącą się agonią domysłów. Panna Joanna Stacey porządkowała papiery w biurku z niezmaconym spokojem.

– Ojciec – odezwał się wreszcie Flambeau – jest moim obowiązkiem, a nie tylko przedmiotem ciekawości... jest moim obowiązkiem odkryć, jeśli potrafię, kto popełnił tę zbrodnię.

– Którą zbrodnię? – spytał ksiądz Brown.

– Tę, którą się zajmujemy, oczywiście – odparł jego niecierpliwy przyjaciel.

– Zajmujemy się dwiema zbrodniami – rzekł ksiądz Brown – zbrodniami bardzo różnej wagi... i dokonanymi przez bardzo różnych zbrodniarzy.

Panna Joanna Stacey zebrała już i uporządkowała swoje dokumenty, teraz zajęta była zamykaniem na klucz szuflady biurka. Ksiądz Brown ciągnął dalej, zwracając na nią równie mało uwagi, co ona na niego.

– Dwie zbrodnie – ciągnął dalej – popełniono kosztem tej samej słabości tej samej osoby, usiłując przejąć jej majątek. Plany autora większej zbrodni pokrzyżowała mniejsza zbrodnia, autor mniejszej zbrodni dostał majątek.

– Ach, skończ z tym wykładem – jęknął Flambeau – powiedz to w kilku słowach.

– Mogę to ująć jednym słowem – odparł jego przyjaciel.

Panna Joanna Stacey z poważną, oficjalną miną wcisnęła przed lustrem czarny, oficjalny kapelusz na głowę i gdy rozmowa toczyła się dalej, wzięła niespiesznie swoją torebkę i parasolkę i wyszła z pokoju.

– Prawdę można wyrazić jednym, i to krótkim słowem – powiedział ksiądz Brown.

– Paulina Stacey była ślepa.

– Ślepa! – powtórzył Flambeau i podniósł się powoli na całą swoją olbrzymią wysokość.

– Miała do tego dziedziczną skłonność – kontynuował ksiądz Brown. – Jej siostra zaczęłaby nosić okulary, gdyby Paulina jej pozwoliła. Paulina miała jednak szczególną filozofię czy też fanaberię, zgodnie z którą tego rodzaju chorób nie należało pogłębiać przez poddawanie się im. Nie przyznawała się do otaczającej ją mgły, a może starała się rozproszyć ją siłą woli. Dlatego jej wzrok pogarszał się coraz bardziej od

wysiłku; ale najgorszy wysiłek dopiero ją czekał. Jego sprawcą był nasz kochany prorok, czy jak on tam siebie nazywa, który nauczył ją patrzeć nieuzbrojonym okiem prosto w pałac słońce. Nazywało się to przyjęciem Apollina. Ach, gdyby ci nowi poganie byli dawnymi poganami, byłiby odrobinę mądrzejsi! Dawni poganie wiedzieli, że sam czysty kult natury musi mieć w sobie nieco okrucieństwa. Wiedzieli, że oko Apolla potrafi porazić i oślepić.

Zapadła cisza, a potem ksiądz mówił dalej łagodnym, a nawet załamującym się głosem:

– Bez względu na to, czy ten diabeł świadomie doprowadził ją do ślepoty, czy też nie, nie ma wątpliwości, że świadomie zabił ją przez jej ślepotę. Sama prostota tej zbrodni jest porażająca. Wiesz, że ona i on jeździli windami w górę i w dół bez obsługi; wiesz także, jak gładko i cicho suną ich kabiny. Kalon podjechał windą na piętro dziewczyny, zobaczył ją przez otwarte drzwi, piszącą w swój powolny, niewidzący sposób testament, który mu obiecała. Zawołał do niej wesoło, że winda już czeka i żeby wyszła, kiedy będzie gotowa. Następnie przycisnął guzik i bezszelestnie poszybował na własne piętro, przeszedł przez biuro, wyszedł na własny balkon i bezpiecznie modlił się już na oczach tłumu, kiedy biedna dziewczyna, skończywszy swoją pracę, pobiegła wesoło tam, gdzie miał na nią czekać kochanek w windzie, i weszła...

– Nie kończ! – krzyknął Flambeau.

– Naciśnięcie tego guzika powinno mu być przynieść pół miliona zysku – ciągnął dalej mały ksiądz bezbarwnym głosem, jakim zwykle opowiadał o takich okropieństwach. – Ale wszystko przepadło. Przepadło, bo była inna osoba, która przypadkiem też chciała tych pieniędzy i która także знаła tajemnicę oczu Pauliny. Było coś w tym testamencie, czego chyba nikt nie zauważył: mimo że był niedokończony i niepodpisany, druga panna Stacey i jakaś jej służąca podpisały go już w charakterze świadków. Joanna podpisała pierwsza, mówiąc z typowo kobiecą pogardą dla prawnych formalności, że Paulina może dokończyć pisanie później. Dlaczego? Pomyślałem o ślepotcie i byłem przekonany, że Joanna chciała, aby Paulina podpisała dokument w samotności, bo pragnęła, żeby pozostał niepodpisany.

Osoby takie jak panny Stacey zawsze używają wiecznych piór; było to naturalne zwłaszcza dla Pauliny. Dzięki nawykowi, silnej woli i pamięci potrafiła nadal pisać niemal tak samo dobrze, jakby widziała; nie potrafiła jednak stwierdzić, kiedy należy zanurzyć stalówkę w kałamarzu. Dlatego jej wieczne pióra były sumiennie napełniane przez jej siostrę... wszystkie poza tym jednym. To jedno zostało sumiennie nienapełnione przez jej siostrę; resztką atramentu wystarczyła na kilka linijek, a potem całkiem się wyczerpała. I tak oto prorok stracił pięćset tysięcy funtów i popełnił jedno z najbrutalniejszych i najgenialniejszych morderstw w historii, nie otrzymując nic w zamian.

Flambeau podszedł do otwartych drzwi i usłyszał policjantów wchodzących po schodach. Odwrócił się i powiedział:

– Musiałeś diabelnie dokładnie wszystko prześledzić, skoro potrafiłeś w dziesięć minut przypisać przestępstwo Kalonowi.

Ksiądz Brown drgnął zaskoczony.

– Och, jemu! – powiedział. – Nie, musiałem prześledzić wszystko dosyć dokładnie, by poznać rolę panny Joanny i wiecznego pióra. Ale o tym, że Kalon jest przestępcą, wiedziałem zanim wszedłem przez frontowe drzwi.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknął Flambeau.

– Mówię najzupełniej poważnie – odparł duchowny. – Mówię ci, że wiedziałem, że on to zrobił, jeszcze zanim dowiedziałem się, co zrobił.

– Ale dlaczego?

– Ci pogańscy stoicy – wyjaśnił ksiądz Brown z namysłem – zawsze zostają pokonani przez własną siłę. Na ulicy rozległ się huk i wrzask, a ten kapłan Apolla nie wzdrygnął się ani nie rozejrzał dookoła. Nie wiedziałem, co to był za huk. Ale wiedziałem, że on się go spodziewał.

POD ZNAKIEM ZŁAMANEJ SZABLI

Tysiące ramion lasu były szare, a miliony jego palców srebrzyste. Na ciemnym niebie o barwie zielono-niebieskiego łupku gwiazdy połyskiwały blado jak okruchy lodu. Cała ta gęsto zalesiona i słabo zaludniona okolica zastygła w okowach ostrego, trzaskającego mrozu. Czarne jamy ziejące między pniami drzew wyglądały jak bezdenne, czarne jaskinie skandynawskiego piekła – takiego piekła, w którym panuje niewyobrażalny ziąb. Nawet kwadratowa, kamienna wieża kościoła miała w sobie coś północnego albo wręcz barbarzyńskiego, jakby była jakąś pogańską basztą wśród morskich skał Islandii. Była to osobliwa noc na zwiedzanie cmentarza. Z drugiej jednak strony, być może cmentarz ten wart był zwiedzenia.

Wyrastał niespodziewanie z jałowego popieliska lasu jakby na garbie czy też grzbiecie pokrytym zieloną murawą, która wyglądała szaro w świetle gwiazd. Większość grobów była położona na pochyłości, a do kościoła wiodła ścieżka stroma jak stopnie schodów. Na szczycie pagórka, w jedynym płaskim, odsłoniętym miejscu stał pomnik, któremu miejsce to zawdzięczało swoją sławę. Kontrastował dziwnie z niewyróżniającymi się niczym grobami wokoło, było to bowiem dzieło jednego z największych rzeźbiarzy współczesnej Europy. A przecież o jego sławie zapominało się od razu w zetknięciu ze sławą człowieka, którego podobiznę stworzył. Światło gwiazd wydobywało z mroku drobnymi pociągnięciami srebrnego ołówka potężną metalową figurę leżącego żołnierza, z rękami zastygniętymi na wieczność w geście nabożnej czci i wielką głową wspartą na karabinie. Czcigodną twarz okalała broda czy raczej staromodne, bujne bokobrody w stylu pułkownika Newcome'a¹⁰. Mundur, choć zaznaczony jedynie kilkoma prostymi liniami, był uniformem współczesnej wojny. Przy prawym boku żołnierza leżała szabla z ułamanym końcem, przy jego lewym boku spoczywała Biblia. W pogodne letnie popołudnia zajeżdżały tu powozy pełne Amerykanów i światłych mieszczan pragnących obejrzyć grobowiec; ale nawet wtedy wielka zalesiona kraina z jedną pękatą kopułą cmentarza i kościoła wydawała się im miejscem dziwnie milczącym i zaniedbanym. Teraz jednak, w środku zimy, człowiek miał wrażenie, że przebywa w mroźnej ciemności sam na sam z gwiazdami. A przecież w martwej ciszy zastygłego lasu zaskrzypiała furka i dwie niewyraźne, czarno ubrane postacie zaczęły wspinać się ścieżką w stronę grobowca.

W bladym, lodowatym świetle gwiazd nie sposób było wysledzić niczego poza tym, że obaj mieli czarne ubrania, jeden był niespotykanie wielki, a drugi (może prawem kontrastu) zaskakująco mały. Wspięli się do wielkiego, rzeźbionego grobowca słynnego wojownika i przez kilka minut stali, przyglądając się mu w zadumie. Na wiele mil wokoło nie było żadnego człowieka, a może i żywego stworzenia; w chorej wyobraźni mogłaby z powodzeniem zrodzić się wątpliwość, czy oni sami są ludźmi. W każdym razie początek ich rozmowy robił niecodzienne wrażenie. Po chwili milczenia niższy mężczyzna przemówił do wyższego:

– Gdzie mądry człowiek chowa kamyk?

A wyższy odparł ściszym głosem:

– Na plaży.

Niższy pokiwał głową i po krótkiej przerwie spytał znowu:

– Gdzie mądry człowiek chowa liść?

A tamten odparł:

– W lesie.

Znów zapadła cisza, a potem wyższy mężczyzna dodał:

– Czy chodzi ci o to, że kiedy mądry człowiek musi ukryć prawdziwy brylant, to bywało, że ukrywał go wśród sztucznych brylantów?

– Nie, nie – zaprzeczył niższy ze śmiechem – co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Przez parę sekund tupał zamarzniętymi nogami, a potem powiedział:

– Wcale nie myślę o tym, ale o czymś zupełnie innym; o czymś dość osobliwym.

Zapał zapałkę, dobrze?

Wyższy mężczyzna pogrzebał w kieszeni, wkrótce rozległ się trzask, i rozbłysk płomienia ozłocił całą płaską ścianę pomnika. Wryto na niej czarnymi literami znane słowa, które ze złości odczytywało tylu Amerykanów: „Ku pamięci generała Sir Arthura St. Clare’a, bohatera i męczennika, który zawsze zwyciężał swoich wrogów i zawsze ich oszczędzał, a na koniec został przez nich podstępnie zamordowany. Niechaj Bóg, w którym pokładał ufność, nagrodi go i pomści jego śmierć”.

Zapałka sparzyła palce dryblasą, szerniała i spadła na ziemię. Już miał zapalić kolejną, kiedy jego niski towarzysz powstrzymał go.

– Wystarczy, Flambeau, stary druhu. Zobaczyłem, co chciałem. A raczej nie zobaczyłem, czego nie chciałem. A teraz musimy iść półtorej mili aż do następnej gospody, a po drodze spróbuję ci o wszystkim opowiedzieć. Bóg wie, że człowiekowi potrzeba kominka i kufelka piwa, kiedy odważy się opowiedzieć taką historię.

Zeszli po stromej ścieżce, zamknęli za sobą zardzewiałą furtkę i ruszyli głośno tupiąc po zamarzniętej leśnej drodze. Uszli co najmniej ćwierć mili, zanim niższy wędrowiec znowu przemówił.

– Tak, mądry człowiek chowa kamyk na plaży. Ale co robi, jeśli nie ma plaży? Słyszałeś kiedyś o zagadce wielkiego St. Clare’a?

– Nie znam się na angielskich generałach, proszę księdza – odparł ze śmiechem wielkolud – chociaż znam się co nieco na angielskich policjantach. Wiem tylko, że niejaki ksiądz Brown przeczołgał mnie po wszystkich sanktuariach tego gościa, kimkolwiek on był. Można by pomyśleć, że pochowano go w sześciu różnych miejscach. Widziałem pomnik generała St. Clare’a w opactwie westminsterskim. Widziałem figurę generała St. Clare’a na stojącym dęba koniu nad Tamizą. Widziałem medalion z jego podobizną przy ulicy, gdzie się urodził i drugi przy ulicy, gdzie mieszkał; a teraz zaciągnąłeś mnie po ciemku do jego grobu na wiejskim cmentarzu. Zaczynam być nieco zmęczony jego wspaniałą osobowością, zwłaszcza że zupełnie nie mam pojęcia, kto to taki. Czego szukasz we wszystkich tych kryptach i pomnikach?

– Szukam tylko jednego słowa – odparł ksiądz Brown. – Słowa, którego tam nie ma.

– Hm – mruknął Flambeau. – Powiesz mi o tym coś więcej?

– Muszę podzielić rzecz na dwie części – zaznaczył ksiądz Brown. – Najpierw

powiem ci to, co wiedzą wszyscy, a potem to, co ja wiem. Otóż to, co wiedzą wszyscy, jest dość jasne i proste. A także zupełnie fałszywe.

– Święte słowa – zgodził się wesóło dryblas o imieniu Flambeau. – A więc zacznijmy od niewłaściwego końca. Zacznijmy od tego, co wszyscy wiedzą i co nie jest prawdą.

– Nawet jeśli jest w tym szczypta prawdy, to w każdym razie zupełnie niewystarczająca – wyjaśniał dalej ksiądz Brown. – To, co powszechnie wiadomo, można bowiem streścić dokładnie tak: Arthur St. Clare był wielkim, odnoszącym zwycięstwa angielskim generałem. Wiadomo, że po triumfalnych, lecz ostrożnych kampaniach w Indiach i Afryce dowodził wojskiem przeciwko Brazylii, kiedy wielki brazylijski patriota Olivier postawił swoje ultimatum. Wiadomo, że przy tej okazji St. Clare z bardzo małym oddziałem zaatakował Oliviera dysponującego o wiele większymi siłami i dostał się do niewoli po bohaterskiej obronie. Wiadomo także, że zaraz po schwytaniu i ku przerażeniu cywilizowanego świata St. Clare'a powieszono na pierwszym lepszym drzewie. Po wycofaniu się Brazylijczyków znaleziono go powieszono, ze złamaną szablą na szyi.

– I ta powszechnie znana historia jest niezgodna z prawdą? – dopowiedział Flambeau.

– Nie – odparł cicho jego przyjaciel – wszystko, co ta historia mówi, jest całkiem prawdziwe.

– Jak dla mnie, to mówi ona wystarczająco dużo! – stwierdził Flambeau. – Ale jeśli powszechnie znana historia jest prawdziwa, to o jaką zagadkę tu chodzi?

Minęli wiele setek szarych, upiornych drzew, zanim mały ksiądz odpowiedział. Chwilę gryźł palec w zamyśleniu, a potem rzekł:

– Hm, chodzi o zagadkę ludzkiej psychiki. A raczej o zagadkę psychiki dwóch ludzi. W tej brazylijskiej historii dwóch najsłynniejszych bohaterów współczesnej historii zachowało się całkowicie niezgodnie ze swoim charakterem. Nie zapominaj, że Olivier i St. Clare obaj byli bez wątpienia bohaterami w starym stylu; ich starcie było jak walka między Hektorem i Achillesem. Otóż, co byś powiedział o awanturze, w której Achilles zachował się tchórzliwie, a Hektor zdradziecko?

– Mów dalej – ponaglił go niecierpliwie dryblas, gdy mały ksiądz znów zaczął gryźć palec.

– Sir Arthur St. Clare był pobożnym żołnierzem w starym stylu; tacy żołnierze ocalili nas w czasie powstania sipajów – ciągnął ksiądz Brown. – Obowiązek zawsze znaczył dla niego więcej niż brawura, a przy całej osobistej odwadze był bez wątpienia rozważnym dowódcą, którego oburzały zwłaszcza jakiegokolwiek niepotrzebne straty w ludziach. A jednak w tej ostatniej bitwie porwał się na coś, co nawet dziecko uznałoby za bezsensowne. Nie trzeba być strategiem, żeby stwierdzić, że było to zupełnie szaleństwo, jak nie trzeba być strategiem, żeby umknąć spod kół rozpędzonego autobusu. Oto pierwsza zagadka: co się stało z głową angielskiego generała? I druga zagadka: co się stało z sercem męznego Brazylijczyka? Prezydent Olivier może być dla jednych wizjonerem, a dla drugich zawałdą, ale nawet jego wrogowie przyznawali, że był wielkoduszny aż do przesady, z jakiej słynęli błędni rycerze. Prawie wszyscy

schwytni przez niego jeńcy odzyskiwali wolność, a nawet bywali obsypywani przywilejami. Ludzie, którzy naprawdę wyrządzili mu krzywdę, odchodzili ujęci jego prostotą i łagodnością. Czemu do diaska miałby się diabolicznie zemścić tylko raz w życiu, i to za ten szczególny cios, który nie mógł go zranić? No, teraz już wiesz wszystko. Jeden z najmądrzejszych ludzi na świecie bez powodu zachował się jak półgłówek. Jeden z najszlachetniejszych ludzi na świecie bez powodu zachował się jak nikczemnik. Tak to wygląda, w ogóle i w szczególe; rozwiązanie tej zagadki to twoja sprawa, mój stary

– Akurat! – zachnął się jego towarzysz. – Rozwiązanie tej zagadki to twoja sprawa, i zaraz mi je pięknie przedstawisz.

– Hm – podjął znów ksiądz Brown – nieuczciwością byłoby twierdzić, że powszechne wrażenie ogranicza się do tego, co przed chwilą powiedziałem, i nie dodać dwóch rzeczy, które wydarzyły się potem. Nie można powiedzieć, że rzuciły one na tę sprawę nowe światło, bo nikt nie potrafił ich zrozumieć. Ale rzuciły one niejako nowy cień albo rzuciły go w nowym kierunku. Pierwsze zdarzenie było takie. Lekarz rodziny St. Clare skłócił się z rodziną i zaczął publikować wściekle artykuły, w których dowodził, że nieżyjący generał był maniakiem religijnym, ale z jego opowieści wynikało raczej, że był po prostu religijnym człowiekiem. W każdym razie sprawa przycichła. Wszyscy wiedzieli, rzecz jasna, że St. Clare hołdował niektórym dziwactwom purytańskiej pobożności. Drugi przypadek był o wiele bardziej frapujący. W nieszczęsnym, pozbawionym wsparcia regimencie, który dokonał tego pochopnego wypadu nad Czarną Rzeką był niejaki kapitan Keith, wówczas narzeczony córki St. Clare'a, którą potem pojął za żonę. Należał on do żołnierzy wziętych do niewoli przez Oliviera i – jak wszyscy z wyjątkiem generała – został najwyraźniej potraktowany łaskawie i szybko wypuszczony na wolność. Jakies dwadzieścia lat później ów człowiek, wówczas podpułkownik Keith, opublikował coś w rodzaju autobiografii pod tytułem „Brytyjski oficer w Birmie i Brazylii”. Tam jednak, gdzie czytelnik gorączkowo szukałby jakiegoś wyjaśnienia tajemniczej porażki St. Clare'a, znaleźć można jedynie następujące słowa: „Wszędzie w tej książce relacjonowałem zdarzenia dokładnie tak, jak wyglądały, jako że przychyliam się do staromodnej opinii, iż chwała Anglii ma swoje lata i zatroszczy się sama o siebie. Jedyne wyjątkiem w tym względzie czynię klęskę nad Czarną Rzeką, a powody, jakie mam po temu, choć osobiste, są uczciwe i przekonujące. Jednakże, chcąc uczynić zadość pamięci dwóch wybitnych ludzi, dodam co następuje. Generał St. Clare bywał przy tej okazji oskarżany o nieudolność; ja mogę przynajmniej zaświadczyć, że jego posunięcie, właściwie rozumiane, było jednym z najbłyskotliwszych i najrozsądniejszych w jego życiu. Prezydenta Oliviera w podobnych relacjach oskarżano o barbarzyńską niesprawiedliwość. Szacunek do przeciwnika każe mi powiedzieć, że w tym wypadku wykazał się on większą nawet niż zwykle wielkodusznością. Ujmując rzecz potocznie, mogę zapewnić moich rodaków, że St. Clare nie był wcale takim głupcem ani Olivier takim okrutnikiem, jak mogłoby się wydawać. To wszystko, co mam do powiedzenia i żadne ziemskie względy nie skłonią mnie, bym dodał do tego choć słowo”.

Wielki mroźny księżyc jak lśniaca śniegowa kula zaczął prześwitywać przed nimi

przez gąszcz czarnych gałęzi i w jego świetle narrator mógł odświeżyć wspomnienie słów kapitana Keitha, posługując się skrawkiem zadrukowanego papieru. Kiedy złożył go i schował na powrót do kieszeni, Flambeau podniósł dłoń zamasztywanym gestem prawdziwego Francuza.

– Czekaj no, czekaj! – zawołał podniecony. – Zdaje się, że potrafię odgadnąć to z marszu.

Szedł dalej, dysząc ciężko, pochylając czarną głowę i byczą szyję do przodu, jak ktoś, kto chce wygrać wyścigi chodździarzy. Mały ksiądz, rozbawiony i zaciekawiony, z niejakim trudem dotrzymywał mu kroku. Tuż przed nimi drzewa rozstały się nieco na prawo i lewo, a droga wiodła dalej w dół, przez jasną, oświetloną księżycem dolinę, dopóki nie znikła ponownie jak królik w ścianie kolejnego lasu. Wejście do niego było małe i okrągłe, jak czarny wlot dalekiego tunelu kolejowego. Ale zanim Flambeau przemówił znowu, dzieliło ich od niego ledwie jakieś sto jardów, a wejście do lasu urosło do rozmiarów jaskini.

– Mam! – wykrzyknął wreszcie, uderzając się wielką dłonią po udzie. – Cztery minuty myślenia i mogę sam opowiedzieć ci całą historię.

– Dobrze – zgodził się jego przyjaciel. – Opowiedz ją sam.

Flambeau podniósł głowę, ale zniżył głos.

– Generał sir Arthur St. Clare – powiedział – pochodził z rodziny, w której obłęd był chorobą dziedziczną, a jedynym jego celem było ukrycie tego faktu przed córką, a nawet, jeśli możliwe, przed przyszłym zięciem. Słusznie czy nie, generał uważał, że chwila ostatecznego załamania jest bliska i zdecydował się na samobójstwo. Ale zwykle samobójstwo nasunęłoby wszystkim myśl, której się obawiał. W miarę zbliżania się kampanii jego umysł zaćmiewał się coraz bardziej; aż wreszcie w chwili szaleństwa poświęcił swój publiczny obowiązek dla prywatnego interesu. Rzucił się lekkomyślnie w wir bitwy, mając nadzieję paść od pierwszej kuli. Gdy jednak przekonał się, że czeka go jedynie niewola i pohańbienie, ukryta w jego umyśle bomba ostatecznie wybuchła; generał złamał swoją szablę i się powiesił.

Flambeau wbił wzrok przed siebie, w szarą ścianę lasu, w której jedyny ciemny otwór ział jak otwarta mogiła; w tej czeluści znikła ich ścieżka. Może to nagłe, złowróżbne połknięcie drogi przez las wzmogło jego żywe wyobrażenie tragedii, bo wstrząsnął nim dreszcz.

– Okropna historia – powiedział.

– Okropna historia – powtórzył ksiądz z pochyloną głową – tyle że nieprawdziwa. Potem odrzucił głowę w tył i jakby w nagłym przypiływie rozpaczy zawołał:

– Och, jaka szkoda, że nieprawdziwa!

Jego wysoki towarzysz odwrócił głowę i wpatrywał się w niego zdziwiony.

– Twoja historia jest czysta! – zawołał ksiądz Brown, głęboko poruszony. – Miła, czysta, uczciwa historia, szczerza i jasna, jak ten księżyc nad nami. Obłęd i rozpacz to całkiem niewinne sprawy. Bywają gorsze rzeczy.

Flambeau rzucił dzikie spojrzenie na tak przywołany księżyc i z miejsca, w którym stał, zobaczył na jego tle jedną jedyną czarną gałąź wygiętą zupełnie jak czarci róg.

– Ojciec... ojciec! – zawołał, znów gestykułując, jak na Francuza przystało,

i ruszył jeszcze szybciej naprzód – czy chcesz powiedzieć, że zdarzyło się coś jeszcze gorszego?

– Coś jeszcze gorszego – powtórzył tamten z powagą jak echo. I zagłębili się w ciemny wirydarz lasu. Przed ich oczami przesuwiał się czarny gobelin pni, niczym jeden z mrocznych korytarzy sennego koszmaru.

Wkrótce znajdowali się już w najgłębszych wnętrznościach lasu i wokół siebie czuli blisko gęstwinię, której nie było widać, kiedy ksiądz odezwał się znowu:

– Gdzie mądry człowiek chowa liść? W lesie. Ale co robi, jeśli nie ma lasu?

– No – zawołał z rozdrażnieniem Flambeau – co robi?

– Sadzi las, żeby w nim ukryć liść – odparł ksiądz Brown stłumionym głosem. – To straszny grzech.

– Słuchaj no – zawołał jego przyjaciel zniecierpliwiony, bo mroczny las i niejasne słowa działały mu trochę na nerwy – opowiesz mi tę historię, czy nie? Są jeszcze jakieś dowody, na których można się oprzeć?

– Są jeszcze trzy dowody – odparł tamten – wydobyte przeze mnie z różnych zakamarków; przedstawię ci je raczej w porządku logicznym niż chronologicznym. Po pierwsze, rzecz jasna, autorytatywnym potwierdzeniem wyniku i przebiegu bitwy są dla nas meldunki samego Oliviera, a są one dość przejrzyste. Był okopany z dwoma czy trzema regimentami na wzgórzach schodzących ku Czarnej Rzece, na której drugim brzegu rozciągał się niższy, bardziej podmokły teren. Dalej, tam gdzie grunt znów łagodnie się podnosił, znajdowała się pierwsza angielska placówka, wspierana przez inne, położone jednak o wiele dalej na tyłach. Siły brytyjskie jako całość miały wielką przewagę liczebną; jednak ten konkretny regiment był akurat na tyle oddalony od swego zaplecza, że Olivier mógł rozważać plan sforsowania rzeki i odcięcia go od reszty wojska. O zachodzie słońca zdecydował się jednak pozostać na dotychczasowej pozycji, która była wyjątkowo silna. O świcie następnego ranka z osłupieniem stwierdził, że ta całkowicie pozbawiona wsparcia zbłąkana garstka Anglików przepравиła się przez rzekę – połowa przez most na prawo, połowa przez bród położony wyżej – i teraz stoi stłoczona na podmokłym brzegu poniżej jego stanowiska.

Wystarczająco niewiarygodne było to, że z taką liczbą żołnierzy próbowali zaatakować tak mocną pozycję, ale Olivier zauważył coś jeszcze bardziej niezwykłego. Bowiem zamiast próbować wydostać się na mniej podmokły grunt, gdy jedną szaleńczą szarżą udało się im już pokonać rzekę, żołnierze nie robili nic więcej, tylko tkwili na błotnistym brzegu jak muchy uwięzione w melasie. Nie trzeba dodawać, że brazylijska artyleria poczyniła w ich szeregach wielkie spustoszenie, na co oni mogli odpowiadać jedynie energicznym, lecz coraz słabszym ogniem karabinowym. Nie cofnęli się jednak i zwięzła relacja Oliviera kończy się mocnym wyrazem podziwu dla tajemniczego męstwa tych półgłówków. „Nasze oddziały ostatecznie rozpoczęły natarcie – pisze Olivier – i zepchnęliśmy ich do rzeki; wzięliśmy do niewoli samego generała St. Clare’a i kilku innych oficerów. Pułkownik i major obaj polegli w walce. Muszę dodać, że historia widziała niewiele wspanialszych scen niż ostatni opór tego niezwykłego regimentu; ranni oficerowie podnoszący karabiny zabitych żołnierzy i sam generał stawiający nam czoła na koniu, z odkrytą głową i złamaną szablą”. O tym, co stało się

potem z generałem, Olivier milczy tak samo jak kapitan Keith.

– No cóż – mruknął Flambeau – przejdźmy do kolejnego dowodu.

– Kolejnego dowodu – rzekł ksiądz Brown – trzeba było szukać dość długo, ale przedstawić go można krótko. Znalazłem wreszcie w przytułku w regionie Fens w hrabstwie Lincolnshire starego żołnierza, który nie tylko był ranny w bitwie nad Czarną Rzeką, ale nawet klęczał przy umierającym pułkowniku tego regimentu. Tym ostatnim był pułkownik Clancy, wielki jak byk Irlandczyk, który jak się zdawało zmarł tyleż od kul, co i z wściekłości. On w każdym razie nie był odpowiedzialny za ten absurdalny atak, który musiał mu być narzucony przez generała. Jego ostatnie pouczające słowa, zdaniem mojego informatora, brzmiały: „Tak kończy ten stary osioł z utraconą szablą. Szkoda, że nie z utraconą głową”. Jak widzisz, wszyscy najwyraźniej zauważali ten szczegół, jakim było złamane ostrze szabli, chociaż większość ludzi traktuje to z większym szacunkiem niż świętej pamięci pułkownik Clancy. A teraz trzeci dowód.

Ich droga przez las zaczęła piąć się ku górze i mówca musiał przerwać na chwilę z powodu braku tchu, zanim przemówił znowu. Potem odezwał się tym samym rzeczowym tonem:

– Zaledwie miesiąc czy dwa temu zmarł w Anglii pewien wysoki brazylijski urzędnik, który po kłótni z Olivierem opuścił swój kraj. Był to człowiek znany zarówno tutaj, jak i na kontynencie; Hiszpan o nazwisku Espado. Znałem i ja tego śniadego dandysa o haczykowatym nosie. Z rozmaitych osobistych powodów wolno mi było obejrzeć dokumenty, które zostawił; oczywiście był katolikiem i towarzyszyłem mu pod koniec życia. W jego rzeczach nie było nic, co rozjaśniłoby mroczną aferę St. Clare’a, poza pięcioma czy sześcioma zwykłymi szkolnymi zeszytami zawierającymi pamiętnik jakiegoś angielskiego żołnierza. Mogę tylko przypuszczać, że Brazylijczycy znaleźli go przy jednym z poległych. W każdym razie pamiętnik urywał się nagle na nocy poprzedzającej bitwę.

Ale opis ostatniego dnia z życia tego biedaka był niewątpliwie wart lektury. Mam go przy sobie, ale za ciemno, by czytać, przedstawię ci więc streszczenie. Pierwsza część tego wpisu pełna jest żartów, najwyraźniej powtarzanych przez żołnierzy, na temat kogoś, kogo nazywano „Sępem”. Nie wydaje się, by ten osobnik, kimkolwiek był, należał do żołnierzy, a nawet w ogóle do Anglików; nie mówi się o nim też wyraźnie jako o wrogu. Wygląda to raczej tak, jakby był to jakiś miejscowy pośrednik niebiorący udziału w walce; może przewodnik albo dziennikarz. Zamykał się z pułkownikiem Clancym, ale częściej widziano go rozmawiającego z majorem. W rzeczy samej, dość ważną rolę w relacji żołnierza odgrywa major – chudy, czarnowłosy mężczyzna o nazwisku Murray, północny Irlandczyk i purytanin. W relacji stale powtarzają się dowcipy na temat surowości tego mieszkańca Ulsteru i serdeczności pułkownika Clancy’ego. Jest też jakiś żart na temat jaskrawej odzieży „Sępa”.

Ale wszystkie te beztrioskie uwagi rozprasza coś, co można z powodzeniem nazwać dźwiękiem trąbki. Na tyłach angielskiego obozu i niemal równoległe do rzeki przebiegała jedna z nielicznych głównych dróg tego regionu. Na zachodzie droga skręcała w kierunku rzeki, którą przekraczała przez wspomniany już most. Na wschodzie droga odchodziła na bezdroża i jakieś dwie mile dalej mijała kolejną angielską placówkę. Droga od tej strony

nadciągnął tego wieczoru błyszczący, hałaśliwy oddział lekkiej kawalerii, w której nawet nasz prosty dziennikarz rozpoznał ze zdumieniem generała i jego sztab. Generał dosiadał tego wielkiego białego konia, którego tak często widywałeś w ilustrowanych magazynach i na obrazach akademików, i możesz być pewien, że żołnierze salutowali na jego widok nie tylko dla formalności. On w każdym razie nie tracił czasu na ceremonie, ale zeskoczywszy z siodła, natychmiast wmieszał się między oficerów i rozpoczął dobitną, choć poufną przemowę. Tym, co najbardziej uderzyło naszego kronikarza, była szczególna skłonność generała do omawiania spraw z majorem Murrayem, ale wybór ten, dopóki nie stał się zbyt wyraźny, nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Ci dwaj byli jakby stworzeni, by z sobą sympatyzować; obaj „czytali swoje Biblie”, obaj stanowili typ ewangelicznego oficera. Jakkolwiek było, pewne jest, że kiedy generał znów dosiadł wierzchowca, nadal mówił coś z zapalem do Murraya, a kiedy jechał powoli drogą w kierunku rzeki, wysoki mieszkaniec Ulsteru nadal szedł przy uździe jego konia, perorując z zapalem. Żołnierze przyglądali się tym dwóm, dopóki nie zniknęli za kępą drzew, tam gdzie droga skręcała w kierunku rzeki. Pułkownik wrócił do swego namiotu, a żołnierze na wartę; autor pamiętnika zamarudził jeszcze cztery minuty i ujrzał niezwykle widok.

Wielki biały koń, który wcześniej szedł w dół drogą równie wolno jak na jednej ze swych licznych defilad, teraz galopował z powrotem pod górę, jakby chciał za wszelką cenę wygrać wyścig. Z początku myślano, że poniósł i porwał ze sobą jeźdźca; wkrótce jednak przekonano się, że generał, wytrawny jeździec, sam pogania konia do jak najszybszego galopu. Koń i jeździec zbliżyli się do nich jak huragan; a potem, ściągając cugle tańczącego wierzchowca, generał zwrócił ku nim płonąca twarz i głośno, jak trąba budząca umarłych, zawołał na pułkownika.

O ile rozumiem, na ludzi takich jak nasz pamiętnikarz wszystkie te przypominające trzęsienie ziemi katastrofalne wydarzenia zwały się jedno po drugim jak sterta drewnianych bali. W oszołomieniu i podnieceniu, jakie towarzyszy snom, stwierdzili, że każdy wpadł – dosłownie wpadł – na swoje miejsce w szeregu i dowiedział się, że mają natychmiast zaatakować drugi brzeg rzeki. Powiedziano im, że generał i major odkryli coś na moście i że tylko niezwłoczne uderzenie może ich ocalić. Major natychmiast ruszył z powrotem, by wezwać posiłki stacjonujące dalej przy drodze; wątpliwe jednak było, czy nawet tak szybkie wezwanie zdoła sprowadzić pomoc na czas. Muszą jednak przeprowić się przez rzekę jeszcze tej nocy, a o świcie zaatakować wzgórze. Na tym poruszeniu i mocniejszym biciu serca, wywołanym perspektywą nocnego wymarszu, nasz pamiętnik nagle się urywa.

Ksiądz Brown wysforował się naprzód i wwyż; leśna droga zwęziła się bowiem, stawała coraz bardziej stroma i kręta, aż wreszcie zdawało się im, że wspinają się po kręconych schodach. Głos księdza dobiegał teraz z góry, z ciemności.

– Zdarzyło się jednak coś jeszcze, małego i wielkiego zarazem. Kiedy generał zagrzewał żołnierzy do bohaterskiego ataku, wyciągnął do połowy szablę z pochwy, a potem, jakby zawstydzony tym melodramatycznym gestem, schował ją z powrotem. Znów szabla, jak widzisz.

Przyćmione światło przebiło się przez płataninę gałęzi nad ich głowami, rzucając

im pod nogi widmową sieć; wydostawali się bowiem znowu na otwartą, jaśniejącą blade przestrzeń nocy. Flambeau czuł, że otacza go zewsząd atmosfera prawdy, ale nie mógł jej uchwycić. Odezwał się oszołomiony:

– No, ale co z tą szablą? Oficerowie chyba zwykle mają szable, prawda?

– Rzadko wspomina się o nich w opisach współczesnych wojen – odparł beznamiętnie jego towarzysz – ale w tej sprawie co krok potykamy się o tę sakramencką szablę.

– I co z tego? – burknął Flambeau. – Przypadek w sam raz dla tanich pism ilustrowanych; starszek łamie szablę w czasie ostatniej bitwy. Każdy by się założył, że gazety podchwycą ten fakt, jak to się rzeczywiście stało. Na wszystkich tych grobowcach i monumentach widnieje szabla ze złamanym końcem. Mam nadzieję, że nie wyciągnąłeś mnie na tę polarną ekspedycję tylko dlatego, że dwaj spozregawczy ludzie widzieli złamaną szablę St. Clare’a!

– Nie! – wykrzyknął ksiądz Brown ostrym głosem, który zabrzmiał jak strzał z pistoletu. – Ale kto widział jego niezłamaną szablę?

– O czym ty mówisz? – zawołał Flambeau i zatrzymał się pod gwiazdami.

– Pytam, kto widział jego niezłamaną szablę? – powtórzył z uporem ksiądz Brown.

– W każdym razie nie autor pamiętnika; generał w porę ją schował.

Zwalisty Francuz rozglądał się bezradnie wokoło w świetle gwiazd, jak ktoś porażony ślepotą rozglądałby się pod słońcem; jego przyjaciel zaś ciągnął dalej, po raz pierwszy z zapalem:

– Flambeau! – zawołał. – Nie mogę tego dowieść nawet po nawiedzeniu nagrobków. Ale jestem tego pewien. Pozwól, że dodam jeszcze jeden maleńki fakt, który ostatecznie przechyliła szalę. Dziwnym zbiegiem okoliczności pułkownik był jednym z pierwszych, których dosięgła kula. Został trafiony na długo przed bezpośrednim zwarem się wojsk. Ale i on widział złamaną szablę St. Clare’a. Dlaczego była złamana? Przyjacielu, ta szabla złamała się przed bitwą.

– Ach – odezwał się ów przyjaciel z czymś w rodzaju rozpaczliwego poczucia humoru – i gdzież to podziewa się jej koniec?

– Mogę ci to powiedzieć – odparł natychmiast ksiądz Brown. – W północnym narożniku cmentarza przy protestanckiej katedrze w Belfaście.

– Doprawdy? – zdziwił się tamten. – Szukałeś jej tam?

– Nie mogłem – odparł ksiądz Brown ze szczerym żalem. – Stoi na niej wielki marmurowy pomnik bohaterskiego majora Murraya, który poległ na polu chwały podczas słynnej bitwy nad Czarną Rzeką.

Flambeau słowa te zelektryzowały, jakby dopiero zbudził się do istnienia.

– Chcesz powiedzieć – wykrzyknął ochryple – że generał St. Clare nienawidził Murraya i zamordował go na polu bitwy, dlatego że...

– Nadal jesteś pełen dobrych, czystych myśli – stwierdził tamten. – Było o wiele gorzej.

– Hm – mruknął dryblas – mój zapas niegodziwych pomysłów jest na wyczerpaniu.

Duchowny najwyraźniej naprawdę się wahał, od czego zacząć, aż wreszcie powtórzył znowu:

– Gdzie mądry człowiek ukryłby liść? W lesie.

Jego towarzysz nie odpowiedział.

– Gdyby nie było lasu, toby go zasadził. A gdyby chciał ukryć martwy liść, zasadziłby martwy las.

Nadal nie było odpowiedzi, więc ksiądz dodał jeszcze ciszej i łagodniej:

– A gdyby człowiek miał do ukrycia martwe ciało, to aby je ukryć, stworzyłby pole martwych ciał.

Flambeau ruszył zamaszystym krokiem, najwyraźniej nie tolerując żadnego opóźnienia w czasie i przestrzeni, ale ksiądz Brown mówił dalej, jakby kończąc poprzednie zdanie:

– Sir Arthur St. Clare, jak już powiedziałem, był człowiekiem, który pilnie czytał swoją Biblię. I na tym właśnie polegał problem. Kiedy wreszcie ludzie rozumieją, że na nic się nie zda, jeśli każdy będzie czytał swoją własną Biblię, a nie Biblię wszystkich innych ludzi? Drukarz czyta Biblię, bo szuka w niej błędów drukarskich. Mormon czyta Biblię i znajduje w niej poligamię; wyznawca Chrześcijańskiej Nauki czyta Biblię i dowiaduje się z niej, że nie mamy rąk ani nóg. St. Clare był starym żołnierzem z angielskiej, protestanckiej rodziny mieszkającej w Indiach. Tylko pomyśl, co mogło to oznaczać i, na litość boską, nie wciskaj mi żadnych frazesów. Mogło to oznaczać, że niezwykle silny człowiek, żyjący pod słońcem tropików we wschodnim społeczeństwie, bez zrozumienia i bez przewodnika zanurzał się w lekturze tej wschodniej księgi. Oczywiście, czytał on raczej Stary niż Nowy Testament. I oczywiście znalazł w Starym Testamencie wszystko, co chciał znaleźć – pożądlivość, tyranię, zdradę. Śmiem nawet twierdzić, że był uczciwy, jak ty to nazywasz. Ale co może być dobrego w tym, że człowiek uczciwie hołduje nieuczciwości?

We wszystkich gorących, nieznanach krainach, do których się udawał, miał haremy, torturował świadków, gromadził niegodziwe złoto; ale z pewnością bez mrugnięcia okiem powiedziałby, że robił to wszystko na chwałę Pana. Moją własną teologię wystarczająco oddaje pytanie: którego Pana? Tak czy inaczej, tego rodzaju zło ma to do siebie, że otwiera jedną po drugiej kolejne bramy piekieł wiodące do coraz ciasniejszych pomieszczeń. Prawdziwym argumentem przeciwko występкови jest właśnie to: że nie daje on człowiekowi coraz dzikszej swobody, tylko wpędza go w coraz podlejszą niczemność. Generała wkrótce przygniotły problemy przekupstwa i szantażu; potrzebował coraz więcej gotówki. Zanim wybuchła bitwa nad Czarną Rzeką, spadał niżej i niżej, aż dotarł do miejsca, które Dante umieścił na najniższej kondygnacji wszechświata.

– O czym ty mówisz? – znów spytał jego przyjaciel.

– O tym – odparował duchowny i nagle wskazał na lśniącą w świetle księżyca skutą lodem kałużę. – Nie pamiętasz, kogo Dante umieścił w ostatnim lodowym kręgu?

– Zdrajców – odparł, wzdrygając się, Flambeau. Rozglądając się wokół po nieludzkim pejzażu pełnym drzew o szyderych, a nawet nieprzyzwoitych kształtach, miał niemal wrażenie, że jest Dantem, a ksiądz o szemrzącym jak strumyk głosie faktycznie jest Wergiliuszem prowadzącym go przez krainę wiecznego grzechu.

Głos ciągnął dalej:

– Olivier, jak wiesz, był romantykiem i nie zezwalał na korzystanie z wywiadu i szpiegów. Ale robiono to, jak wiele innych rzeczy, za jego plecami. Zajmował się tym mój stary przyjaciel Espado; to on był owym jaskrawo odzianym fircykiem, który z powodu haczykowatego nosa zyskał przydomek „Sępa”. Udając swego rodzaju filantropa na froncie starał się wybadać angielskie wojsko, aż wreszcie wpadł mu w ręce jedyny – daj Boże! – zepsuty żołnierz, i to żołnierz najwyższej rangi. St. Clare desperacko potrzebował pieniędzy, całych gór pieniędzy. Skorumpowany lekarz rodziny groził ujawnieniem tych niezwykłych sekretów, które potem zaczął i zaraz przestał publikować; opowieści o potwornych, prehistorycznych rzeczach dziejących się przy Park Lane; opowieści o czynach angielskiego ewangelika, które trąciły ofiarami z ludzi i hordami niewolników. Potrzebował także pieniędzy na posag dla córki, bo sława bogactwa była dla niego równie słodka jak samo bogactwo. Zerwał ostatnią nić; szepnął słowo Brazylijczykowi i rzeka pieniędzy popłynęła ku niemu od wrogów Anglii. Ale oprócz niego jeszcze jeden człowiek rozmawiał z „Sępem” Espado. Jakimś cudem czarny, ponury młody major z Ulsteru odgadł straszliwą prawdę; i kiedy zmierzali wolno w stronę mostu, Murray mówił generałowi, że musi natychmiast podać się do dymisji albo stanie przed sądem polowym, który skaze go na rozstrzelanie. Generał, rozmawiając z nim, grał na zwłokę, dopóki nie weszli między tropikalne drzewa na brzegu rzeki; i tam, nad szemrzącą wodą, wśród skąpanych w słońcu palm (widzę to wyraźnie) generał wyciągnął szablę i utopił jej ostrze w ciele majora.

Zimowa droga biegła łukiem przez grzbiet wzniesienia w trzaskającym mrozie, wśród groźnych czarnych sylwetek krzewów i zarośli; Flambeau miał jednak wrażenie, że za grzbietem tym dostrzega delikatną poświatę niebędącą światłem księżyca ani gwiazd, ale pochodzącą od ognia skrzesanego przez ludzi. Przyglądał się jej, gdy tymczasem opowieść dobiegała końca.

– St. Clare był co prawda nędznym psem z piekła rodem, a jednak psem rasowym. Przysięgnęłbym, że nigdy nie był tak trzeźwy i silny jak wtedy, gdy biedny Murray leżał martwy u jego stóp. Nigdy, nawet w chwili największych triumfów, jak słusznie zauważył kapitan Keith, ten wielki człowiek nie osiągnął takiej wielkości, jak w chwili ostatniej, pogardzanej przez świat porażki. Spokojnie przyjrzał się swojej broni, żeby oczyścić ją z krwi i zobaczył, że koniec ostrza, które wbił między łopatki swojej ofiary, ułamał się i pozostał w jej ciele. Z całym spokojem, jakby podziwiał całe zdarzenie z okien klubu, zobaczył, co musi się dalej stać. Zobaczył, jak ludzie znajdują zagadkowe zwłoki, wydobywają z nich zagadkowy koniec ułamanego ostrza, zauważają zagadkowo złamaną szablę – albo jej brak. Co prawda zabił wroga, ale go nie uciszył. Jego władczy umysł stawiał jednak czoła tej niespodziewanej trudności; była jeszcze droga wyjścia. Mógł sprawić, żeby zwłoki stały się mniej zagadkowe. Mógł sprawić, żeby zniknęły przykryte górą ciał. Dwadzieścia minut potem ośmiuset angielskich żołnierzy maszerowało w dół, idąc na pewną śmierć.

Cieplejszy blask za czarnym zimowym lasem rozjarzył się mocniej; Flambeau zdązał ku niemu wielkimi krokami. Książd Brown także przyspieszył kroku, ale zdawał się pochłonięty jedynie swoją opowieścią.

– Takie było męstwo tego tysiąca Anglików i taki geniusz ich dowódcy, że gdyby

od razu zaatakowali wzgórze, nawet ich szaleńczy marsz mógł mieć jakieś szanse powodzenia. Ale niegodziwy umysł, który rozgrywał ich jak pionki, miał inne cele i pobudki. Żołnierze musieli pozostać w bagnach przy moście przynajmniej tak długo, by widok brytyjskich zwłok w tym miejscu stał się czymś pospolitym. A potem ostatnia, wspaniała scena: srebrnowłosy żołnierz-święty oddaje strzaskaną szablę, by zapobiec dalszej rzezi. Ach, jak na improwizację, było to wszystko świetnie zorganizowane. Wydaje mi się jednak (choć nie mam na to dowodów), że właśnie wtedy, gdy tkwili w tym krwawym bagnie, ktoś zaczął powątpiewać... i zgadł.

Chwilę milczał, a potem dodał:

– Głos nie wiadomo skąd podpowiada mi, że człowiekiem, który zgadł, był ów zakochany... ten, który miał poślubić córkę starego.

– Ale co z Olivierem i szubienicą? – spytał Flambeau.

– Olivier, częściowo ze szlachetności, a częściowo ze względu na politykę rzadko obciążał marsz swoich wojsk jeńcami – wyjaśnił narrator. – W większości wypadków uwalniał wszystkich. Uwolnił wszystkich także i tym razem.

– Wszystkich z wyjątkiem generała – wtrącił dryblas.

– Wszystkich – powtórzył ksiądz.

Flambeau zmarszczył swoje czarne brwi.

– Nic nie rozumiem – powiedział.

– Jest jeszcze jeden obraz, Flambeau – wyjaśnił ksiądz Brown tajemniczym półgłosem. – Nie potrafię go dowieść, ale potrafię coś więcej: potrafię go zobaczyć. Widzę zwijany rankiem obóz wojskowy na nagich, spalonych słońcem wzgórzach i mundury Brazylijczyków w kolumnach i szeregach gotowych do wymarszu. Widzę czerwoną koszulę i długą, czarną brodę Oliviera, którą rozwiewa wiatr, i jego samego, jak stoi z szerokoskrzydłym kapeluszem w rękach. Żegna się ze swoim wielkim wrogiem, którego puszcza wolno – z prostolinijnym, siwowłosym angielskim weteranem, który dziękuje mu w imieniu swoich ludzi. Niedobitki Anglików stoją za nim na baczność; obok mają zapasy i pojazdy mające im pomóc w odwrocie. Werble grają; Brazylijczycy ruszają w drogę; Anglicy nadal stoją nieruchomo jak posągi. Trwają tak, dopóki ostatni dźwięk i błysk wrogiej armii nie zniknie za tropikalnym horyzontem. Wtedy zmieniają pozycję wszyscy naraz, jak umarli powracający do życia; obracają pięćdziesiąt twarzy w kierunku generała – a są to twarze, których nie sposób zapomnieć.

Flambeau podskoczył jak oparzony.

– O! – zawołał – nie chcesz chyba powiedzieć...

– Tak – potwierdził ksiądz Brown głębokim, przejmującym głosem – to angielska ręka zawiązała sznur na szyi St. Clare'a; myślę, że była to ta sama ręka, która włożyła obrączkę na rękę jego córki. Angielskie ręce zawlokły go pod drzewo hańby; ręce żołnierzy, którzy go podziwiali i szli za nim po zwycięstwo. I angielskie dusze (Boże, odpuść i dopomóż nam wszystkim!) mieli ci, którzy patrzyli, jak kołysał się pod obcym słońcem na szubienicy z zielonej palmy, i w swej nienawiści modlili się, żeby spadł z niej prosto do piekła.

Kiedy dwaj wędrowcy osiągnęli szczyt wzniesienia, ich oczy olśniło jasne światło padające zza czerwonych zasłon angielskiej gospody. Ustawiona była bokiem do drogi,

jakby usuwała się w przyływie gościnności. Wszystkie trzy wejścia stały otworem i nawet z miejsca, w którym stali, słychać było gwar i śmiechy szczęśliwej tego wieczoru ludzkości.

– Nie muszę ci więcej mówić – powiedział ksiądz Brown. – Osadzili go i stracili na pustkowiach; a potem, mając na względzie honor Anglii i honor jego córki, przysięgli, że na zawsze okryją milczeniem sakiewkę zdrajcy i szablę skrytobójcy. Może (niechaj ich niebo wspomóż!) starali się o nich zapomnieć. My w każdym razie możemy spróbować zapomnieć; oto nasza gospoda.

– Zgadza się z całego serca – powiedział Flambeau i już wchodził do jasnego, gwarne bar, gdy nagle cofnął się i o mały włos nie przewrócił na drodze.

– Do diabła, patrz! – zawołał i wskazał sztywno na kwadratowy drewniany sztyl wiszący nad drogą. Rysował się na nim niejasno kształt rękojeści i skróconego ostrza szabli, a udające archaiczne litery układały się w napis „Pod Znakiem Złamanej Szabli”.

– Nie spodziewałaś się tego? – spytał łagodnie ksiądz Brown. – On jest bogiem tej okolicy; połowa gospód, parków i ulic nosi nazwy na jego cześć i na cześć jego historii.

– Myślałem, żeśmy się już pozbyli tego parszywca – zawołał Flambeau i splunął na drogę.

– Nigdy nie pozbędziesz się go z Anglii – odparł ksiądz Brown, wpatrując się w ziemię – dopóki mosiądz nie skruszeje, a kamień się nie rozsypie. Jego marmurowe pomniki jeszcze długie wieki będą natchnieniem dla dumnych, niewinnych chłopców, a jego grobowiec będzie roztaczał wokół zapach wierności mocny jak zapach lilii. Miliony tych, którzy nigdy go nie znali, będą go kochały jak ojca – tego człowieka, z którym ostatnia garstka tych, którzy go znali, obeszła się jak z gnojem. Pozostanie świętym, a prawda o nim nigdy nie wyjdzie na jaw, bo w końcu podjąłem decyzję. Jest tak wiele dobrego i złego w rozwiązywaniu zagadek, że poddałem moje zachowanie pewnej próbie. Wszystkie te gazety przeminą, przyływ antybrazylijskich uczuć już opada; Olivier wszędzie otaczany jest szacunkiem. Powiedziałem sobie jednak, że jeśli gdziekolwiek, w metalu czy marmurze, który będzie trwał jak piramidy, pułkownik Clancy, kapitan Keith, prezydent Olivier albo jakikolwiek niewinny człowiek zostanie z imienia i nazwiska niesprawiedliwie oskarżony, wtedy zacznę mówić. Jeśli tylko St. Clare będzie niesłusznie chwalony, zachowam milczenie. I słowa dotrzymam.

Zanurzyli się we wnętrzu gospody z czerwonymi zasłonami, która okazała się nie tylko wygodna, ale nawet luksusowa. Na stole stała srebrna miniatura nagrobka St. Clare’a – ze srebrną pochyloną głową i srebrną złamaną szablą. Na ścianach widniały kolorowe fotografie tej samej sceny i powozów, które woziły turystów, by mogli ją obejrzeć. Usiedli na wygodnych, wyściełanych ławach.

– Uch, ale ziąb! – zawołał ksiądz Brown. – Przyda nam się kieliszek wina albo piwa.

– Albo brandy – dodał Flambeau.

TRZY NARZĘDZIA ŚMIERCI

Książd Brown, zarówno z powołania, jak i z przekonania, wiedział lepiej niż większość z nas, że każdy człowiek, gdy umrze, jest pełen godności. Ale nawet jego uderzył pewien dysonans, gdy obudzony o świcie łomotaniem do drzwi dowiedział się, że zamordowano sir Aarona Armstronga. Było coś absurdalnego i nieprzyzwoitego w powiązaniu aktu skrytej przemocy z kimś tak bezsprzecznie popularnym i rozrywkowym. Bowiem sir Aaron Armstrong był rozrywkowy aż do granic komizmu i popularny niemal jak bohater legendy. Równie zaskakująca byłaby wiadomość, że zabawny bohater kreskówki popełnił samobójstwo albo że pan Pickwick zmarł w domu wariatów. Bo chociaż sir Aaron był filantropem, a zatem zajmował się mroczniejszą stroną naszego społeczeństwa, szczycił się tym, że zajmuje się nią tak pogodnie, jak tylko się da. W jego wystąpieniach politycznych i społecznych anegdoty przyjmowane „wybuchami śmiechu” lały się strumieniami, jego ciało wręcz tryskało zdrowiem, a jego etyka składała się wyłącznie z optymizmu. O problemie pijaństwa (który był jego ulubionym tematem) rozprawiał z tym niezmiennym, a nawet monotonnym humorem, tak charakterystycznym dla zamożnych abstynentów.

Ogólnie znana historia jego nawrócenia była często głoszona z co bardziej purytańskich ambon i mówiła o tym, jak w wieku chłopięcym szkocka whisky odciągnęła go od szkockiej teologii, jak następnie przewyciężył je obie i stał się (jak to sam skromnie ujmował) tym, kim był. Jednakże widząc jego rozłożystą, siwą brodę, twarz cherubina i błyszczące okulary na jednym z niezliczonych przyjęć i kongresów, na których się pojawiał, jakoś trudno było uwierzyć w to, że kiedykolwiek mógł być kimś tak ponurym jak pijak albo kalwinista. Czuło się, że jest to całkiem serio najweselszy ze wszystkich synów ludzkich.

Sir Aaron mieszkał na wiejskich przedmieściach Hampstead w niebrzydkiem domu, wysokim, choć niezbyt szerokim, przypominającym współczesną, praktyczną wieżę. Najwyższa z wąskich ścian budynku wyrastała tuż nad stromym, zielonym wykopem kolejowym i drżała od przejeżdżających pociągów. Sir Aaron Armstrong wyjaśniał chełpliwie, że jest pozbawiony nerwów. Ale choć zwykle to kolej wstrząsała domem, tego ranka role się odwróciły i tym razem dom wstrząsnął koleją.

Lokomotywa zwolniła i zatrzymała się tuż za tym miejscem, gdzie narożnik domu wystawał nad trawiastą stromizną nasypu. Hamowanie wszystkich mechanizmów musi przebiegać powoli, ale żywy powód tego zatrzymania był bardzo prędko. Mężczyzna ubrany w czerń od stóp do głów, nie wyłączając (jak potem wspomniano) okropnego szczegółu w postaci czarnych rękawiczek, pojawił się na skraju wykopu nad lokomotywą, wymachując czarnymi ramionami niczym złowieszczy wiatrak. To jednak samo w sobie nie zatrzymałoby nawet leniwego pociągu. Z ust mężczyzny wyrwał się jednak okrzyk, o którym mówiono potem jako o czymś całkowicie nowym i nieludzkim. Był to jeden z tych okrzyków, które są przerażająco jasne, nawet jeśli nie możemy dosłyszeć ich znaczenia. Tym razem wykrzykiwane słowo brzmiało: „Morderstwo!”. Maszynista zarzeka się jednak, że zatrzymałby pociąg zupełnie tak samo, gdyby usłyszał jedynie straszny, nieomylny ton tego słowa, a nie samo słowo.

Kiedy pociąg się zatrzymał, nawet pobieżne spojrzenie wystarczyło, by ogarnąć wiele szczegółów tragedii. Mężczyzną na szczycie zielonego zbocza był Magnus, służący sir Aarona Armstronga. Optymistycznie nastrojony baronet często śmiał się z czarnych rękawiczek swego posępnego sługi; ale tym razem nikt raczej nie miał ochoty z niego żartować.

Gdy tylko kilku ciekawskich wychynęło z pociągu i pokonało osmolony żywopłot, ich oczom ukazało się ciało starszego mężczyzny w żółtym szlafroku z jaskrawoczerwoną podszewką, które sturlało się niemal na samo dno wykopu. Na jego nodze widniał kawałek zerwanej liny, zaciśniętej prawdopodobnie w wyniku szamotaniny. Był też jakiś, ale bardzo niewielki, ślad krwi, natomiast ciało leżało wygięte czy też złamane w pozycji, jakiej nie mogłoby przyjąć żadne żywe stworzenie. Był to sir Aaron Armstrong. Po kilku kolejnych chwilach zamieszania pojawił się duży jasnobrody mężczyzna, którego niektórzy podróżni powitali jako sekretarza zmarłego, niejakiego Patricka Royce'a, niegdyś dobrze znanego wśród ekscentrycznej bohemy, a nawet wśród twórców ekscentrycznej sztuki. W sposób bardziej oględny, ale jeszcze bardziej przekonujący, powtórzył on jak echo cierpienie służącego. Kiedy trzecia mieszkanka domu, Alice Armstrong, córka zamordowanego, zjawiła się chwiejnym krokiem w ogrodzie, wymachując rękami, maszynista postanowił zakończyć niespodziewaną przerwę w podróży. Rozległ się świst i pociąg, sapiąc, potoczył się do najbliższej stacji po pomoc.

Ksiądz Brown został zatem nagle wezwany na prośbę Patricka Royce'a, potężnego sekretarza i eks-ekscentryka. Royce był z urodzenia Irlandczykiem i należał do tego rodzaju powierzchownych katolików, którzy przypominają sobie o swojej wierze dopiero wtedy, gdy znajdują się w prawdziwych tarapatkach. Prośba Royce'a nie byłaby jednak tak szybko spełniona, gdyby jeden z oficjalnych detektywów nie był przyjacielem i admiratorem nieoficjalnego detektywa Flambeau; a nie można być przyjacielem Flambeau i nie usłyszeć niezliczonych opowieści o księdzu Brownie. Dlatego, gdy młody detektyw (o nazwisku Merton) prowadził małego księdza przez pola w stronę linii kolejowej, ich rozmowa była bardziej poufała, niż można by się spodziewać po dwóch nieznanym.

– Na ile się orientuję – powiedział szczerze Merton – nie można się w tym dopatrzeć żadnego sensu. Nie ma nikogo, kogo można by podejrzewać. Magnus to stary, solenny głupiec; o wiele za głupi, by mógł być mordercą. Royce był od lat najlepszym przyjacielem baroneta, a jego córka niewątpliwie go uwielbiała. A poza tym wszystko to jest aż nadto absurdalne. Kto by chciał zabić takiego wesołego staruszka jak Armstrong? Kto nurzałby ręce we krwi poobiedniego mówcy? Byłoby to prawie jak zabicie Świętego Mikołaja.

– Tak, to był wesoły dom – zgodził się ksiądz Brown. – Był wesoły, dopóki Armstrong żył. Czy myśli pan, że będzie wesoły teraz, kiedy on nie żyje?

Merton wzdrygnął się lekko i obrzucił swego towarzysza ożywionym spojrzeniem.

– Teraz, kiedy on nie żyje? – powtórzył.

– Tak – ciągnął ksiądz tak samo rzeczowym tonem – Armstrong był wesoły. Ale czy jego wesołość udzielała się innym? Czy poza nim, uczciwie rzecz biorąc, w tym domu

był ktoś wesoły?

Przez jakieś okienko w umyśle Mertona nagle wpadł ów dziwny promyk zaskoczenia, który pozwala nam dostrzec po raz pierwszy to, o czym wiedzieliśmy od zawsze. Merton często bywał w domu Armstronga w związku z drobnymi policyjnymi zadaniami filantropa i teraz, gdy się nad tym zastanowił, przypomniał sobie, że ten dom zawsze robił na nim przygnębiające wrażenie. Pokoje były bardzo wysokie i bardzo zimne, urządzone nędznie i w prowincjonalnym guście, a pełne przeciągów korytarze rozjaśniało bledsze od księżyca światło elektryczne. I chociaż rumiana twarz i srebrna broda staruszka płonęły w każdym z pomieszczeń po kolei jak żywy płomień, nie zostawiały po sobie nawet odrobiny ciepła. Niewątpliwie ten widmowy dyskomfort siedziby po części wynikał właśnie z żywotności i energii jej właściciela; mawiał on, że nie potrzebuje pieców ani lamp, bo własne źródło ciepła nosi w sobie. Ale kiedy Merton przypomniał sobie pozostałych mieszkańców, zmuszony był przyznać, że oni także byli jedynie cieniami swego pana. Melancholijny służący z jego strasznymi czarnymi rękawiczkami przypominał postać z sennego koszmaru; Royce, sekretarz, był bardziej konkretny – wielki jak byk mężczyzna w tweedowym ubraniu, z krótką brodą – ale nawet ta broda koloru słomy była, na podobieństwo tweedu, zaskakująco przyprószona siwizną, a szerokie czoło znaczyły bruzdy przedwczesnych zmarszczek. Był on też dość uprzejmy, ale w tej uprzejmości kryło się coś smutnego – jakiś ogólny nastrój życiowej porażki. Co do córki Armstronga, to trudno było wręcz uwierzyć, że jest jego córką, tak bladą miała karnację i delikatną sylwetkę. Była zgrabna, ale sam kontur jej ciała był tak drżący, że przywodziła na myśl osikę. Merton zastanawiał się czasem, czy dziewczyna nie nauczyła się trząść od huku przejeżdżających pociągów.

– Widzi pan – odezwał się znowu ksiądz Brown, skromnie mrugając oczami – nie jestem pewien, czy ta wesołość Armstronga jest taka znów wesoła... dla innych. Powiedział pan, że nikt nie mógłby zabić takiego szczęśliwego staruszka, ale ja wcale nie jestem tego pewien; *ne nos inducas in tentationem*. Gdybym kiedyś miał kogoś zamordować – dodał z prostotą – to śmiem twierdzić, że tym kimś mógłby być optymista.

– Dlaczego? – zawołał rozbawiony Merton. – Czy sądzi ksiądz, że ludzie nie lubią pogodnego usposobienia?

– Ludzie lubią się często śmiać – odparł ksiądz Brown – ale nie wydaje mi się, żeby lubili nieustanny uśmiech. Pogodne usposobienie bez poczucia humoru to bardzo uciążliwa rzecz.

Szli jakiś czas w milczeniu wietrznym, trawiastym zboczem wzdłuż torów i właśnie w chwili, gdy weszli w długi cień rzucany przez wysoki dom Armstronga, ksiądz Brown powiedział nagle, jak człowiek, który chce raczej odrzucić męczącą myśl, niż wygłosić ją na serio:

– Oczywiście, alkohol nie jest zły ani dobry sam w sobie. Ale czasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ludziom takim jak Armstrong przydałby się kieliszek wina, żeby trochę posmutnieli.

Oficjalny zwierzchnik Mertona, szpakowaty, wykwalifikowany detektyw o nazwisku Gilder stał na zielonym zboczu czekając na koronera i rozmawiając z Patrickiem Royce'em, którego potężne ramiona oraz szczeciniasta broda i włosy

górowały nad rozmówcą. Było to tym bardziej zauważalne, że Royce zawsze chodził mocno zgarbiony i wykonywał swoje domowe i biurowe obowiązki z pewną ociężałością i pokorą, niczym bizon ciągnący dwukółkę.

Teraz podniósł głowę z niezwykłym zadowoleniem na widok księdza i odprowadził go kilka kroków na bok. Tymczasem Merton zwrócił się do starszego detektywa nie bez szacunku, ale ze swego rodzaju chłopięcym zniecierpliwieniem.

– A więc, panie inspektorze, posunął się pan dalej w rozwikłaniu tej zagadki?

– Nie ma żadnej zagadki – odpowiedział Gilder, spoglądając spod sennych powiek na gawrony.

– Jest, przynajmniej jak dla mnie – zaoponował z uśmiechem Merton.

– Wszystko to całkiem proste, mój chłopcze – stwierdził starszy śledczy, głaszcząc swoją siwą, szpiczastą bródkę. – Trzy minuty po tym, jak poszedłeś po proboszcza pana Royce'a, wszystko się wyjaśniło. Znasz tego bladego służącego w czarnych rękawiczkach, który zatrzymał pociąg?

– Poznałbym go na końcu świata. Zawsze jakoś miałem gęsią skórkę na jego widok.

– No więc – wycedził Gilder – kiedy pociąg pojechał dalej, okazało się, że ten gość też zniknął. Musi mieć zimną krew taki zbrodniarz, nie sądzisz, żeby uciec tym samym pociągiem, który pojechał sprowadzić policję?

– Jak rozumiem, jest pan całkiem pewien – zauważył młody człowiek – że to właśnie on zabił swojego pana?

– Tak, synu, jestem tego całkiem pewien – odparł Gilder oschle – z tej drobnej przyczyny, że zniknął razem z dwudziestoma tysiącami funtów w papierach, które jego pan trzymał w biurku. Nie; jedyna rzecz, która zasługuje na miano trudności, to pytanie, w jaki sposób to zrobił. Czaszka zdaje się rozbita jakby jakimś wielkim narzędziem, ale nie ma żadnego narzędzia, a mordercy byłoby niezręcznie zabrać je ze sobą, chyba że byłoby za małe, żeby je zauważyć.

– A może narzędzie było za duże, żeby je zauważyć? – wtrącił ksiądz i parsknął dziwnym śmiechem.

Gilder obejrzał się, słysząc tę dziwną uwagę, i raczej surowo zapytał księdza Browna, co chce przez to powiedzieć.

– Wiem, wiem, brzmi to dość głupio – wyjaśnił przeprasząco ksiądz Brown. – Zupełnie jak w bajce. Biedny Armstrong został zabity maczugą olbrzyma; wielką zieloną maczugą, za dużą, żeby ją zobaczyć. Nazywamy ją ziemią. Rozbił się o to zielone zbocze, na którym stoimy.

– W jaki sposób? – spytał szybko detektyw.

Ksiądz Brown zwrócił swoje księżycowe oblicze w stronę wąskiej fasady domu i bezradnie mrugał, patrząc w górę. Idąc za jego wzrokiem zobaczyli, że u samego szczytu tej ślepej ściany budynku widnieje otwarte na oścież okno poddasza.

– Nie widzicie – wyjaśnił, wskazując palcem niezgrabnie, trochę jak dziecko – że to stamtąd został zrzucony?

Gilder przyglądał się oknu ze zmarszczonym czołem i wreszcie powiedział:

– Hm, z pewnością jest to możliwe. Ale nie rozumiem, dlaczego ksiądz jest taki tego pewien.

Szare oczy Browna rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ależ – powiedział – na nodze zmarłego jest kawałek liny. Nie widzicie drugiego kawałka zaczepionego tam, w narożniku okna?

Z tej odległości wyglądało to raczej jak cienki kłaczek kurzu albo kosmyk włosów, ale stary, bystry detektyw był całkowicie usatysfakcjonowany.

– Co racja, to racja – powiedział do księdza Browna. – Jeden zero dla księdza, przyznaję.

Niemal gdy jeszcze to mówił, zza zakrętu po ich lewej ręce wyłonił się specjalny pociąg o jednym wagonie i zatrzymawszy się, wypuścił kolejną grupę policjantów, wśród których można było dostrzec wisielcze oblicze Magnusa, zbiegłego sługi.

– Na Jowisza! Mają go! – zawołał Gilder i ruszył naprzód z całkiem nową werwą.

– Macie pieniądze? – krzyknął do pierwszego policjanta.

Funkcjonariusz spojrzał mu w oczy z dość dziwnym wyrazem twarzy i odpowiedział:

– Nie. – A potem dodał: – W każdym razie nie tutaj.

– Przepraszam, który z panów jest inspektorem? – spytał człowiek o imieniu Magnus.

Kiedy przemówił, wszyscy natychmiast zrozumieli, w jaki sposób ten głos mógł zatrzymać pociąg. Był to mężczyzna o nieciekawym wyglądzie, prostych, czarnych włosach i bezbarwnej twarzy; poziome szpary jego oczu i ust miały w sobie coś orientального. Jego pochodzenie i nazwisko rzeczywiście budziły wątpliwości, odkąd sir Aaron „wybawił” go od kelnerowania w londyńskiej restauracji oraz (jak mówili niektórzy) od innych mniej chlubnych zajęć. Jego głos był jednak tak żywy, jak martwa była jego twarz. Czy to z powodu dokładności w posługiwaniu się obcym językiem, czy z szacunku dla jego pana (który był nieco głuchy), głos Magnusa brzmiał wyjątkowo dźwięcznie i przenikliwie, tak że kiedy się odezwał, wszyscy aż podskoczyli ze zdumienia.

– Zawsze wiedziałem, że to się stanie – powiedział głośno z beczelną obojętnością. – Mój biedny pan zawsze stroił sobie żarty z tego, że ubieram się na czarno, ale ja zawsze mówiłem, że muszę być gotowy na jego pogrzeb.

I wykonał szybki ruch dłońmi w czarnych rękawiczkach.

– Sierzancie – odezwał się inspektor Gilder, spoglądając z wściekłością na czarne ręce – nie założycie mu kajdanków? Wygląda raczej groźnie.

– Hm, panie inspektorze – odparł sierżant z tą samą dziwnie zdumioną miną – nie wiem, czy możemy to zrobić.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostro tamten. – Nie aresztowaliście go?

Cień pogardy rozciągnął wąskie usta służącego, a świst nadjeżdżającego pociągu zabrzmiał jak echo tego szyderstwa.

– Aresztowaliśmy go – wyjaśnił sierżant z powagą – w chwili, kiedy wychodził z posterunku policji w Highgate, gdzie zdeponował wszystkie pieniądze swego pana u inspektora Robinsona.

Gilder spojrzał na służącego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Człowieku, czemuście to u diabła zrobili? – spytał Magnusa.

– Żeby uchronić je przed zbrodniarzem, oczywiście – odparł spokojnie dziwny osobnik.

– Przecież – zauważył Gilder – pieniędzmi sir Aarona mogła spokojnie zaopiekować się rodzina sir Aarona.

Zakończenie tego zdania utonęło w huku przejeżdżającego pociągu, który przemknął obok, kołysząc się i turkocząc. Jednak nawet w tym piekielnym zgiełku, na jaki wystawiony był systematycznie ten nieszczęsny dom, usłyszeli każdą sylabę odpowiedzi Magnusa, dźwięcząca wyraźnie jak dzwon:

– Nie mam podstaw, by ufać rodzinie sir Aarona.

Stojących nieruchomo mężczyzn ogarnęło nagle upiorne wrażenie jakiejś nowej obecności. Merton nie za bardzo się zdziwił, kiedy podniósł wzrok i zobaczył wychylającą się zza ramienia księdza Browna bladą twarz córki Armstronga. Była ona wciąż jeszcze młoda i na swój srebrzysty sposób ładna, ale jej włosy miały tak nieokreśloną, przykurzoną brązową barwę, że w cieniu wyglądały czasem na całkiem posiwiałe.

– Uważaj, co mówisz – ofuknął go Royce. – Przestraszysz pannę Armstrong.

– Mam taką nadzieję – odparł mężczyzna o dźwięcznym głosie.

Kiedy kobieta skrzywiła się boleśnie, a wszyscy inni okazali zdziwienie, mówił dalej:

– Przyzwyczailem się już trochę do tego, że panna Armstrong się trzęsie. Przez wiele lat widziałem, jak drżała raz po raz. Jedni mówili, że to z zimna, inni, że ze strachu, ale ja wiem, że trzęsała się z nienawiści i niegodziwej wściekłości. Diabli mieli dziś rano swoje święto. Gdyby nie ja, byłaby już daleko ze swoim kochankiem i wszystkimi pieniędzmi. Odkąd mój biedny stary pan uniemożliwił jej wyjście za tego zapijaczonego łajdaka...

– Dość – odezwał się surowo Gilder. – Nie mamy nic wspólnego z waszymi wymysłami czy podejrzeniami na temat rodziny. Jeżeli nie macie jakichś praktycznych dowodów, to wasze opinie...

– O, dam panu praktyczne dowody, panie inspektorze – wpadł mu w słowo Magnus swoim oschłym tonem. – Będzie mnie pan musiał wezwać na świadka, a ja będę musiał powiedzieć prawdę. A prawda jest taka: chwilę potem, jak staruszek, zakrwawiony, wyleciał z okna, wpadłem na poddasze i zastałem tam jego córkę zemdloną na podłodze z czerwonym sztyletem w ręce. Niech mi także będzie wolno przekazać właściwym władzom to. – I wyjął z tylnej kieszeni fraka długi nóż z kościaną rękojeścią i czerwoną smugą na ostrzu, a potem wręczył go uprzejmie sierżantowi. Następnie cofnął się znowu, a szparki oczu znikły niemal całkiem na jego twarzy rozciągniętej grymasem wielkiego chińskiego szyderstwa.

Merton poczuł, że na jego widok robi mu się niedobrze i mruknął do Gildera:

– Oczywiście weźmie pan pod uwagę słowo panny Armstrong przeciw jego słowu?

Ksiądz Brown nagle uniósł twarz tak absurdalnie rześką, jakby przed chwilą ją umył.

– Tak – powiedział promieniejąc niewinnością – ale czy słowo panny Armstrong rzeczywiście będzie przeciw?

Zaskoczona dziewczyna wydała dziwny, cichy okrzyk; spojrzeli na nią wszyscy. Stała nieruchomo, jak sparaliżowana, tylko jej twarz w obramowaniu bladobrązowych włosów ożywiał wyraz potwornego zaskoczenia. Stała bez tchu jak stworzenie nagle schwytane na lasso.

– Ten człowiek – powiedział poważnie inspektor Gilder – mówi, że tuż po morderstwie znaleziono panią ściskającą nóż i leżącą bez zmysłów.

– Mówi prawdę – odparła Alice.

Kolejny fakt, który sobie uświadomili był taki, że w krąg zebranych wkroczył Patrick Royce ze swoją wielką, pochyloną głową i wypowiedział niezwykle słowa: – No, jeśli ze mną już koniec, to chcę sobie najpierw sprawić jakąś przyjemność.

Jego wielkie ramię uniosło się, a żelazna pięść trzasnęła prosto w obojętne mongolskie oblicze Magnusa, który padł na trawę rozkrzyżowany jak wielka rozgwiazda. Dwóch czy trzech policjantów od razu chwyciło Royce'a, pozostali jednak odnieśli wrażenie, że wszelkie logiczne myślenie zawodzi, a kosmos zmienia się w bezsensowną arlekinadę.

– Proszę się uspokoić, panie Royce – zakomenderował Gilder – bo aresztuję pana za napaść.

– Nie robi pan tego, inspektorze – odpowiedział sekretarz głosem brzmiącym jak żelazny gong – bo aresztuje mnie pan za morderstwo.

Gilder rzucił zaniepokojone spojrzenie w stronę powalonego człowieka; ale ponieważ ten oburzony osobnik siedział już na trawie i wycierał smużkę krwi ze stosunkowo nienaruszonej twarzy, spytał krótko:

– O czym pan mówi?

– To prawda, co on powiedział – wyjaśnił Royce – że panna Armstrong zemdłała z nożem w ręce. Chwyciła go jednak nie po to, żeby zaatakować swojego ojca, ale żeby go bronić.

– Bronić go? – powtórzył z powagą Gilder. – Przed kim?

– Przede mną – odparł sekretarz.

Alice spojrzała na niego z zagadkowym wyrazem twarzy, a potem powiedziała cicho:

– Nawet po tym wszystkim nadal cieszę się, że jesteś odważny.

– Chodźcie na górę, panowie – powiedział ciężkim głosem Patrick Royce – wyjaśnię wam całe to przekłete zdarzenie.

Poddasze, które stanowiło prywatne mieszkanie sekretarza (była to dość mała cela dla tak wielkiego pustelnika), rzeczywiście nosiło ślady gwałtownego dramatu. Niemal na środku pokoju leżał duży rewolwer, jakby odrzucony na bok, dalej na lewo wałała się butelka whisky, otwarta, ale nie całkiem opróżniona. Obrus z małego stolika leżał zmięty i zdeptany na podłodze, a długi kawałek liny, takiej samej jak ta, którą widzieli zaciśniętą na ciele ofiary, przerzucony był bezładnie przez parapet okna. Dwa wazony leżały roztrzaskane w kominku, a jeden na dywanie.

– Byłem pijany – powiedział Royce i ta prostoduszność przedwcześnie postarzałego mężczyzny miała w sobie coś z patosu dziecka przyznającego się do pierwszego grzechu.

– Wszyscy znacie moją historię – mówił dalej schrypniętym głosem – wszyscy wiedzą, jak się ona zaczęła i równie dobrze może się tak skończyć. Kiedyś mówiono, że jestem zdolny i może nawet mogłem być szczęśliwy. Armstrong wyciągnął mnie ze spelunek, kiedy został ze mnie ledwie strzępek rozumu i ciała, i zawsze był dla mnie na swój sposób dobry, biedaczysko! Nie zgadzał się tylko, żebym poślubił Alice i teraz już zawsze będzie się mówiło, że miał sporo racji. No, możecie panowie wyciągnąć własne wnioski i pewnie nie będziecie chcieli, żebym zbyt wchodził w szczegóły. Ta nie do końca opróżniona butelka whisky w kącie jest moja, podobnie jak ten opróżniony do końca rewolwer. Linę z mojego kufra znaleziono na ciele zamordowanego, a on sam został wyrzucony z mojego okna. Nie potrzeba detektywów, żeby wydobyć moją tragedię na światło dzienne; to dość pospolity chwast na tym świecie. Oddaję się w ręce sprawiedliwości, które zawiodą mnie na szubienicę i, na Boga, niech to wystarczy!

Na dostatecznie dyskretny znak policjanci otoczyli potężnego mężczyznę, aby go odprowadzić. Ich dyskrecję zakłóciło jednak dziwaczne zachowanie księdza Browna, który w drzwiach pokoju pełzał na czworakach, jakby odprawiał jakieś nieprzystojne modły. Jako osoba zupełnie niewrażliwa na to, jakie wrażenie robi w towarzystwie, duchowny pozostał w swej dziwacznej pozycji i odwrócił do zebranych jedynie pogodną, okrągłą twarz, co nadało mu wygląd bardzo zabawnego czworonoga o ludzkiej głowie.

– Słuchajcie – powiedział dobrodusznie – nic się tu nie zgadza, naprawdę. Na początku mówiliście, że nie ma narzędzia zbrodni. Ale teraz mamy ich aż za dużo; jest nóż, którym można zasztyletować, lina, którą można udusić i pistolet, którym można zastrzelić; a przecież sir Aaron złamał sobie kark, bo wypadł z okna! To się nie zgadza. To nieekonomiczne. – I potrząsnął głową jak koń na pastwisku.

Inspektor Gilder otworzył usta z poważnym zamiarem, ale zanim powiedział słowo, groteskowa postać na podłodze podjęła na nowo swą elokwentną przemowę:

– A teraz trzy całkiem niemożliwe rzeczy. Po pierwsze, te dziury w dywanie, który przebiło na wylot sześć kul. Dlaczego, na Boga, ktoś miałby strzelać do dywanu? Pijany człowiek celuje w głowę przeciwnika, czyli w to coś, co bezczelnie się do niego szczyrzy. Nie próbuje walczyć z jego stopami, ani nie rzuca się na jego pantofle. Dalej mamy linę. – Rozprawiwszy się z dywanem, mówca podniósł ręce i włożył je do kieszeni, ale nadal niezłomnie tkwił na kolanach. – Jak bardzo oszołomiony alkoholem musiałyby być człowiek, który próbując zarzucić linę na szyję swego wroga, ostatecznie zarzuca mu ją na nogę? Royce w każdym razie nie był aż tak pijany, w przeciwnym bowiem razie spałby teraz jak zabity. I wreszcie to, co najbardziej rzuca się w oczy: butelka whisky. Myślicie, że alkoholik walczyłby o butelkę whisky, a po wygranej rzuciłby ją w kąt, rozlewając połowę i zostawiając resztę? To naprawdę ostatnia rzecz, jaka przyszłaby do głowy pijakowi.

Niezgrabnie podniósł się z klęczek i wyraźnie skruszonym tonem zwrócił się do mordercy, który przed chwilą wygłosił swoje samooskarżenie:

– Bardzo mi przykro, mój panie, ale pańska opowieść nie trzyma się kupy.

– Proszę księdza – odezwała się cicho Alice Armstrong – czy mogę z księdzem chwilę pomówić na osobności?

Ta prośba zmusiła elokwentnego księdza do odblokowania drzwi, a kiedy znaleźli się w drugim pokoju, nie zdążył się odezwać, bo dziewczyna z miejsca zaczęła mówić z dziwną przenikliwością.

– Jest ksiądz inteligentny – powiedziała – i wiem, że stara się ksiądz ocalić Patricka. Ale to naprawdę na nic. Sedno całej tej sprawy jest mroczne, a im więcej ksiądz odkryje, tym więcej będzie dowodów przeciwko nieszczęśnikowi, którego kocham.

– Dlaczego? – spytał ksiądz Brown, wpatrując się w nią bez drgnienia powiek.

– Dlatego – odparła równie nieporuszenie – że sama widziałam, jak popełnił tę zbrodnię.

– Aha – beznamiętnie powiedział ksiądz Brown. – I co też takiego zrobił?

– Byłam tu, w tym pokoju – wyjaśniła dziewczyna. – I jedne, i drugie drzwi były zamknięte, ale nagle głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam, zaczął ryczeć raz po raz: „Piekło! Piekło!”, a potem drzwiami wstrząsnął pierwszy strzał z rewolweru. Rozległy się jeszcze trzy wystrzały, zanim zdołałam otworzyć jedno i drugie drzwi i zobaczyłam pokój pełen dymu, ale pistolet dymił w ręce mojego biednego, szalonego Patricka. Na własne oczy zobaczyłam, jak oddał ostatni morderczy strzał. Potem rzucił się na mojego ojca, który, przerażony, przywarł do parapetu okna, i siłując się z nim, próbował udusić go liną, którą zarzucił mu przez głowę, ale która zsunęła się po jego szamoczących się ramionach aż do stóp. Wtedy zacisnęła się na jednej z nóg, a Patrick zaczął ciągnąć go za sobą jak wariat. Chwyciłam nóż leżący na dywanie i rzuciwszy się między nich, zdołałam przeciąć linę zanim zemdlałam.

– Rozumiem – powiedział ksiądz Brown z tą samą obojętną uprzejmością. – Dziękuję pani.

Kiedy dziewczyna opadła na krzesło przytłoczona ciężarem wspomnień, ksiądz Brown przeszedł sztywno do sąsiedniego pokoju, gdzie zastał Gildera i Mertona sam na sam z Royce'em, który siedział w fotelu z rękami w kajdankach. Tam odezwał się grzecznie do inspektora:

– Czy mogę zamienić słowo z więźniem w pana obecności i czy mógłby mu pan zdjąć na chwilę te śmieszne obrączki?

– Jest bardzo silny – powiedział półgłosem Merton. – Dlaczego ksiądz chce, żeby mu je zdjąć?

– No cóż, myślałem – odparł ksiądz Brown z pokorą – że może mógłbym dostąpić wielkiego zaszczytu i uścisnąć mu rękę.

Obaj detektywi wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, a ksiądz Brown dodał, zwracając się do więźnia:

– Nie powie im pan?

Mężczyzna w fotelu potrząsnął rozczochraną głową, a duchowny ze zniecierpliwieniem obrócił się na pięcie.

– W takim razie ja to zrobię – powiedział. – Życie prywatne jest ważniejsze niż opinia społeczna. Zamierzam ocalić żywych i zostawić umarłym grzebanie ich umarłych.

Podszedł do feralnego okna i wyglądał przez nie mrugając oczami i nie przestając mówić.

– Powiedziałem wam już, że w tej sprawie jest za dużo narzędzi zbrodni i tylko

jedna ofiara. Teraz mogę dodać, że nie były to narzędzia zbrodni i nie posłużono się nimi, by spowodować śmierć. Wszystkie te makabryczne narzędzia – strycalek, zakrwawiony nóż, strzelający pistolet – były narzędziami przedziwnego miłosierdzia. Użyto ich nie po to, by zabić sir Aarona, ale po to, by go ocalić.

– Ocalić! – powtórzył Gilder. – Ale przed czym?

– Przed nim samym – odparł ksiądz Brown. – Sir Aaron cierpiał na manię samobójczą.

– Co takiego? – zawołał Merton z niedowierzaniem. – A jego religia pogody ducha...

– To okrutna religia – powiedział ksiądz, nadal wyglądając przez okno. – Dlaczego nie wolno mu było trochę popłakać, jak to robili jego przodkowie? Jego plany usztywniły się, jego przekonania ostygły; za maską wesołości krył się jałowy umysł ateisty. W końcu, żeby utrzymać swoje publiczne wystąpienia na tym samym zabawnym poziomie, wrócił do picia, które porzucił wiele lat wcześniej. Ale alkoholizm szczerego abstynenta ma jedną przerażającą cechę: ktoś taki wyobraża sobie i przewiduje to psychiczne piekło, przed którym ostrzegał innych. Biednego Armstronga dopadło ono przedwcześnie; dziś rano był już w takim stanie, że siedział tu i wrzeszczał o piekło niehumanym głosem, którego nawet jego własna córka nie mogła rozpoznać. Obłąkańczo pragnął umrzeć i z godnym obłąkanego małpim sprytem rozłożył wokół siebie różne narzędzia śmierci – zaciskający się strycalek, rewolwer swojego przyjaciela i nóż. Royce wszedł do pokoju przypadkiem i błyskawicznie zareagował. Odrzucił nóż za siebie, chwycił rewolwer, a ponieważ nie miał czasu go rozładować, opróżnił magazynek strzelając w podłogę. Samobójca dostrzegłszy jeszcze inną możliwość śmierci, skoczył do okna. Ratownik zrobił jedyne, co mu pozostało – rzucił się za nim z liną i próbował związać mu ręce i nogi. To właśnie wtedy włączyła się nieszczęsna dziewczyna i nie rozumiejąc, o co idzie walka, rzuciła się, by wyswobodzić ojca. Z początku przejechała tylko biednemu Royce'owi nożem po palcach – stąd ta odrobina krwi, z jaką mieliśmy do czynienia w tej sprawie. Ale z pewnością zauważyli panowie, że jego cios zostawił krew na twarzy służącego, chociaż go nie zranił? Dopiero na chwilę przed tym, jak zemdląca, dziewczynie udało się uwolnić ojca, który teraz mógł runąć z okna wprost w objęcia wieczności.

Zapadła długa cisza przerwana dopiero metalicznym odgłosem otwierania kajdanek, z których Gilder wyswobodził Royce'a i powiedział do niego:

– Myślę, proszę pana, że ja powiedziałbym prawdę. Pan i ta młoda dama jesteście warci więcej niż wszystkie nekrologi Armstronga.

– Do diabła z nekrologami! – zawołał grubiańsko Royce. – Nie rozumie pan, że chodzi o to, żeby ona się nie dowiedziała?

– Nie dowiedziała się o czym? – spytał Merton.

– O tym, że zabiła własnego ojca, ty głupku! – ryknął tamten. – Gdyby nie ona, pozostałby przy życiu. Od tej świadomości mogłaby postradać zmysły.

– Nie, nie sądzę – zauważył ksiądz Brown, wkładając kapelusz. – Ja bym jej chyba powiedział. Nawet najbardziej śmiertelne pomyłki nie zatruwają życia tak samo jak grzechy; w każdym razie wydaje mi się, że oboje będziecie teraz szczęśliwsi. Muszę już wracać; spieszę się do szkoły dla głuchoniemych.

Kiedy wyszedł na wietrzny trawnik, jakiś znajomy z Highgate zatrzymał go i powiedział:

– Właśnie przyjechał koroner. Zaraz zacznie się śledztwo.

– Muszę wracać do szkoły dla głuchoniemych – odparł ksiądz Brown. – Przykro mi, ale nie mogę poczekać na wynik.

¹ 6 stóp i 3 cale – nieco ponad 190 cm (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² *Prywatny sekretarz* (Private Secretary) – popularna pod koniec XIX w. farsa Charlesa Hawtreya, w której występuje młody, naiwny duchowny zatrudniony w roli prywatnego sekretarza, padający ofiarą spisku młodych utracjuszy.

³ Popularne w XIX w. Anglii nakrycie głowy noszone przez gentlemanów w domu, pierwotnie podczas palenia tytoniu, aby uchronić włosy przed wchłanianiem zapachu dymu, a także dla ochrony przed chłodem.

⁴ Tytuł dowódcy angielskich wojsk w Egipcie na przełomie XIX i XX w.

⁵ W języku angielskim cudzysłów początkowy znajduje się powyżej linii pisma, a nie poniżej jak w języku polskim.

⁶ Reed House – ang. Trzcinyowy Dom, Reed Island – ang. Trzcinyowa Wyspa.

⁷ Woryg. Mohocks – terroryzująca Londyn na początku XVII w. grupa dobrze urodzonych łotrzyków, bez powodu brutalnie napastujących mężczyzn i kobiety; nazwa nawiązuje do uważanego za wyjątkowo okrutne indiańskiego plemienia Mohawków.

⁸ Woryg. Mashers – popularne na przełomie XIX i XX w. określenie przesadnie eleganckich młodych arystokratów, kobieciarzy, a zwłaszcza wielbicieli aktorek i śpiewaczek, regularnie uczęszczających na ich występy.

⁹ Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki – założone w 1879 r. w USA przez Mary Baker Eddy – istniejące do dziś (także w Polsce) wyznanie religijne oparte na przekonaniu o nierealności świata fizycznego i o duchowym charakterze chorób somatycznych, przez co wyznawcy nie uznają stosowania lekarstw i kontaktu z lekarzami.

¹⁰ Pułkownik Newcome – bohater wiktoriańskiej powieści W. M. Thackeraya „The Newcomes” oraz opartej na niej sztuki teatralnej M. Mortona z 1906 r.